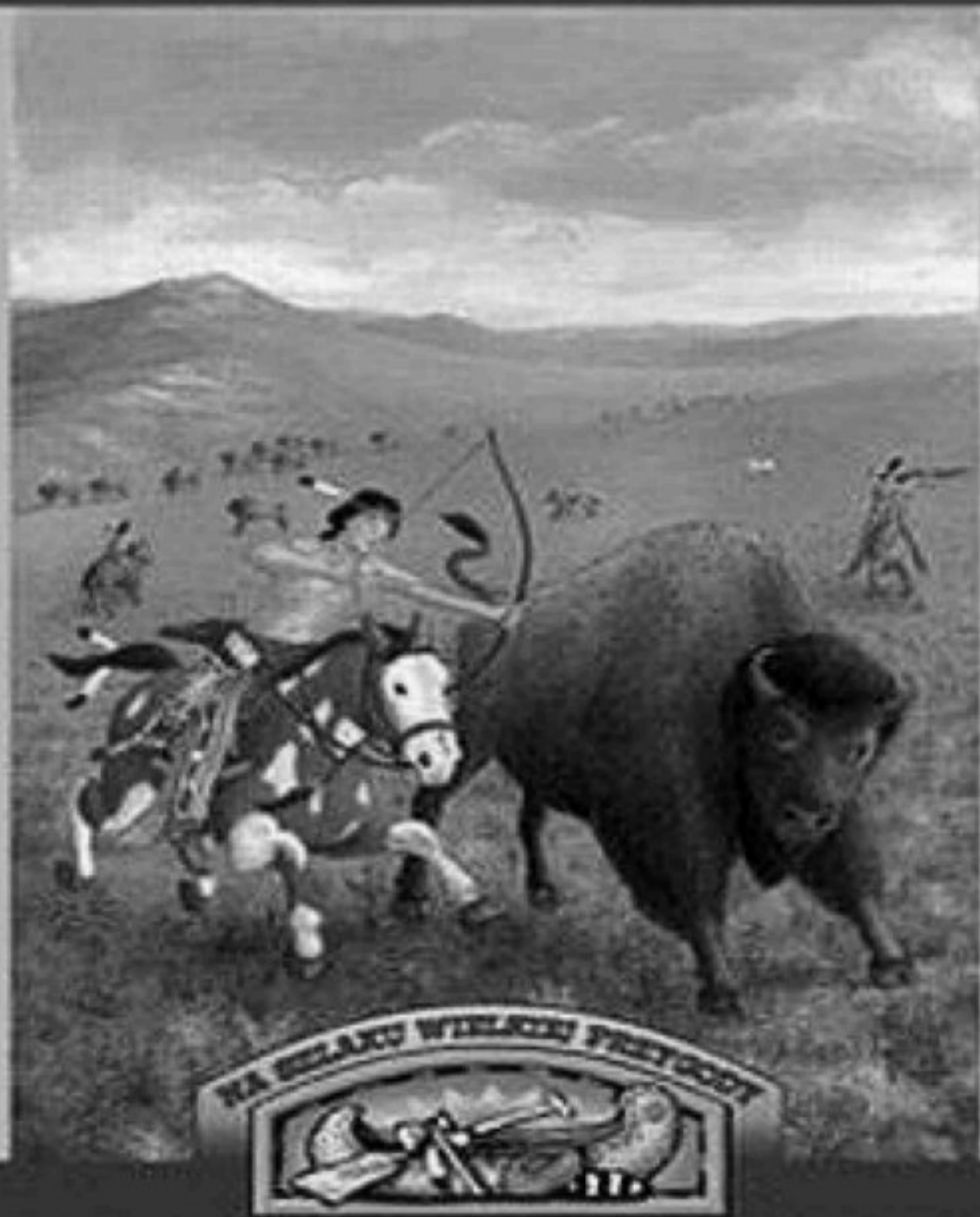


ARKADY FIEDLER
MAŁY BIZON



WYDAWNICTWO ZIELONA SOWA

FIEDLER ARKADY

Maly bizon

ARKADY FIEDLER

ZAJŚCIE Z RUXTONEM

Jestem Indianinem z bitnego szczepu Czarnych Stóp. Ojczyzna moja należy do krain najpiękniejszych na świecie. Są to prerie u podnóży Gór Skalistych, tam gdzie rozcina je granica między Kanadą a Stanami Zjednoczonymi, prerie niezwykle rozfalowane, jak gdyby twórczy wicher wzburzył morze bujnych traw. Liczne rzeki, spływające ze śnieżnych stoków górskich, wyłobiły tu głębokie doliny, a w tych dolinach, w gąszczu leśnym roiło się od wszelakiej zwierzyny.

Zwierząt futerkowych, zwłaszcza bobrów, było u nas dawniej tak wiele, że wszystkie sąsiednie szczepy, a więc Kri, Assiniboinowie, Siouxowie, Wrony wkradały się na nasze łowiska i trzeba było staczać z nimi bezustanne walki. Jeszcze gorzej było z białymi łowcami, którzy wdzierali się do nas od przeszło wieku i mieli znakomite strzelby. Ale im wszystkim szczep nasz dawał radę, był natomiast bezsilny wobec innej, zabójczej broni, jaką biały człowiek nam przywłókł: czarna ospa, srożąca się na preriach w 1838 roku, wyniszczyła trzy czwarte naszego szczepu.

Wyszliśmy z tej klęski osłabieni, chociaż nie mniej bitni, może nawet odważniejsi i bardziej nieustępliwi niż poprzednio. Zawzięcie walcząc z sąsiednimi szczepami utrzymywaliśmy nasze bogate łowiska, a zachłanność białego człowieka dawała nam się teraz mniej we znaki. Po prostu żyliśmy na uboczu. Złowiszcze szlaki białego człowieka poszły innymi drogami. Szlaki jego wiodły do krain, gdzie w ziemi znajdowano złoto, więc do Kalifornii, do Colorado, do Wyomingu, do Czarnych Gór. U nas złota nie było. Nie potrzebowaliśmy staczać rozpaczliwych wojen, jak Siouxowie i Szijenowie, nasi sąsiedzi na południu. To oczywiście nie uchroniło nas od losu wszystkich innych Indian: Amerykanie, a nieco później po nich Kanadyjczycy, opanowali prerie i Góry Skaliste zwykłą siłą swej przeważającej stokrotnie liczby i zmusili nas do pójścia na ograniczone tereny tak zwanych rezerwatów. Począwszy mniej więcej od roku 1880 nastąpiła dla nas smutna era białego człowieka, kiedy to wielkie stada bizonów, nasz główny pokarm, stopniały zastraszająco szybko pod strzelbami amerykańskich myśliwych.

Urodziłem się akurat na pograniczu tych dwóch wielkich okresów na preriach, okresu indiańskiego i okresu białego człowieka. Młodość miałem jeszcze niezmiernie szczęśliwą. Wędrowaliśmy wciąż swobodnie po preriach, podniecające utarczki z innymi szczepami dopiero zanikały, a biała ręka jeszcze nie była tak twarda i nie dławiała naszej wolności. W obozach Indian rozlegały się wesole śpiewy, tańczyli wojownicy, chociaż czuliśmy, że zbliża się do nas nieubłagane przeznaczenie.

Jedno z pierwszych dziecięcych przeżyć, jakie z tych lat pozostaje mi w pamięci, dotyczyło właśnie zagadnienia białego człowieka. Między moim ojcem i moim stryjem, Huczącym Grzmotem, wybuchła głośnie sprzeczka. Ostre ich słowa jak gdyby przebudziły mnie do świadomego życia. Siedzieliśmy przy ognisku w obszernym namiocie. Na dworze była wichura; częste jej podmuchy wpadały do środka i szarpały ognisko, aż dym gryzł mnie w oczy. Siedziałem przytulony do boku ojca, który coś głośnie prawił ponad moją głowę. Naprzeciw nas siedział stryj, Huczący

Grzmot, równie rozgniewany jak ojciec. Do dziś pamiętam jego pałające oczy. W namiocie było wiele ludzi.

Wtedy nie rozumiałem dobrze, o co chodziło, i dopiero znacznie później uświadomiłem sobie przyczynę zatargu. Stryj sprzyjał Amerykanom niemal służalczo i córkę swoją chciał oddać za żonę jednemu z nich, handlarzowi Dickowi Ruxtonowi. Ówże Dick przebywał w naszym obozie i miał najgorszą opinię: rozpijał młodych wojowników. Ojciec mój sprzeciwiał się temu małżeństwu, lecz stryj obstawał uparcie przy swoim postanowieniu. Za córkę miał dostać od Ruxtona suty dar w towarach. Stryj wierzył w amerykańską potęgę pieniądza.

–Nie wierz im, bracie – wołał ojciec – nie ufaj im! Wszelkie zło, zatruwające dziś nasze serca, pochodzi od nich. Pamiętaj o straszliwej chorobie w dawnych latach. Zgasiła moc naszego szczepu...

–Ginęli na ospę także wa-szi-czu, biali ludzie! – odparł wyzywającym głosem stryj.

–Biali handlarze wpychają nam wódkę. Każą nam pić do utraty zmysłów. Potem oszukują nas w bezczelny sposób. Twój Dick...

–Bardziej winni są ci, którzy piją, aniżeli ci, którzy wódkę sprzedają! – krzyknął stryj. – Odmawiajcie picia, nie będą wam sprzedawali. A Dick chce słuszną cenę zapłacić za moją Nemissę.

–Chciwość odebrała ci bystry wzrok, bracie. Czy już zapomniałeś o wielkim nieszczęściu naszego obozu? Wtedy dorastaliśmy do wieku wojownika. Czy mam ci przypomnieć zdradziecki napad białych ludzi? Żyliśmy z nimi w zgodzie, nie było wojny, nie było zwady. Żołnierze przyjechali do naszego obozu. Bez przyczyny, znienacka zaczęli mordować naszych bezbronnych wojowników, starców, kobiety. Zginął nasz najmłodszy brat, a miał wtedy sześć lat. Zginął nasz kuzyn, Wędrujący Wilk. Zginęła jego matka. Takiej rzezi nie zapomina, kto ma rozum i wątrobę.

/

–To głupstwo odgrzebywać dawne wypadki. Działy się kilkanaście „wielkich słońc” temu.

–Mylisz się! Kilkanaście lat nie potrafi zatrzeć pamięci!...

Przed namiotem rozległy się ochryple wołania i wszyscy przy ognisku umilkli. Poznali głos Dicka Ruxtona. Handlarz gwałtownym ruchem rozwarł wejście do namiotu i wkroczył do środka. Stał osłupiały na widok tyłu zebranych. Niepewnie chwiały się na rozstawionych nogach, w rękę trzymał butelkę. Wodził dokoła pijanym wzrokiem; gburowaty śmiech wydarł mu się z gardła.

–*Weil*, wszyscy krewni z pomiotu mej czerwonej narzeczony są w jednej kupie.

Przystąpił do mego ojca, siedzącego najbliżej wejścia, i przytknął mu butelkę nakazując:

–Pij, szwagrze!

Ojciec odsunął łagodnie jego* rękę:

–Nie piję, dziękuję.

–Pij!! – wrzasnął Amerykanin i chciał wlać wódkę przemocą do ust.

Wtedy ojciec wytrącił mu z dłoni butelkę, która zatoczyła łuk w powietrzu i padła gdzieś w szary kąt namiotu.

–*Goddam you!* - zapienił się Ruxton, gwałtownym ruchem dobywając zza pasa rewolwer. Lecz zanim skierował broń na ojca, doskoczyło do niego kilku wojowników i obezwładniło go. Powstał zgiełk. Przyjaciele ojca chcieli Ruxtona zabić, lecz zwolennicy stryja zasłonili go swymi ciałami.

Jak wielu Amerykanów na preriach, Ruxton miał twarz zarośniętą bujną brodą aż po uszy. Wydawał mi się uosobieniem odrażającej brzydoty, jakimś upiorem. Indianie nie mają zarostu na twarzy. Podczas szamotania się brodaczy ryczał z wściekłości i był bardziej podobny do złego ducha niż do człowieka. I to był rzeczywiście nasz zły duch.

Wszyscy zerwali się i biegli to tu, to tam, tylko ja jeden pozostałem przy ognisku, zdrętwiały z przerażenia. Widziałem dwie grupy, rzucające sobie wrogie słowa. Kłótnia napędziła mi wielkiego strachu, jak gdyby dziecięcy instynkt wyczu-

wał tragedię, zagrażającą istnieniu szczepu: rozłam na dwa obozy.

Dick Ruxton nie był jedynym Amerykaninem w naszym obozie. Miał ze sobą kilku uzbrojonych po zęby towarzyszy. W kilka godzin później, o świcie, ludzie ci wykradli Nemissę, podobno za jej zgodą, j na, rączych koniach wymknęli się z obozu. Nie wiem, czy ich ścigano. Po kilku tygodniach dziewczyna wróciła do nas przygnębiona i pełna wstydu. Ruxton porzucił ją. U Indian Wron, naszych zaciekle wrogów, znalazł inną dziewczynę i wziął ją za żonę.



ROZBRAT W RODZIE

Jto tym wydarzeniu zapadłem znowu w dziecięcą nieświadomość i nie pamiętam, co się działo w następnych miesiącach. Pewnego dnia przebudziłem się z dziwnym uczuciem. Znalazłem się w powietrzu. Spadałem z konia. Nie wiedziałem nic o tym, że siedziałem na jego grzbiecie, że mnie tam posadzono. Natomiast miałem świadomość tego, jak leciałem w powietrzu, jak uderzyłem o ziemię i leżałem na plecach podziwiając czarne plamy na białym brzuchu wierzchowca. Doskoczył do mnie mój starszy brat, Mocny Głos, i silnymi rękoma wyciągnął mnie spod konia łajając:

–Co to? Siedz mocno na koniu! Jeśli jeszcze nie umiesz jeździć konno, dostaniesz fatalaszki dziewczęce i wychowamy ciebie na babę...

Od tego czasu uświadamiałem sobie więcej wypadków dziejących się dokoła mnie. A koń, chociażby najbardziej naro-wisty, tak łatwo mnie nie zwali ze swego grzbietu.

W owym okresie wciąż jeszcze wędrowaliśmy po preriach jak za dawnych dni. Przestrzeń, nieskończona przestrzeń była

14

nym przyjacielem był Pononka, olbrzymi brytan ze znaczną domieszką krwi leśnego wilka. Gdy dokuczał nam coraz dotkliwszy głód, jedliśmy psy. Nadszedł dzień, kiedy ofiarą miał paść i Pononka, ale temu sprzeciwiłem się z całą gwałtownością.

–Bizonku – przedkładała im matka – on musi zginąć, żeby ratować nas, ludzi.

–Nie musi zginąć, nie może zginąć! – wrzeszczałem podobno. – Niech ginie cały świat, nie psy. Mój Pononka nie zginie!...

I nie zginął. Tak gorąco błagałem i zaklinałem, tak rzucałem się jak nieprzytomny, że oniemiaли ludzie patrzeli na mnie z trwogą i Pononce darowali życie.

Wykorzystując nasz głód rząd amerykański nasyłał nam agentów z żądaniem, byśmy „sprzedali” im nasze tereny, porzucili swobodne życie wędrowek i poddali się jego władzy, za co mieliśmy w rezerwacie dostawać pokarm za darmo. Znając smutny los szczepów południowych nie ulegliśmy wtedy tym namowom, gdyż mieliśmy jeszcze nadzieję, że zdołamy utrzymać z polowania¹.

Pomimo skłębających się nad nami chmur, życie miało,

¹ Po wytępieniu przez europejskich kolonizatorów w ciągu dwóch wieków większości Indian, żyjących na wschód od Missisipi, rząd Stanów Zjednoczonych postanowi w 1825 roku wyrzucić wszystkie pozostałe niedob-itki poza Missisipi, na zachód od tej rzeki. Stworzył tam tzw Terytorium Indiańskie w dorzeczu rzeki Arkanas. W następnych latach przesiedlano Indian w tak brutalny, nieludzki sposób, że wielu z nich ginęło podczas transportu. I tak z 14 000 wygnanych Czerokezów, Indian pokojowo usposobionych, 4 000 skonało po drodze z wyczerpania Samo Terytorium Indiańskie ulegało co pewien czas uszczupleniu na rzecz amerykańskich osadników, zajmujących bezprawnie najżyźniej-sze jego grunty i pastwiska. W końcu zamienono je na jeden ze stanów – Oklahoma – ze szkodą dla praw Indian, wobec przewagi ludności białej.

Dla Indian, żyjących na preriach i w Górach Skalistych, utworzono szereg rezerwatów w różnych częściach Stanów Zjednoczonych i Kanady. Tereny te nie obejmowały nawet dziesiątej części pierwotnego obszaru, posiadanego przez szczepy w okresie ich niepodległości. W zamian za utratę wolności i ziemi przyrzeczono Indianom utrzymanie oraz życzliwe wprowadzenie ich na ścieżkę cywilizacji białego człowieka. Amerykańskie rezerваты Indian stały się żerowiskiem dla różnych oficjalnych i nieoficjalnych aferzystów, oszukujących swych podopiecznych na każdym kroku. Podczas gdy małe i wielkie hieny okra-

2 Mały Bizon

zwłaszcza dla nas, dzieci, wciąż nieodparty powab. Nie spuszczaaliśmy nosa na kwintę. Od pokoleń otrząskani z niebezpieczeństwem wszelkiego rodzaju, nie wyrzekaliśmy się i teraz radości ani słońca, ani tańców. My, chłopcy, ogromnie cieszyliśmy się z odejścia długiej zimy, zwłaszcza gdy pierwsze objawy na niebie zwiastowały wiosnę. Zorza polarna puszczała w górę swe niebieskie promienie, a nocami słychać było gęganie dzikich gęsi, lecących do rozlewisk północy. Zналиśmy urzekającą wymowę tych znaków: niedługo rodzice nasi zwiną namioty i rozpocznie się używanie największej rozkoszy Indianina, wędrówki po słonecznych preriach północnego zachodu.

Ostatniej nocy w obozie zimowym przed wielkim wymarszem na prerie odbywał się taniec wojenny. Był to doniosły obrzęd. Tej nocy nikt nie spał oprócz nas, dzieci. Ale i nam pozwolono długo przyglądać się uroczystości. Tańczyli wszyscy dorośli mężczyźni, a było ich w naszej grupie przeszło stu. Zaraz po wieczerzy ojcowie, odziani tylko w przepaski biodrowe, malowali swe ciała wieloma barwami, matki trefiły sobie włosy i ubierały się w najlepszą odzież ze skóry jeleniej. Równie strojnie przyodziewano nas, dzieci, i nie sprzeciwiano się, gdy farbowaliśmy sobie twarze. Ów taniec miał w naszym życiu zbiorowym wyjątkowe znaczenie. Był podziękowaniem Wielkiemu Duchowi za szczęśliwe przeżycie zimy i był prośbą o tchnienie w nas męstwa na przyszłość, gdyby niespokojne lato zgotować nam miało jakieś wypadki lub walki.

Cztery grzmiące na całą dolinę uderzenia wielkiego bębna czarownika oznajmiły początek uroczystości. Po tym wstępie odezwały się inne bębny, mniejsze, i podjęły regularny rytm

dały Indian z tego, co im się należało od państwa – z góry, ze sfer rządowych Waszyngtonu, szła najgubniejsza, antyhumanitarna polityka rasowego uprzedzenia.

Dopiero usilna walka kół postępowych w Stanach Zjednoczonych spowodowała po pierwszej wojnie światowej pewną zmianę tej polityki. Nie mogło to już oczywiście naprawić wszystkich szkód wyrządzonych Indianom. Drukowane w tych czasach dzieła niektórych Amerykanów – uczciwych badaczy Indian i ich historii, jak Gordona Mac Gregora, Clarka Wisslera, Johna Colliera – obnażają całe haniebne barbarzyństwo polityki szerzenia „cywilizacji” wśród indiańskich szczepów w Stanach Zjednoczonych.

tańca, a śpiewacy zanucili władczą, żalostną pieśń. Do głównego namiotu zapchanego do połowy ludźmi, wbiegli w podskokach tancerze. Groźnie pomrukując, powoli okrążali rozpalone pośrodku ognisko. Ich umiarkowane z początku ruchy wnet nabrały gwałtowności w takt coraz burzliwszego śpiewu i bicia w bębny, aż rozpętały się w szaloną furię. Taniec wyrażał za-palczywość walczących wojowników. Z ust tancerzy wydzierały się okrzyki wojenne. Zęby świeciły niesamowicie w blasku ogniska, oczy tryskały żądzą walki. Ze wzrokiem utkwionym w ciemną dal ponad głowami zgromadzonych, zapatrzili się w niezgłębione otchłanie owych mitów i baśni, z jakich rodził się srogi duch tańca wojennego.

Taniec przenikał do krwi każdego Indianina. Nawet my, bąki, drżeliśmy z podniecenia i chciało nam się krzyczeć i tańczyć razem z naszymi ojcami. Tancerze odbijali się wysoko od ziemi i śpiewali:

–Niech zwycięstwo biegnie przed naszą ścieżką, niech to warzyszy naszej broni. Niech wróg śpi długo i snem twar dym!...

Wojownicy rzucali w górę kawałki drewna i chwyтали je na ostrze włóczni wykrzykując:

–To samo stanie się z naszymi wrogami. Nadziejemy ich jak wiązkę chrustu. Rozbijemy jak nędzne próchno!...

Tej nocy zaszło zatrważające zdarzenie. Ktoś zauważył, że nie wszyscy z naszego obozu brali udział w ceremonialnym tańcu. Stryj Huczący Grzmot i kilku innych wojowników uchylilo się od tej szczepowej powinności i w ogóle nie przyszło. Takie wywołało to zgorszenie, że uroczystość natychmiast przerwano. Wszyscy byli jak porażeni. Cisza zaległa obrzędowy namiot.

–Huczący Grzmocie! – krzyknął na cały głos wódz na szego obozu.

Był to Krocząca Dusza, młody stosunkowo wojownik, którego męstwo w kilku potyczkach z wrogimi szczepami, a przede wszystkim rozsądne wypowiedzi na naradach wyniosły na, czoło naszej grupy.

2* "^^^C ^

Stryja nie było w pobliżu, lecz wyszukano go wśród namiotów i przyprowadzono. Gdy stanął w świetle ogniska, miał buńczuczną minę i dziwaczne iskry w oczach, jakby pod wpływem alkoholu.

–Czego chcecie? – odezwał się wyzywająco.

–Czyś niespełna rozumu? Zadajesz takie pytanie? Wiesz, o co chodzi! – zawołał do niego Krocząca Dusza.

–Czemu tak krzyczysz? Czego chcecie ode mnie?

–Nie było nigdy wypadku, żeby ktokolwiek usunął się od udziału w tańcu wojennym przed wymarszem z. obozu zimowego.

–A teraz macie ten wypadek ze mną!...

–Człowieku, czyś oszalał?

–Nie chcę tańczyć!

–Wytłumacz się!

Spojrzenia wszystkich obecnych zwrócone były w nieprzyjaznym napięciu na stryja. Niektóre nasze obrzędy miały tak urzekającą moc i tak głębokimi korzeniami tkwiły w naszym życiu, że jakiegokolwiek wystąpienie przeciw nim nie mieściło się w naszej wyobraźni, jak nie wyobrażaliśmy sobie życia ludzkiego bez oddechu. To, co czynił stryj, było nie tylko świętokradztwem, lecz nawet zakrawało w oczach wielu obecnych na zaćmienie umysłu. Stryj musiał być pijany, chociaż odpowiadał jak rozumny człowiek.

–Idzie nowy wiatr przez prerie. Zmienia wszystko co stare. Sami wiecie, jaki ten wiatr jest silny. Nic mu się nie ostanie.

–Więc chcesz, Huczący Grzmocie, żebyśmy mu ulegli? Mamy porzucić nasze odwieczne obrzędy? – krzyknął Krocząca Dusza z pogardą.

Stryj nie zwracał uwagi na jego słowa. Mówił dalej:

–Nasz Wielki Duch był dotychczas dobry. "Wystarczał nam. Ale przyszli Długie Noże – Amerykanie. I co się okazało? Ich Wielki Duch jest silniejszy. Dlaczego mam tańczyć dla słabszego Ducha?

–Milcz!

Słowo to padło jak ostre cięcie bicia. Wypowiedział je Biały Wilk, nasz czarownik. Ów niezwykły człowiek cieszył się wielkim szacunkiem i był najtęższym umysłem wśród Czarnych Stóp. Biały Wilk słynął z wielu cudów, jakich dokonał i w jakie wszyscy wierzyliśmy, chociaż dzisiaj uświadamiam sobie, że to nie były czary, lecz niebywała bystrość umysłu, pozwalająca mu widzieć rzeczy, przez innych niezauważane. Wpływ i doświadczenie swe zawsze zużytkowywał dla dobra szczepu, dlatego więcej go kochaliśmy, niż się bali, i on to był właściwym wodzem naszej grupy.

Jego krótkie słowo przecięło wszelkie gadanie i było jak wyrok. Dręcząca cisza zapadła wśród ludzi. Wtem jeden z grajków zaczął uderzać w bęben, zrazu nieśmiało i cicho, potem silniej, potem inni wpadli w jego takt, nawiązali dawny rytm. Już sprężyły się ciała i tańczący ruszyli od nowa. Wszystkich, jak poprzednio, ponosiła namiętność tańca, tylko teraz mniej było ognia i mniej śpiewu o zwycięstwie. Mroźny podmuch obcego wiatru wpadł do naszego namiotu.

Tak tańczyli ojcowie przez całą noc. Nam, dzieciom, rychło kazano iść spać, ale dzika a jednocześnie słodka melodia wciskała się w nasz sen rozniecając tęsknotę za wielką przygodą.

Było jeszcze ciemno, kiedy w obozie rozległy się nawoływania, by wstać. Skoczyliśmy na równe nogi i zaraz wybiegli pod gwiaździste niebo. Ojciec szedł na prerie po konie, a my, smyki, pomagaliśmy matce w zwijaniu skóry namiotowej. Ruszyliśmy w drogę o brzasku.

I znowu zaszło przykre wydarzenie, tak że nie mogłem powstrzymać się od łez. Stryj Huczący Grzmot z kilkunastoma zwolennikami odłączył się od naszej grupy i postanowił żyć i wędrować samodzielnie. Nie chcieli oni przebywać z nami. Razem z nimi poszły oczywiście ich rodziny, a wśród nich miałem najlepszego przyjaciela i rówieśnika, syna stryja, Kosmate Orlątko. Trzymaliśmy się dotychczas zawsze razem, łączyły nas wszystkie harce, baraszki i ogromne, niezmacone braterstwo. Nadchodziła chwila rozstania. Staliśmy obok siebie, obydwaj niezdolni wykrztusić słowa, niezdolni nawet patrzeć

na siebie. Ze smutku mieliśmy pustkę w głowach i zaschnięte gardła. Sterczeliśmy jak kołki, dopóki rodzice nie zaczęli nas wołać.

–Jedziesz – wyjąkałem w końcu.

–Jadę – odpowiedział Kosmate Orlątko – ale szybko wrócę.

–A jeśli twój ojciec nie będzie chciał?

–Jeśli nie będzie chciał, to mu ucieknę.

–Oj, joj!

–Ucieknę, mówię ci.

–Tak daleko? Przez tyle prerii?

Wobec moich wątpliwości Orlątko wręczył mi swój piękny, mały łuk, z którego już dobrze strzelał do piesków ziemnych, i oświadczył:

–Jeśli nie powrócę, to łuk będzie twój.

Łuk był wyjątkowo cenny, ale Kosmate Orlątko był mi milszy niż wszystkie łuki na

preriach. Chciało mi się beczeć i coś zamgliło moje oczy. Z trudem widziałem, jak przyjaciel człapał na przykrótkich nogach, odchodząc do swych rodziców. W ręce trzymałem jego łuk.

Gdy słońce się ukazało, przemierzyliśmy górskie podnóża, a daleko za nami błyszczały ośnieżone stoki Gór Skalistych. Wszędzie dokoła leżał jeszcze śnieg, czuć jednak było bliską wiosnę. W miarę schodzenia w coraz niższe doliny odnosiłmy wrażenie, że fale powietrza rozgrzewały się z godziny na godzinę, ale to pewnie rozgrzewały się nasze serca. Przed nami, na wschodzie, rozpościerały swój czerwony kobierzec faliste prerie.



ZMIERZCH DZIKICH OBYCZAJÓW

JDizony, wtedy niemal doszczętnie wybite w Stanach Zjednoczonych, żyły jeszcze na północy, w Kanadzie, więc grupa nasza skierowała się ku rzece Saskatchewan. Na obszarach, gdzie dziś wznoszą się ruchliwe miasta i osady południowej Alberty i ciągną się nieprzerwanym łańcem bogate pola pszenicy, nie napotkaliśmy wtedy przez wiele dni ani jednego białego człowieka. Mimo to wpływ jego już istniał: na skutek różnych umów z obydwoma rządami – Stanów Zjednoczonych i Kanady – większość szczepów indiańskich zaniechała walk między sobą. Zresztą coraz goźniejszym a wspólnym przeciwnikiem z roku na rok stawał się biały człowiek. Nowe niebezpieczeństwo jednakowo groziło wszystkim bez wyjątku szczepom i ono głównie otwierało oczy na niedorzeczność dotychczasowych bratobójczych zatargów i wiecznych waśni. Tomahawk wojenny – żeby użyć prastarego zwrotu – był zakopany, aczkolwiek niezbyt głęboko, o czym przekonaliśmy się w następnych tygodniach.

23

Ciągnąc na północ ujrzelśmy pewnego dnia przed sobą na preriach oddział obcego szczepu. W takim wypadku zachowywano zawsze wielką ostrożność. Obcy Indianie zatrzymali się tak samo jak my. Z daleka przysłali nam sygnały za pomocą znaków, stanowiących międzynarodowy język szczepów preryjnych. Ich rzecznik palcami prawej ręki potarł swój lewy łokieć, następnie wyciągniętą przed sobą ręką kołysał w prawo i w lewo ruszając przy tym palcami. Dotknięcie łokcia znaczyło: Indianie; ruszanie palcami i machanie ręką: jakiego szczepu? Krocząca Dusza, nasz wódz, odpowiedział znakiem: Czarne Stopy, i wskazał w stronę, w której był nasz zimowy obóz. Na to tamci ujawnili się jako Indianie Kri i dali znak pokoju podniesieniem prawej ręki, skierowanej ku nam otwartą dłonią – odwieczny symbol, wskazujący, że w prawej ręce nie ma broni. Kri należeli do niedawna do naszych wrogów, mimo to odpowiedzieliśmy im tym samym znakiem pokoju.

Obydwaj wodzowie grup zsiadli z koni i spotkali się w połowie drogi. Jeden drugiemu ofiarował tytoń i dał do wypalenia swoją fajkę, czym ceremonii stało się zadość, i obydwaj oddziały podjechały do siebie.

Okazało się, że był to zbuntowany oddział Kri. Odłączył się od głównego szczepu na znak protestu przeciw zawartej z rządem kanadyjskim umowie pokojowej na warunkach krzywdzących Indian. Taki obrót rzeczy mocno nas zaniepokoił. Nie chcieliśmy zadzierać z nikim: ani z Indianami, ani z Kanadyjczykami.

–Jakie macie teraz zamiary? – badał ich Krocząca Dusza w niezbyt przychylnym nastroju. – Czy chcecie walczyć z białymi?

–Ani nam przez myśl nie przeszło! – zapewniali Kri. – Nie chcemy z nimi walczyć ani też nie mamy ochoty lizać im butów. Nie chcemy upokarzać się. Natomiast zależy nam na was. Z wami żyć pragniemy w najściślejszej przyjaźni.

Krocząca Dusza miał wątpliwości, bo Kri przyznali się, że przed dwoma tygodniami stoczyli z północną grupą naszego szczepu Czarnych Stóp potyczkę, w której szczęśliwym tra-

fem nikt nie zginął. Sprawę rozstrzygnął Biały Wilk, nasz czarownik, oświadczając się stanowczo za uznaniem przyjaźni Kri. Rada naszej starszyny uchwaliła pokój. To, co Biały Wilk radził, zawsze okazywało się najmądrszym wyjściem. Zapanowała wielka radość i na przypieczętowanie pokoju postanowiono wyprawić wspólną, ucztę.

Podczas biesiady jeden z naszych starszych wojowników, Pogromca Sześciu, siedział naprzeciw pewnego Kri i nie spuszczał z niego oczu. Kri nazywał się Brązowy Mokasyn. Chociaż zauważył on to zaciekawienie, nie dał nic po sobie poznać. Na piersi jego widniał naszyjnik z zębów bizonowych i w ten to przedmiot Pogromca Sześciu wpatrywał się jak urzeczony.

Pod koniec uczyty nasz wojownik zapytał gościa, czy sam wykonał ten naszyjnik. Kri zaśmiał się i głaszcząc zęby bizo-nowe odparł tonem przechwałki:

–Nie. Odebrałem go wojownikowi Czarnej Stopie. Zabiłem go przed kilku laty w walce.

–A czy myśmy też kogoś z waszych zabili?

–Owszem – wyjaśnił Brązowy Mokasyn. – Jednego Kri i czternastu Siouxów. Walczyli po naszej stronie.

Pogromca Sześciu zerwał się na równe nogi i rycząc ze wściekłości, chciał rzucić się na wojownika Kri. Po naszyjniku poznał zabójcę swego syna. W ogólnym podnieceniu zano-siło się na ciężką bójkę, ale starszyźnie naszej udało się uspokoić gorące głowy i także przywieść do rozumu Pogromcę Sześciu. Doświadczony wojownik pozwolił sobie wytłumaczyć, że ważniejszy jest pokój szczepu niż jego osobista zemsta, i w końcu podał rękę do zgody. Zapanował znów serdeczny nastrój i od tego czasu nic nie zmąciło naszej przyjaźni.

Kri byli tak uradowani pomyślnym wynikiem spotkania, że prosili, by mogli iść razem z nami do Montany i zawrzeć tam pokój ze wszystkimi szczepami, z jakimi dotychczas mieli zatargi. Chętnie na to przystaliśmy.

Bizonów nie spotkaliśmy podczas tej wyprawy, więc zwróciliśmy się znowu na południe. Po drodze, w roli rzeczników

pokoju, odwiedziliśmy Siouxów, Gros Ventres, czyli Hidatsa, Szijenów i zaprzyjaźniony z nami odłamek Wron. Wszędzie dawniejsi wrogowie gotowali wojownikom Kri życzliwe przyjęcia i wyprawiali uczyty. Jedynie u Siouxów doszło do zakłócenia zgody.

Przybyliśmy właśnie w chwili, gdy misjonarze przy pomocy amerykańskich żołnierzy zabierali przemocą dzieci Siou-xów do szkoły. Widok ten i płacz dzieci rozsierzdziły ich wodza, Stojącego Byka. Porwany gniewem chciał zerwać wszelkie rokowania pokojowe i rozpocząć nową wojnę wycięciem w pień oddziału Kri. Wysiłki rozsądnych wodzów przywróciły spokój, a suta biesiada z zabawą utrwaliła przyjaźń.

Podczas odwiedzin północnej grupy Wron wyłoniły się podobne zatargi. Wódz ich darzył życzliwością przybyły oddział Kri, ale niedostatecznie trzymał w karchach swych krewkich wojowników. Młodzież Wron wkrótce po przybyciu oddziału Kri

rozpoczęła taniec wojenny i otoczyła gości zwartym kołem, ażeby nikt nie umknął. Podczas tańca trzymała już broń ukrytą pod kocami, jakie miała na sobie, i z pewnością skończyłoby się walką, gdyby nie przytomność umysłu jednego z naszych wojowników, Dwóch Rzutów. Wzięty za młodu przez Wrony do niewoli i po latach odbity, Dwa Rzuty znał ich język i teraz z półsłówek zrozumiał, na co się zanosi. Z narażeniem życia wpadł między tańczących tłumacząc im w gorących słowach konieczność pokoju między szczepami. Zawstydził ich mówiąc, że zasłużą na miano wyjątkowych tchórzów, jeśli podstępnie napadną na swych gości Kri, przybyłych przecież z zamiarem pogodzenia się i zacieśnienia przyjaźni.

Wystąpienie Dwóch Rzutów poskutkowało. Wrony zaprzestali tańca i polecili swoim kobietom przygotować wspólne jedzenie, ażeby uczcić gości jak się patrzy.

Tak to nowe prądy przyjaźni przełamywały stare uprzedzenia i uwalniały szczepy od barbarzyńskich nałogów dnia wczorajszego. Indian łączyła jedna wspólna troska o bliską przyszłość, a troskę tę wywoływał coraz widoczniejszy napór

białych ludzi nk łowiska szczepów preryjnych. Wracając zaś do naszych przyjaciół Kri, to przyznać trzeba, że była to dzielna wiara. Wielu z nich żyje do dziś w dolinie rzeki Qu'appelle, w kanadyjskiej prowincji Saskatchewan.

Na wszystko to patrzałem i chociaż umysł smyka niewiele mógł pojąć z tego, co działo się dokoła, późniejsze opowiadania starszych uzupełniały mi szczegóły ówczesnych wydarzeń. Podczas tych letnich wędrówek, nas, dzieci, najbardziej obchodziły własne zabawy, a mieliśmy w obozie raj nieopisany.

Indianie preryjni, z wyjątkiem nielicznych jednostek, nie posiadali jeszcze umiejętności pisania i czytania, więc ustne opowieści starszych ludzi nabierały szczególnego znaczenia, bo zastępowały nam książki. Były to najczęściej pogadanki o wielkich bohaterach i niezwykłych przygodach. Słuchaliśmy ich przy ogniskach z zapartym oddechem, a potem w naszych zabawach na preriach staraliśmy się odtwarzać wielkie czyny przodków. Tak samo jak chłopcy w Europie bawiliśmy się w „Indian”, z tym że i prerie były prawdziwe, i uczestnicy gier rzeczywistymi Indianami.

Zabawy odbywały się oczywiście tylko podczas dłuższych postojów. Najczęściej były to „bitwy”, które rozgrywaliśmy starając się naśladować starszych i kończąc je zawsze tańcem zwycięstwa. Każdy chłopak przechodził rodzaj szkoły wojennej i brał udział w różnych zapasach sportowych, jak wyścigi konne i piesze, strzelanie z łuku, rzucanie oszczepem, zimowe kąpiele w rzece. Wszystkim tym zabawom towarzyszył duch ostrego współzawodnictwa; miały one na celu hartowanie jednocześnie ciała i charakteru. Trudno sobie wyobrazić nadzwyczajną sprawność fizyczną chociażby pięcioletniego Indianin-ka.

Przypominam sobie moją pierwszą zimową kąpiel w rzece. Było to o świcie pewnego mroźnego poranku. Jeszcze spałem. Nagle starszy brat, Mocny Głos, wyciągnął mnie z pośłania i przemocą zawlókł do rzeki, nad którą obozowaliśmy. Na nic się zdały moje rozpaczliwe miotania się po drodze. Uderzeniem nogi Mocny Głos przebił cienki lód na rzece i wrzucił

mnie do przerębli. Myślałem, że skonam. Kąpiel trwała tylko kilka chwil; potem wróciliśmy pędem do namiotu. Nawet kataru nie dostałem.

Mocny Głos był starszy ode mnie o sześć lat i łączyła mnie z nim serdeczna przyjaźń tak samo jak z kuzynem Kosmatym Orlątkiem. Ale tego poranku byłem na niego wściekły, miałem go po same uszy. Popędziłem do ojca na skargę.

–Bizonku! – zaśmiał się ojciec. – Przecież to ja mu kazałem wrzucić ciebie do wody. A wiesz dlaczego?

–Wiem. Bo byłem wczoraj nieposłuszny...

–Co było wczoraj, dziś nas nie obchodzi. Ważniejsze jest jutro. Musisz wyrosnąć na silnego wojownika. Kąpiel to nie kara. Odtąd będziesz co świt kąpał się w zimnej rzece.

–Dobrze, ojciec. Ale ten Mocny Głos...

–Cóż Mocny Głos?

Z dziecinnym uporem nie mogłem przeboleć urazy do brata. Ojciec poradził mi odplacić się psikusem za piskus: rano wstać wcześniej niż Mocny Głos i uraczyć go kawałkiem kry z rzeki. Zrobiłem tak. Następnego dnia sam pobiegłem do rzecznej kąpieli. Wróciłem z dużym kawałkiem lodu i wsunąłem bratu na gołą pierś. Jak porażony zerwał się ze snu i w pierwszej chwili chciał mnie zbić. Potem śmiał się jak wszyscy inni w namiocie. Kąpiele w przerębli weszły w mój zwyczaj i także w zwyczaj Pononki. Wierny czworonogi towarzysz siedł za mną wszędzie, nie odstępując mnie nawet w lodowatej rzece.

Wspólne obozowanie kilku szczepów sprzyjało sportowej zaprawie młodzieży. Mogliśmy mierzyć zręczność naszą ze zręcznością dzieci innych szczepów, co zawsze odbywało się w ramach namiętnego współzawodnictwa, a równocześnie było nauką karności, ogłady i godnego zachowania się. Odruchy nieszlachetności czy prostactwa tępiono bezwzględnie. Z dziećmi innych szczepów często zawiązywała się przyjaźń, szczerą i wierną, dochowywaną przez wiele lat, a przeważnie do końca życia.

W tych błogich miesiącach radość towarzyszyła mojemu życiu i do zupełnego szczęścia brakowało mi tylko Kosmate-

go Orlątka. Serce od czasu do czasu ścisnął mi ból, ból tęsknoty za kuzynem, który odszedł od nas ze swym ojcem, Huczącym Grzmotem. Kosmate Orlątko, powtarzam, był moim najlepszym przyjacielem i towarzyszem zabaw. Miał co prawda krótkie nogi i na piechotę zawsze go białem, za to na koniu był pierwszy, a jako łucznik – niezwykły. Jak przyrośnięci trzymaliśmy się obok siebie we wszystkich przygodach i bez niego było mi teraz jak bez ręki, jak bez duszy. Ileż to Orlątko wyprawiał baraszek, jak wesoło umiał się śmiać!

Ze swych smutków zwierzałem się bratu Mocnemu Głosowi. Nie mógł mi pomóc. Zwracałem się również do ojca, chętnego zawsze do pomocy, jeśli czegoś potrzebowałem.

–Ojcie – pytałem – kiedy wróci Kosmate Orlątko?

–Nie wiem, Bizonku – odpowiadał ojciec, który rozumiał moje strapienie.

–To jedźmy do niego – niecierpliwiłem się jak dziecko.

Ojciec uśmiechał się blado i kładąc rękę na mej czuprynie mówił:

–Nie możemy opuszczać naszego szczepu, drogi synu. Zresztą nie wiem, gdzie

Orlątko jest w tej chwili...

–Jest ze stryjem Huczącym Grzmotem.

–Jest ze stryjem Huczącym Grzmotem, ale gdzie jest stryj?

Ojciec tego nie wiedział i znać było, że i jego nękała nieobecność brata. To, że ktoś dzielił ze mną zmartwienie, przynosiło mi pewną ulgę, więc opuszczałem namiot z nową ochotą i pędziłem do mych rówieśników w obozie Kri i Siouxów. Dobrzy to byli chłopcy i nieźle się z nimi bawiło, ale przecież żaden z nich nie mógł zastąpić przyjaciela. Któż by dorównał Orlątku, któż by tak dokazywał jak on i gnał tak zuchwale na grzbiecie mustanga poprzez prerie?



POD UROKIEM CZARODZIEJSKIEGO BĘBNA

1 ej wiosny wiele myślałem o naszym czarowniku Białym Wilku. Wierzyłem, że jeśli kto, to tylko on mógłby mi pomóc w kłopotach i wnieść jakieś światło do sprawy, która mnie wtedy najwięcej męczyła. Przecież czarownik znał wszystkie tajemnice życia, więc musiał także wiedzieć, gdzie był Kosmate Orlątko i kiedy go zobaczę.

Namiet-tipi Białego Wilka stał w obozie nieco na uboczu; był większy niż inne tipi i już z daleka rzucał się w oczy swymi malowidłami. Obok rysunku białego wilka widniały na nim różne, kolorowe znaki, tak tajemnicze, że nas, dzieci, przejmowały cichą trwogą, gdy na nie spoglądaliśmy. Ileż razy zbliżałem się do tego namiotu, by zagadnąć Białego Wilka i poprosić go o wieści o Kosmatym Orlątku! Na nic to się nie zdało. W pobliżu namiotu język wysychał mi w gardle; ze wzruszenia i lęku nie mogłem wykrztusić słowa do czarownika. Strasznie wstydzilem się przed samym sobą tej słabości charakteru. Zdawałem sobie sprawę, jak dobrym człowiekiem był Biały

* 30

Wilk, a jednak niesamowity jego urok tłumił wszystkie me zamiary i – uciekałem. Namiot Białego Wilka równie silnie przyciągał uwagę mego starszego brata, Mocnego Głosa, i jego przyjaciół, chociaż z zupełnie innych pobudek. Każdy Indianin za młodych lat marzył, by zostać czarownikiem, czyli człowiekiem o nieograniczonej potędze i często większym wpływem na swój szczep, aniżeli miał go sam wódz. W każdym liczniejszym obozie było kilku wodzów i mnóstwo członków rady szcypowej, ale jeden tylko czarownik, i ten strzegł swej godności i swych tajemnic bodaj tak żarliwie jak własnego życia. Pełnił on trojaki obowiązek; był lekarzem, był doradcą w zawiłych sprawach szcypu i był kapłanem.

Czarownik sam wybierał swego następcę. Był to zazwyczaj dwunasto- lub trzynastoletni chłopiec, odznaczający się przymiotami ducha i ciała. Wybór padał przeważnie na takiego, który już od dziecka przewodził rówieśnikom w zabawach i któremu wszystko, „łatwo przychodziło”. Czarownik zwracał się do rodziców z zapytaniem, czy zechcą mu oddać syna. Był to dla rodziny i chłopca zaszczyt nie lada i nie znam wypadku, żeby ktoś odmówił. Kształcenie i urabianie przyszłego czarownika trwało kilkanaście lat, a była to twarda szkoła życia.

Najpierw czarownik zabierał ucznia na pół roku w bezludne ustronie Gór Skalistych i tam udzielał mu pierwszych wskazówek. Najważniejszym zadaniem w owym czasie było – jak mówił czarownik – uzyskanie przewagi ducha nad ciałem.

W tym celu uczeń odbywał wielodniowe głodówki i uczył się znoszenia bólu bez drgnienia. Z dalekiej podróży wracał zupełnie zmieniony, nie był już wesołym towarzyszem swych rówieśników.

W nas, chłopcach, taki młodzieniec budził zawsze podziw; czuliśmy, że posiada jakąś wielką tajemnicę, odgradzającą go od nas, a której nie zdradziłby nawet swym rodzicom. Podobne wyprawy na pustelnię trwały przez trzy lata. Ciało chłopca było wówczas zahartowane jak stal, a siła woli wyrobiona do

tego stopnia, że wszelkie zadane mu rany i cięcia przyjmował bez oznak bólu.

Po tym wstępie zaczynało się właściwe szkolenie. Uczeń wnikał w tajniki medycyny i poznawał dokładnie działanie różnych ziół. Ponieważ u ludów prymitywnych nic ważnego nie odbywało się bez magii, chłopiec uczył się równocześnie różnych zaklęć, umiejętności wróżenia i komunikowania się z duchami. Dziś, po latach, wiem, że było w tym wiele kug-larstwa, jednak i to pewne, że pod tą powłoką wątpliwej wartości kryła się poważna wiedza, dotycząca tajemnic przyrody. Czarownik był przede wszystkim doskonałym przyrodnikiem i to dawało mu olbrzymią przewagę nad innymi ludźmi w społeczności, tak bardzo zależnej w swym istnieniu od sił przyrody. Na przykład czarownik „wróżył”, w jakim miesiącu i gdzie znajdziemy najwięcej zwierzyny, i rzadko kiedy słowa jego zawodziły. Nazywało się, że to duchy go pouczyły, lecz w istocie czarownik z różnych objawów w przyrodzie wysnuwał tylko słuszne wnioski.

W tej nauce najbardziej przejmujące wrażenie wywierał na nas okres „siedmiu namiotów”, trwający przez siedem lat. Czarownik własnoręcznie wznosił specjalny namiot i gromadził w nim różnorakie narzędzia, potrzebne do nauki. W tym namiocie uczeń żył przez cały rok i nabywał zręczności w różnych sztuczkach, które dziś nazwałbym kuglarskimi. Po upływie roku składał przed czarownikiem kilkudniowy egzamin ze swej sprawności. Następnie przechodził do innego namiotu z innymi przedmiotami i tak doskonalił się przez siedem lat.

Po przekroczeniu pięciu namiotów, a więc po pięciu latach, młodzieniec składał dwa egzaminy czynienia „złych czarów”. Musiał przy tym wykazać umiejętność rzucania skutecznych zaklęć i nawet wywoływania śmierci. W przeciwieństwie do opinii utartej wśród Europejczyków, uważających wszystkich bez wyjątku czarowników za złoczyńców – wielu naszych czarowników nie było złymi ludźmi i nie trwonilo lekkomyślnie życia ludzkiego; jeśli zaś istniała, rzadka zresztą, konieczność

zadania śmierci, to przeważnie chodziło o usunięcie szkodnika, niebezpiecznego dla bytu grupy czy szczepu.

Biały Wilk był uczciwym czarownikiem i nie ulega wątpliwości, że wywierał dodatni wpływ na losy naszej grupy. Natomiast trudno powiedzieć to samo o innych czarownikach. Posiadanie olbrzymiej władzy czarodziejskiej nad swym ludem łatwo prowadziło do nadużywania jej. Nawet tam, gdzie czarownicy nie objawiali wyraźnie złej woli, byli często ostoją wsteczności i wrogami postępu.

Zaklęcia Białego Wilka wydawały nam się szczytem sztuki czarodziejskiej i były dla nas niezbitym dowodem łączności z siłami niewidzialnymi. Dziś tłumaczę to sobie inaczej. Skuteczność zaklęć wynikała w dużej mierze z przyczyn psychologicznych – wszyscy bowiem wierzyliśmy w ich moc. Ale ostatecznie decydowały przyczyny całkiem materialne; czarownik znał przecież właściwości rozlicznych ziół i sztuka jego polegała na tym, że umiał niepostrzeżenie stosować leki i trucizny.

Często stawaliśmy przed namiotem Białego Wilka i z biciem serca słuchaliśmy niezwykłych dźwięków, jakie stamtąd dochodziły. Odróżnialiśmy ze wzruszeniem

odgłos czarodziejskiego bębna „Mitijawin” i oddawaliśmy się błogiej nadziei, że pewnego dnia czarownik pojawi się u naszych rodziców i wybierze którego z nas jako ucznia.

Opowiadano nam szeptem, że w namiocie działały się rzeczy tajemnicze, przechodzące wyobraźnię ludzką. Raz, ku naszemu przerażeniu, udało nam się zobaczyć w półmroku namiotu młodzieńca ze szkaradnie zniekształconą twarzą. Jeden opuchnięty policzek zwisał mu jak szmata nad dolną szczęką, powieki miał upiornie wywrócone, a dolna warga sięgała mu poza brodę. Matki tłumaczyły nam, że czarownik zaklął w młodzieńca złego ducha.

Były jednak w szczepie stare niewiasty, które umiały odczyniać tego rodzaju „czary”, robiąc to zresztą za zgodą samego Białego Wilka. Naparzały jakieś zioła lecznicze i kazały choremu wdychać parę. Wkrótce nieborak coś wyczuwał w ustach.

3 Mały Bizon

Okazywało się, że był to włos. Gdy go wyciągnięto, twarz chorego zaczęła powoli odzyskiwać normalny wygląd. Skąd zjawiał się ów dziwny włos, nikt wówczas nie umiał wyjaśnić. Po latach spotkałem Indianina Siouxa, który doznał tych samych czarów i zbadał, na czym polegała tajemnica czarownika. Był to mianowicie długi włos ludzki, zaprawiony trucizną i wsadzony potajemnie przez czarownika do ustnika fajki, którą Sioux zwykle palił. Stąd włos z trucizną przedostał się do ust. Jestem pewny, że „cudy” naszych czarowników można było wytłumaczyć w taki sam naturalny sposób.

Owej pamiętnej wiosny, w której tak bardzo pragnąłem rozmawiać z Białym Wilkiem o Kosmatym Orlątku, niespodziewanie zetknąłem się z czarownikiem. Spotkałem go nad brzegiem rzeki. Była to moja pierwsza i ostatnia rozmowa z tym niezwykłym człowiekiem.

Siedziałem wtedy sam w pobliżu naszego obozu nad rzeką i łowiłem ryby na wędkę, zrobioną przez starszego brata, Mocnego Głosa. Nagle posłyszałem za sobą kroki. Obejrzałem się i zobaczyłem Białego Wilka. Przyszedł nad rzekę po wodę dla swych tajemniczych obrzędów. Struchlałem, gdy stanął tuż za mną. Widocznie zauważył moje przerażenie, bo łagodnie pogłaskał mnie po głowie i rzekł przyjacielskim, pytającym głosem:

–Łowisz ryby, Bizonku? Tutaj?

Koła zaczęły mi wirować przed oczyma i nie mogłem wydusić żadnego słowa.

–Tu nie ma ryb – rzekł czarownik. – Chodź, pokażę ci, gdzie są.

Machinalnie wyciągnąłem wędkę z wody, zabrałem robaki i poczłapałem za nim. Szliśmy niedaleko, kilkanaście kroków.

–Tu spróbowałbym – wskazał mi miejsce w rzece, po zornie nie różniące się niczym od poprzedniego.

Tymczasem ochłonąłem z pierwszego oszołomienia i poczułem przyływ odwagi. Chwyliłem czarownika mocno za skórzaną nogawkę i spojrzałem w górę. Wysoko nade mną wi-

działem jego wyraziste oczy. Mówiłem coś, ale z takim trudem, że wychodził z tego niezrozumiały bełkot i tylko jedno słowo było wyraźniejsze:

–Kosmate... Orlątko...

Czarownik musiał domyślić się wszystkiego. Jego twarz nagle spoważniała. Wielkie ramiona objęły mnie ciepłym ruchem i po chwili usłyszałem jego stroskany głos:

–Nie pytaj mnie, Mały Bizonku. Nie pytaj o Orlątko...

Odchodząc ode mnie Biały Wilk poklepał mnie i rzekł ła godniej:

–Nałów wiele ryb.

Nie rozumiałem, czemu Biały Wilk tak się zasmucił, gdy go pytałem o Orlątko. Przecież to był mój przyjaciel. Coś zaczęło mi się cisnąć do oczu i dławić mnie za

gardło. Miałem żal do czarownika.

Teraz rybki brały jak urzeczone. Wyciągałem jedną po drugiej, same chyba włożyły na haczyk. Krzątałem się bez wytchnienia, ale mimo to mgła wypełniała mi oczy i coraz bardziej zacierała brzeg i rzekę, wędkę i ryby.





UDERZYŁ PIORUN

W wędrówce na południe już dawno przekroczyliśmy Rzekę Mleczną i obozowaliśmy przez kilka dni w dolinie strumienia, zwanego Muszłowym. Zbliżyliśmy się znowu do podnóży Gór Skalistych, a prerie w tych stronach Montany składały się z samych falujących pagórków. Korzystając z postoju my, chłopcy, urządziliśmy wycieczki konne, oddalając się nieraz sporo kilometrów od obozu.

Pewnego dnia podczas takiej wyprawy spostrzegliśmy daleko na południu jeźdźca pędzącego galopem w naszym kierunku. W ostatnich dniach ostrzegano nas, chłopców, by zwracać na wszystko czujną uwagę: grupa Okotok, należąca do szczepu Wron, która zawsze była nam wrogiem, ostatnio zachowywała się wyzywająco i knuła jakieś złe zamiary. Ponieważ nie mieliśmy przy sobie żadnej broni z wyjątkiem dziecięcych łuków i noży, zaczęliśmy uciekać w stronę obozu.

Gdy jeździec nas doganiał, starsi między nami, o bystrzejszym wzroku, poznali go. Był to Rwący Potok, młody wojownik naszej grupy, który parę miesięcy temu, pod koniec

36

zimy, po owym przykrym rozdźwięku podczas tańca, odłączył się od nas wraz z moim stryjem, Huczącym Grzmotem. Powstrzymywaliśmy konie, by go serdecznie przywitać, ale jemu było bardzo spieszno. Wcale nie zatrzymując się krzyknął do nas:

–Gdzie obóz?

Wskazaliśmy mu kierunek i popędzili obok niego. Pojawienie się Rwącego Potoka i szalony pośpiech wprawiły nas w podniecenie; starsi chłopcy zasypywali go pytaniami. Zbывał ich byle czym, urywanym, zdawkowym słówkiem; zmiarkowaliśmy, że stało się jakieś nieszczęście. Zbliżyłem mego konia do niego i zawołałem:

–Gdzie... Kosmate... Orlątko?

–Nie żyje! – odkrzyknął Rwący Potok.

Od pędu szumiało w uszach, więc zdawało mi się, że źle go zrozumiałem.

–Gdzie jest? – zapytałem.

–Nie żyje!! – wrzasnął Potok zwracając się twarzą do mnie. – Zabity.

Teraz dobrze słyszałem. Zawołałem co sił:

–Czemu tak żartujesz?

–Głupiś! Nie żartuję! Zabity...

Ten pierwszy wielki cios w życiu przyjąłem zadziwiająco spokojnie. Tylko przez

chwile powstał w mej wyobraźni jaskrawym błyskiem obraz naszego rozstania: ja trzymający w ręku jego łuk, on oddalający się ode mnie do swych rodziców, na krótkich nogach, podobniejszy raczej do pociesznego niedźwiadka. Byłem wówczas bardzo przygnębiony; przytłaczał mnie smutek, gdy Kosmate Orlątko tak zniknął mi z oczu. Zniknął naprawdę. Znikł. Zabity.

Podczas dalszej jazdy już nic nie myślałem. Zdrowa natura dziecka jak gdyby pogrzyła wszystkie wrażenie w kojącym mroku. Silniej tylko musiałem trzymać się grzywy konia, ażeby nie spaść w szalonym galopie.

W obozie natychmiast zwołano wielką naradę. Dowiedzieliśmy się szczegółów wypadku. Wojownicy szczepu Wron,

właśnie z owej niespokojnej grupy Okotok, dokonali napadu na oddział stryja Huczącego Grzmota, gdy obozował wśród podnóży Gór Skalistych. Pogłoski o ich wrogości nie były niestety wyssane z palca. Co ciekawsze, wśród Wron znajdowali się biali ludzie, przypuszczalnie Ruxton i jego zgraja. Chodziło im o konie i powiodło się nadspodziewanie: zdobyli wszystkie konie – a było ich przeszło sto – z wyjątkiem jednego, na którym zjawił się u nas Rwący Potok.

W chwili uprowadzenia koni nasi przebudzili się i uderzyli na Wrony. Nie zaszli daleko. Przywitał ich morderczy ogień z wielu strzelb, była to zasadzka białych, którzy znajdowali się w grupie Wron. Kilku naszych padło, reszta musiała się cofać, a tymczasem Wrony pod osłoną gęstego wciąż ognia pospiesznie zabrali konie. Zginęło naszych czterech mężczyzn, jedna kobieta i Kosmate Orlątko. Jak zginął chłopczyk, nikt nie wie. Widocznie biegł w pośpiechu za końmi i wtenczas dostał kulę. Ukryci w nocnej pomroce strzelcy walili do każdego nasuwającego im się pod lufę.

Napad odbył się przed dwoma dniami, o dobre sto kilometrów od naszego obozu. Stryj Huczący Grzmot i jego ludzie, niezdolni do pościgu z brak ukoni, zajęli obwarowane stanowiska. Aż do wyjazdu Rwącego Potoka nikt ich nie napastował. Chodziło widać tylko o konie.

Narady naszej grupy nie trwały długo. Postanowiono odbić łup i dać Wronom nauczkę. Natychmiast zabrano się do zwijania obozu i już w dwie godziny później byliśmy w marszu. Ruchliwość szczepów preryjnych budziła zawsze niepokój i zdziwienie wroga. Dzięki niej Indianie ci przez dziesiątki lat wojen mogli stawiać tak skuteczny opór regularnym wojskom Stanów Zjednoczonych. Mieliśmy w obozie zgrzybiałych starców, kruche niemowlęta i mnóstwo dobytku obok namiotów ze skóry bizonowej. Wszystko to umieszczono teraz na koniach lub tak zwanych „travcis”, noszach, jednym końcem przyczepionych do boków konia, drugim końcem ciągnących się po ziemi. Jechaliśmy przez cały wieczór i noc tak szybko, że o świcie byliśmy u celu. Stryja i jego ludzi zastaliśmy całych.

Znamienne dla delikatności uczuć było zachowanie się wodza, Kroczącej Duszy, i czarownika, Białego Wilka, w stosunku do stryja. Stryjowi, który wszakże sam zerwał z nimi i zawinił nieszczęściu, nikt teraz wymówek nie czynił, nawet słowem nie wspomniął o przeszłości. Wszyscy rozmawiali z nim, jak gdyby wczoraj zgodnie się pożegnano. Stałem przy moim ojcu w chwili witania się braci. Huczący Grzmot był zakłopotany, co nawet ja spostrzegłem. Podeszedł niepewnym krokiem do ojca i ujął go mocno za rękę. Zaczął mówić ciszej niż zwykle:

–Była chmura nade mną. Sam ją ściągnąłem na siebie... Uderzył piorun...

–Chmury, bracie – przerwał mu ojciec łagodzącym głosem – chmury w końcu zawsze się rozwieją. Po nich nastaje pogodne niebo.

–Ale szkoda, jaką wyrządził piorun, pozostaje: zdrowy, mały dębczak złamany...

–Tego nie odmienimy, bracie. To los nas wszystkich. Na każdego z nas spadnie przeznaczony mu piorun. Jeden dębczak złamany, ale obok stoją inne i rosną...

Pomimo że byłem wtedy mały, wiedziałem dobrze, o kim mówili. Mówili o Kosmatym Orłátku. Miałem im za złe, że tak spokojnie prawili o jego śmierci, podczas gdy ja czułem, jakby mi ktoś zatrutą strzałę wbijał w pierś. O śmierci przyjaciela rozmawiać nie potrafiłbym za nic w świecie.

Stryj o dczasu napadu nie próżnował. Wysyłał za wrogiem wywiadowców, którzy jakkolwiek pieszo, wykonali dobrą pracę. Wytrwalej niż antylopy pędzili wysłańcy przez wiele godzin bez spoczynku, śledząc tropy Wron. Stwierdzili, że wróg wy dostał się z podgórzy na otwarte prerie i tu dążył na południowy zachód, jak gdyby w kierunku Fortu Benton. Była to jedyna w całej okolicy większa placówka Amerykanów nad rzeką Missouri, oddalona od nas o jakie trzysta kilometrów. Z Wronami wciąż jechali biali myśliwi. Jak się okazało, była to w istocie banda Ruxtona, która widocznie nosiła się z zamiarem spieniężenia w Benton zrabowanych koni. Benton, le-

żące na pograniczu cywilizacji, było w owych czasach ożywionym ośrodkiem handlowym.

Całe szczęście, że rabusie niezbyt się spieszyli. Odebrali stryjowi możliwość skutecznego pościgu, więc ufni w swą przewagę, wiele i beztrosko polowali po drodze. Można ich było z łatwością dogonić.

Odwieczny zwyczaj nakazywał, by przed, każdym wyruszeniem w pole zasięgać rady sił niewidzialnych i dowiadywać się o przebiegu i wyniku wyprawy wojennej. Odbywało się to według ustalonej ceremonii. Wódz szedł do czarownika ofiarować mu fajkę. Jeśli czarownik dar przyjmował i fajkę zapalał, było to oznaką, że brał na siebie odpowiedzialność za losy wyprawy i że obowiązywał się towarzyszyć wojownikom we wszystkich walkach. Wódz wymieniał nazwy ochotników – u Indian nigdy nie było osobistego przymusu brania udziału w zaczepnych wyprawach wojennych – i czarownik kazał wodzowi przyjść następnej nocy na dalszą naradę.

Po jego odejściu czarownik odprawiał swe zaklęcia z duchami i dowiadywał się o

los, jaki spotka wojowników. Gdy otrzymywał znaki, że nieprzyjaciół polegnie znacznie więcej niż naszych, podejmowano wyprawę. Jak więc z tego widać, czarownik przyjmował na siebie wyjątkową odpowiedzialność wobec szczepu i on to rozstrzygał, czy będzie wojna czy nie.

W obecnym wypadku dokonano wszystkich obrzędów w przyspieszonym trybie. Chodziło o dogonienie umykającego wroga. Już w kilka godzin po naszym przybyciu do obozu stryja Biały Wilk oświadczył, że- wyprawa będzie miała pełne powodzenie; wrogów padnie ośmiu, natomiast z naszych – nikt nie zginie. Zapanowała wielka radość i przygotowywano się do wymarszu całym obozem. Wojownicy, wyznaczeni do walki, mieli odłączyć się od nas dopiero w pobliżu wroga. Pozostaliśmy jeszcze na miejscu przez kilka godzin, by doczekać nastania nocy i o zmroku dopełnić najważniejszego obrzędu, tak zwanego „objawienia bizonowej czaszki”.

Zazwyczaj potrzebna była do tego głowa świeżo ubitego bizona. W ciągu tych paru godzin, jakie nam pozostały, trudno

było coś upolować, przeto zadowolono się starą, wyblakłą czaszką, znaną łatwo na preriach.

O zachodzie słońca ułożono ją pośrodku miejsca, w którym poprzednio stał obóz, obecnie już zwinięty, spakowany i załadowany na konie. W odstępnie kilkunastu kroków dokoła czaszki zasiedli wszyscy członkowie naszej grupy z wyjątkiem tych, którzy jako strażnicy czuwali na odległych por sterunkach. Nawet nam, dzieciom, pozwolono towarzyszyć ceremonii, umieszczono nas tylko zewnątrz koła, za dorosłymi.

Biały Wilk siadł przy czaszce i zaczął śpiewać zaklęcia. Zbliżała się noc, tylko na zachodzie niebo jeszcze jaśniało. Z pobliskich pagórków stepowe wilki, kujoty, zaczęły żałośnie wyć, jak gdyby wtórując pieśni czarownika. Po ukończeniu śpiewu Biały Wilk odezwał się do obecnych wojowników i kazał im pilnie wpatrywać się w głowę bizona. Jeśli się ukaże znak, mają dziękować duchom za drobną wróżbę. W półmroku czaszka majaczyła niewyraźną, jaśniejszą plamą, poza tym nic nie było widać.

Gdy Biały Wilk zanucił drugą pieśń, z oczodołów bizona posypały się iskry. Głowa zaczęła się kołysać jak u zwierza, którego dopiero co trafiła kula. Dym buchnął z nozdrzy i bizon zaryczał.

My, chłopcy, w czasie tego obrzędu truchleliśmy ze strachu. Lecz gdy bestia sypnęła iskrami, do tego zaryczała i jeszcze kiwała głową, wrzasnęliśmy ze zgrozy i jak opętani daliśmy drapaka na wszystkie strony. Starsi popędzili za nami i wyłapali nas jednego po drugim. Po powrocie do obozu uspokajano nas, że nie mamy się czego obawiać, bo głowa bizona zapowiedziała pomyślną wyprawę. Matki dobrotliwie drwiły z naszego przerażenia i przezywały nas swymi małymi „dziewczynkami”. Zasłużyliśmy na to.

Znowu wypada mi podkreślić, że to co w tych czasach wydawało nam się tak tajemnicze i cudowne, da się wytłumaczyć prostymi sztuczkami naszego czarownika. W oczodoły bizona zapewne powsadzał bengalskie ognie, w ciemnościach nocy mógł łatwo poruszać czaszką za pomocą końskiego włosia, a że

Biały Wilk posiadał umiejętność brzuchomówstwa, o tym dziś, po latach, ani na chwilę nie wątpię. Można mu zarzucić, że tak szkaradnie otumaniał nas swymi czarami; – tkwiliśmy jeszcze wtedy głęboko w zabobonach i takimi sztuczkami czarownik mógł najtrwalej utrzymać swój wpływ w szczepie. Dziś wszystko to jasno widzę, ale owej nocy czary te jakież przejmujące sprawiły na nas wrażenie i jaki wywołały strach!

Gdy niebawem ruszyliśmy w drogę, zapął przepajał serca całej grupy, zapął i ufność w zwycięstwo. Tego widocznie chciał Biały Wilk.



PIERWSZA MOJA POTYCZKA

Prędziliśmy przez noc, przez dzień i znowu przez noc, zażywając tej drugiej nocy jedynie dwugodzinnego snu. Rano trzeciego dnia zachowano wszelkie środki ostrożności. Znaleźliśmy się w pobliżu wroga. Nie wolno było palić ognisk, trzymaliśmy się wyłącznie dolin, na wierzchołki wzgórz wychodziły tylko czujki. W czasie marszu wywiadowcy stale nas wyprzedzali i wracali z nowinami. Wrony starali się pozostawić po sobie jak najmniej śladów, lecz mimo to nawet ja dostrzegłem je w niektórych miejscach na ziemi i wtedy uważałem się za bystrego wojownika.

Krajobraz zmieniał się. Było mniej pagórków i falistości, prerie się wygładziły, za to strumienie i rzeczki tworzyły głębokie doliny. W takiej to dolinie odkryto obóz nieprzyjaciela, który widocznie zamierzał tu popasać dłużej niż jeden dzień: dla koni sklecił z pni ogrodzenie, ażeby bezpiecznie spędzać je tam na noc.

Zatrzymaliśmy się w małej kotlinie. Oddaleni od obozu

43

Wron o niespełna dziesięć kilometrów, czekaliśmy w ukryciu przez cały dzień. W tym czasie nikogo nie wysyłano na polowanie, więc na spożycie zabito konia.

Dzień był słoneczny, noc zapowiadała się gwiaździsta. O zmroku ruszyliśmy całym obozem, by bliżej podejść do Wron. Wyznaczeni na wyprawę wojownicy trzymali się już w pogotowiu. My, chłopcy, urządziliśmy okropną awanturę, bo kazano nam pozostać przez cały czas w tyle przy matkach, a to nie było nam w smak. Wreszcie ojcowie ulegli. Pozwolili nam pójść za sobą w pewnej odległości, dając nam dorosłego opiekuna i dokładne wskazówki, jak się zachować podczas natarcia. W tej garstce chłopców ja byłem najmłodszy.

Po spożyciu wieczerzy wódz nakazał wojownikom i nam, młodym, wykąpać się w rzece. Do mycia użyliśmy piasku i szorowaliśmy skórę z całych sił, ażeby usunąć z niej zapach zjedzonej koniny. Konie nie znoszą woni własnego mięsa, przede wszystkim zaś tłuszczu; gdy poczują, stają się dzikie i trudne do opanowania. A chodziło przecież o to, żeby odbicia koni dokonać cichaczem, niepostrzeżenie.

Byłem jeszcze za mały, żebym dokładnie rozumiał wszystkie szczegóły planu działania. Wiem tylko to, że wróg trzymał konie w zagrodzie niedaleko rzeczki, której nazwy już nie pamiętam. Tuż przy tej zagrodzie, obok w wąwozie stało kilkanaście namiotów. Dwa z nich w pobliżu ogrodzenia zajmowali Ruxton i jego biali towarzysze, resztę namiotów – Wrony z rodzinami. Nasz plan polegał na tym, by pnie zagrody usunąć od strony strumienia i w tym kierunku wypędzić konie, zarówno

nieprzyjacielskie, jak i nasze skradzione. Walki z Wronami nie przewidywano, lecz połowa naszych wojowników, posiadająca strzelby, miała zacząć się na wzgórzach ponad obozem i w razie przebudzenia się wrogów i ich alarmu obsypać dwa namioty Ruxtona gradem kul. W tej rozgrywce chodziło o to, żeby trzymać w szachu przede wszystkim Amerykanów, jako najlepiej uzbrojonych.

My, chłopcy, poszliśmy za tym oddziałem, którego zadaniem było uprowadzenie koni. Podczas opuszczania obozu były kło-

poty z naszymi psami. Czując w powietrzu przygodę chciały koniecznie iść z nami. Każdy chłopak posiadał jednego, czasem dwóch ulubieńców. Matki musiały ich uwiązać w namiotach. Mój Pononka, wilczym zwyczajem, wył na pożegnanie.

Okolo północy starszy wojownik, nasz opiekun, zaprowadził nas na brzeg rzeczki w pobliżu wroga i kazał nam się ukryć w zaroślach. Na umówiony znak – dwukrotny skowyt szarego wilka – mieliśmy się wycofać i biec w stronę naszego obozu. Wśród chłopców był także mój starszy brat, Mocny Głos. Trzymał mnie przez cały czas za rękę, żebym nie zginął w ciemności. Dodawało mi to odwagi.

Leżeliśmy tuż naprzeciw ogrodzenia dla koni. Nikła poświata od gwiazd pozwalała nam dostrzec zarysy płotu, a nieco dalej wzbijały się jaśniejsze trójkąty nieprzyjacielskich namiotów. Od czasu do czasu słyszeliśmy ciche rżenie koni za ogrodzeniem.

Widocznie Wrony od strony rzeki nie wystawili żadnej straży. Zauważyliśmy naszych ojców, czołgających się pod płotem. Raz po raz wstrząsali zaroślami, ażeby konie słyszały ich szelest i nie przelękły się obcych ludzi. Nawet ten i ów wstawał na równe nogi i pokazywał się zwierzętom. Widzieliśmy, jak usuwali ogrodzenie.

W obozie wśród namiotów czekały psy. Szekały często, choć nie zajadle. Wtedy nasi wywiadowcy na sąsiednich wzgórzach zaczęli naśladować skowyt kujotów, ażeby Wrony myśleli, że to obecność wilków stepowych niepokoi ich psy.

W jakimś namiocie zapłakało dziecko. W dolinie było tak cicho, że słyszeliśmy matkę, uspokajającą je kołysaniem. Na to jeden z naszych chłopców, dziesięcioletni Płaski Śnieg, półgłosem odezwał się chełpliwie:

–Szkoda, że nie mam flinty przy sobie. Zaraz uspokoiłbym tego szczeniaka na zawsze.

Wojownik opiekujący się nami ostro go skarcił, lecz Płaski Śnieg odezwał się jeszcze głośniej:

45

–Co, nie mógłbym mu wpakować kuli w obrzydliwy łeb?

Wojownik doskoczył do chłopaka i ręką zakrywając mu usta gniewnie wstrząsnął całym jego ciałem; potem zgrzytnął:

–Zwiążę ci, smarkaczu, ręce i nogi! Pozostawię cię na pastwę Wronom, jeśli się nie uspokoisz!

Pomogło. Buńczuczność Płaskiego Śniega ostygła. Zapadło milczenie.

Wtedy ujrzeliśmy pierwsze konie, wychodzące z wyrwy w płocie. Zbliżyły się do rzeki i spokojnie zaczęły pić wodę. Nie sprawiały wrażenia spłoszonych. Na ich widok gwałtowniej zabiły nam serca. Chcieliśmy działać, trudno nam było ustać na miejscu.

Po pierwszych koniach zjawiało się ich więcej. Były już mniej spokojne, przybiegały do rzeki klusem, wśród podnieconego rżenia. Kilkanaście, dwadzieścia kilką; ciemna masa tłoczących się cielsk. Tętent rozlegał się coraz głośniejszy. Konie pędziły coraz szybciej.

Wtem alarm. Ktoś w namiocie Wron podniósł gwałtowny krzyk. Odpowiedziały mu

inne wrzaski, w oka mgnieniu ożył cały nieprzyjacielski obóz.

Do tej chwili cisza zalegała sąsiednie wzgórza. Nagle jaskrawy błysk rozdarł tam ciemności i powietrze zatrzęsło się od huku z wielu strzelb. To nasi strzelali z góry do namiotów Ruxtona, by tym, którzy byli w dolinie, ułatwić uprowadzenie koni. Powstał nieopisany zgiełk. Od strony namiotów Amerykanie i Wrony zaczęli się ostrzeliwać. Tymczasem konie już przebrnęły rzekę, poganiane przez naszych wojowników.

I my, chłopcy, chcieliśmy także przyczynić się w jakiś sposób do zwycięstwa, więc darliśmy się na całe gardło posyłając nieprzyjaciołom nasze szyderstwa i przekleństwa. W odpowiedzi na to kule zaczęły świstać po naszych krzakach. To dodało nam jeszcze więcej zajadłości. Wmieszał się nasz opiekun-wojownik.

t

–Głupcy! – huknął na nas. – Po waszych głosikach po
znają, żeście chłystki i mleczeni. Głupcy! Uciekajcie!

Bezceremonialnie zaczął łapać nas za karki i przemocą wypychać z
niebezpiecznego miejsca. Gęsta strzelanina wciąż trwała. Byliśmy już bardzo daleko,
a jeszcze dochodziły nas odgłosy walki.

W obozie matki przywitały nas z wyraźną ulgą. Nadmierną ich troskę
odczuwaliśmy jako ujmę dla naszego honoru, bo, przecież nie chcieliśmy być
maminymi synkami. Przykrość złagodził i napełnił nas prawdziwym zadowoleniem
dopiero nasz opiekun-wojownik. Opowiedział zatrwożonym niewiastom, jak to
wrogowie wzięli nas pod gęsty ogień. Moja matka spojrzała na mnie z czułością i
oświadczyła:

–Była to twoja pierwsza bitwa, Bizonku, prawdziwa bitwa. I kule padały dokoła
ciebie?

–Tak jest, mammo! – potwierdziłem i serce mi rosnęło z błędnego uczucia.

–Szkoda tylko, że nie miałeś czym walczyć.

–Jak to mammo? Walczyłem!!

–Walczyłeś?

–Co sił do nich ryczałem: podłe tchórze, kości wam połamię!!

.,– Oj, i był skutek?

–I jaki jeszcze!

–No, jaki?

–Ze strachu źle strzelali. Nie mogli w nikogo z nas trafić. To jasne.

Matka dziwnie i tajemniczo się uśmiechnęła.

–To jasne – powiedziała – że będziesz równie wielkim
mówcą jak wojownikiem.

W jej słowach coś brzmiało niewyraźnie i podejrzliwie. Spojrzałem jej w oczy:

–Czy nie wierzysz mi?

47

Na to matka objęła mnie wpół i długo przytulała do siebie. Po dwóch
nieprzespanych nocach ogromnie zachciało mi się spać. Tak dobrze było w jej
objęciach, już morzył mnie sen, lecz zwalczyłem słabość. Wyrwałem się gwałtem i
mężnie.

Równocześnie z nami przyprowadzono zdobyte konie. Były już powiązane i nie
mogły uciec. Naliczyliśmy ich przeszło czterdzieści. Okazało się, że to nie nasze, i to
tylko nikła część stada, jakie było w obozie Wron. Przewrotny wróg bowiem za
pierwszym ogrodzeniem miał drugie; tam trzymał skradzione konie. Nasi niestety o
tym nie wiedzieli i w ręce ich wpadło tylko tych czterdzieści, znajdujących się w
pierwszej, zewnętrznej zagrodzie. Dobry był i taki łup. Konie okazały się niezłe.

Było jeszcze ciemno i daleko do świtu. Wrócili wojownicy, którzy stoczyli walkę
na wzgórzach. Mieli ciężką przeprawę; chcieli nieprzyjaciółom podpalić obóz, ale
tamci trzymali się twardo i nie dopuścili do tego. Jako trofeum nasi przywlekli dwóch

poległych Amerykanów i jednego Wronę, a poza tym drugiego Wronę ciężko rannego, który po godzinie skonał. Jeden z naszych ludzi, Dwa Rzuty, znał język Wron i dopóki jeniec był jeszcze przytomny, starał się wyciągnąć z niego jak najwięcej wiadomości. To, czego się dowiedział, wywołało ogólne podniecenie. Oto Wrony początkowo wcale nie chcieli wyruszać przeciw nam. Ruxton tak długo ich namawiał, tyle im przyrzekał, to groził, to rozpijał, że w końcu ulegli mu. Zgodzili się wykraść dla niego nasze konie, które chciał sprzedać – jak tego słusznie się domyślaliśmy – w Forcie Benton. Wrony byli tylko narzędziem, on – złym duchem i sprawcą tylu nieszczęść.

Z naszej strony nikt nie poległ, za to kilku odniosło lżejsze rany. Nasz czarownik, Biały Wilk, został postrzelony w niezwykle sposób. Kula trafiła go w samą pierś, lecz wcale nie dostała się do ciała. Uderzyła o płytę rogową ze skorupy żółwia, jaką czarownik nosił poniżej szyi i ołów się rozbił. Jednak silne uderzenie w pierś spowodowało krwotok z ust, trwający przez kilka godzin.

Nasz tymczasowy obóz był nie dalej niż o pięć kilometrów od miejsca napadu i jakkolwiek nie spodziewaliśmy się żadnej zaczepki ze strony wroga, zwykła ostrożność nakazywała nam jak najwcześniejszy odwrót. Wszystko już było gotowe, gdy zauważono brak jednego z naszych najdzielniejszych wojowników, Nocnego Orła. Był w oddziale, który strzelał ze wzgórza do wroga, potem razem z innymi starał się wzniecić pożar namiotów, a ostatni raz widziano go przy rzece. Od tego czasu znikł.

Ponieważ do świtu brakowało jeszcze godziny, wódz Krocząca Dusza postanowił czekać. Może Nocny Orzeł jeszcze wróci? Ale nie wracał. Cały obóz czekał w posępnym nastroju. W miarę jak czas uchodził, przygnębiało nas coraz silniejsze przekonanie, że Nocny Orzeł zginął i leży zabity gdzieś w pobliżu nieprzyjacielskiego stanowiska. Wśród ludzi zaczęły krążyć domysły. Starsi wojownicy zebrali się i nad czymś poważnie radzili. Następnie zbitą, zjeżoną, złowieszczą gromadą podeszli do Białego Wilka.

Czarownik siedział na ziemi. Krew bezustannie sączyła się mu z ust. Otoczono go, a jeden z wojowników odezwał się gniewnie:

–Biały Wilku, byłeś wielkim czarownikiem. Przyrzekłeś nam, że „weźmiemy” ośmiu nieprzyjaciół. A zginęło ich tylko czterech.

Biały Wilk musiał wpierw wypluć moc krwi, zanim wyrzekł charkotliwym głosem:

–Skąd wiesz, że zginęło ich tylko czterech?

–Wystarczy ci pójść za te krzaki i spojrzeć. Tam leżą. Nie naliczysz ich więcej niż czterech.

–A skąd wiesz, że w obozie wroga nie leży ich więcej?

Na to było trudno odpowiedzieć. Wojownik przyznał ła godniej:

–Tego nie wiem.

Tłum wciąż sterczał nieruchomo. W ciemności wyglądał

4 Mały Bizon

jak groźna, czarna ściana. Po chwili milczenia inny wojownik podjął oskarżenie:

–Przyrzekłeś nam, że w tej wyprawie nie „damy” nikogo. Omyliłeś się.

–Siły niewidzialne nie mylą się.

–„Daliśmy” jednego. Zginął Nocny Orzeł.

–Nie zginął!

–To gdzie jest?

–Przyjdzie!

–Czemu dotychczas nie przyszedł? Zginął, Biały Wilku, zginął!

Inni wojownicy zawtórowali mu i wielu zaczęło to samo wołać, nawet kobiety jęczały.

–Zginął Orzeł!

–Na pewno zginął!

–Okłamano nas!

Biały Wilk powoli powstał i gdy wyprężył ciało, wydawało nam się, że przewyższa wszystkich wojowników.

–Ludzie szczepu Czarnych Stóp! – zawołał donośnym głosem, tym razem czystym i metalicznym. – Pamiętajcie jedno: siły niewidzialne nigdy się nie mylą. Siły niewidzialne nigdy nie kłamią!

Pod wrażeniem tych słów wszyscy umilkli. Dopiero po długiej chwili ktoś z tyłu odważył się zabrać głos:

–To prawda, siły niewidzialne się nie mylą. Ale mylić się może czarownik, jeśli stępieł mu słuch i nie dosłyszysz głosu sił niewidzialnych.

–Tak, to prawda!... Czarownik winien! – rozległo się dokoła z wielu zaciętych ust.

–Biały Wilku – ciągnął poprzedni mówca – jesteśmy twoimi przyjaciółmi. Radzimy ci szczerze. Odejdź na kilka tygodni na pustelnię. Wzmocnij swe władze czarownika! To ci radzimy dla dobra grupy.

–Nie!! – huknął Biały Wilk. – Władzy nie straciłem.

Potem dodał jeszcze mocniejszym głosem:

–Zaręczam, Nocny Orzeł żyje! Wróci!...

W głosie jego brzmiała nieodparta siła. Nikt nie chciał już przeczyć. Bunt wojowników załamał się i przygasł. Ludzie kiwając frasobliwie głowami rozeszli się. Obóz jeszcze czekał – daremnie. Jaśniejsza smuga na wschodnim nieboskłonie zwiastowała koniec nocy. Czas było uchodzić.



PRZYSIĘGA NA „WIELKI RÓG”

Podczas ostatnich chwil naszego postoju w owym miejscu popełniłem czyn, który wywołał najsilniejszy wstrząs duchowy, jaki pamiętam z dziecięcych lat. Dzisiaj jeszcze, po takim upływie czasu, pali mnie niezatarty obraz odległych zdarzeń. Nikt nie spał tej nocy w obozie z wyjątkiem niemowląt; wszyscy siedzieli skuleni w milczących grupach i czekali na powrót Nocnego Orła. W zbiorowym milczeniu była upiorna niesamowitość. Wszyscy myśleli o tym samym. Nawet mnie, małemu, udzielił się powszechny nastrój i w dziecięcej główce snuły się fantastyczne, desperackie pomysły. Ból z powodu utraty przyjaciela, Kosmatego Orlątko, odezwał się znowu i to w ostrzejszym niż kiedykolwiek natężeniu.

Zwłoki czterech nieprzyjaciół leżały opodal wśród krzaków. Były całkiem obnażone, lecz nie okaleczone. Jeszcze niedawno zastosowano by stary zwyczaj oskalpowania, to jest odcięcia skóry na głowie wraz z włosami, jako wojennego trofeum. Obecnie rada starszyzny, po krótkiej acz burzliwej roz-

prawie, postanowiła odstąpić od barbarzyńskiego zwyczaju. Zaznaczył się wpływ nowych czasów.

Cicho siedziałem obok całej rodziny, pogrążony w myślach o Kosmatym Orlątku. Myśli moje zaczęły krążyć dokoła małego łuku, wręczonego mi przez przyjaciela przy pożegnaniu. Łuk miał stać się moją własnością, gdyby Orlątko nie wrócił.

Tej nocy czekanie trwało całą wieczność. Znudzony, polazłem do mego worka, przyczepionego do konia. Wyjąłem łuk Orlątko i także kilka strzał, zwykłych strzał,

uciętych z twardej trzciny i zaostrzonych na końcu. Nowa fala żalu i gniewu zalała mi serce. Zerwałem się do działania. Czułem, że muszę jakoś pomścić śmierć przyjaciela. Tam leżały zwłoki czterech wrogów, którzy – nie wykluczone – byli może mordercami Orłątka. Przyszedł mi pomysł przebicia ich serc strzałami z jego własnego łuku.

Żeby nikt nic nie zauważył, czołgając się dotarłem do gąszczu i odszukałem zwłoki. Łuk naciągnąłem, z napięciem wymierzyłem; strzała wbiła się w wrogie serce. I tak postąpiłem z pozostałymi trzema zwłokami.

Lada chwila mieliśmy wyruszyć i sądziłem, że nie zauważą mego uczynku. Niestety, ktoś jeszcze raz poszedł do zwłok wrogów i zaalarmował obóz. Powstał wielki rwetes. Starszyzna zeszła się gromadnie i przy blasku łuczywa sumiennie badała strzały. Głośno wyrażając oburzenie nazywała to hańbą dla szczepu. Ja z tego nic nie rozumiałem. Strzały były dziecięce, ale kto je wystrzelił, pozostawało zagadką. Słyszałem nawoływania, by zgłosił się winowajca. Wszyscy byli rozsierzeni, więc ani mi się śniło pisnąć słowo.

Padła nazwa Płaskiego Śniega, gdyż przypomniano sobie jak ów dziesięcioletni chłopak kilka godzin, temu podczas napadu na obóz wroga, chełpił się, że chciałby zabić niemowlę Wron. Za to odezwanie dostał burę od swego ojca, gdy wrócił do domu. Ten błąd wóczas i głupkowaty wypadek nabrał teraz niepomiernego znaczenia i skierował podejrzenie ns Płaskiego Śniega.

–Przyznaj się, Śniegu – nalegał wódz Krocząca Dusza. – To ty zrobiłeś?

–Nie zrobiłem tego! Nie mam w ogóle łuku. Nie mam strzał.

–Może wzięłeś od kogoś?

–Nie wzięłem!

–Płaski Śniegu, jeśli kłamiesz...

–Nie kłamię, nie kłamię!...

Podczas tych badań było mi głupio na duszy i zaciskałem szczęki, aby się nie wydać. Stchórzyłem. Bałem się gniewnego nastroju, jakim wrzał obóz i którego przyczyn nie mogłem pojąć. Kryłem się za plecami rodziców i milczałem. Dopiero znacznie później wytłumaczono mi: wrogowie – jak słusznie przypuszczano w naszym obozie – będą szukali zwłok i na pewno je znajdą. Wodzowi zależało na tym, żeby wszyscy na preriach wiedzieli, iż my, Czarne Stopy, weszliśmy na drogę nowych obyczajów i szanowaliśmy zwłoki poległych wrogów.

Było mi przykro. Pokrzyżowałem zamierzenia starszyny, lecz nie żałowałem tego, co uczyniłem. Byłem przyjacielem Kosmatego Orlątka i postępowałem, jak mi nakazywało serce Indianina. Niechże inni sobie myślą, co chcą!

Tymczasem niebo na wschodzie zaczęło jaśnieć i zbliżyła się chwila opuszczenia pamiętnego miejsca. Wódz nasz i Biały Wilk, który chociaż osłabiony, o wszystkim bystro myślał, wysłali czterech zwiadowców z ważnym zadaniem. Na ich czele był doświadczony wojownik Orle Pióro, władający językiem angielskim. Orle Pióro i jego trzech towarzysze mieli śledzić nadal ruchy wroga i natychmiast nas zawiadomić, jeśli zamierzałby nas ścigać. Jeśli natomiast skierowałby się w stronę Fortu Bentona, co było najprawdopodobniejsze, mieli go wyprzedzić i zameldować komendantowi placówki o dokonanej przez Ruxtona kradzieży naszych koni. Nie wątpiliśmy, że w ten sposób odzyskamy skradzione zwierzęta.

O wschodzie słońca byliśmy już daleko. Wracaliśmy w pośpiechu na północny zachód, idąc w przeciwnym kierunku od tego, jaki niezawodnie obiorą Ruxton i Wrony.

Nie miałem jeszcze własnego konia i razem ze starszym bratem jechałem na jego wierzchowcu. W ciągu dnia matka zbliżyła się do nas i opowiedziała nam zabawną powiastkę o chytrym zającu. Okłamywał on wszystkie zwierzęta i z tego miał przez pewien czas korzyści, ale w końcu zginął marną śmiercią właśnie na skutek swej kłamliwości.

Opowiadanie nam przez rodziców i inne starsze osoby tego rodzaju powiastek należało, na równi z wykładaniem naszych tradycji i ciekawych dziejów szczepu, do nauki, jaką pobierali wszyscy młodzi Indianie. Lecz zazwyczaj czyniono to na postojach, przy ognisku, więc trochę mnie zastanawiało, dlaczego matka tyle nam opowiadała podczas przyspieszonej jazdy, i tak już męczącej. Czy był w tym jakiś ukryty zamiar?

–Kłamstwo i zatajenie prawdy – kończyła matka – to największa hańba. To ohydny rodzaj tchórzostwa!...

O zachodzie słońca rozbiliśmy obóz na noc. Pod osłoną silnych straży mieliśmy wreszcie wypocząć należycie po tylu nieprzespanych nocach. Zaledwie zeszedliśmy z koni, ojciec podszedł do mnie i miło się odezwał:

–Gdzie masz twoje łuki i strzały, Bizonku?

–W worku – odpowiedziałem burkliwie.;.

–To przynieś je.

–Tato, wszyscy chłopcy mają łuki i strzały! – wybuchłem ze źle ukrywanym przerażeniem.

–Ależ wiem, wiem – uśmiechnął się ojciec. – Pójdziemy na prerie trochę popolować na pieski ziemne...

Poszliśmy. Piesków ziemnych nie było w pobliżu i strzelałem do innych celów. Tego rodzaju ćwiczenia pod okiem doświadczonych wojowników należały do podstaw wychowania młodzieży, lecz znowu się dziwiłem, dlaczego ojciec wybrał akurat ten wieczór, skoro byliśmy tak znużeni!

W drodze powrotnej do obozu ojciec opowiadał mi pięknie o swym ojcu a moim dziadku, Rączym Niedźwiedziu. Rączy Niedźwiedź był znakomitym wojownikiem, a poza tym odznaczał się uczciwością tak wielką, że stała się przysłowiową.

Dzięki tej cnocie zyskał sobie poważanie i był powszechnie lubiany.

–Być prawdomównym i podobnym do dziadka – oświadczył ojciec – to i zaszczyt, i nasz przyjemny obowiązek.

Już dłużej nie mogłem tego wytrzymać. Poczucie winy męczyło mnie srogo, nosiłem je w sobie niby ciężki kamień. Ojciec mój okazywał mi zawsze wiele dobroci i był dla mnie równie bliskim przyjacielem jak nieżyjący Kosmate Orlątko., tylko że dorosłym. Wstyd mnie palił, że przed nim zataiłem prawdę. Chciałem się już przyznać:

–Ojczy...

–Cicho! – przerwał ojciec i pogłaskał mnie po głowie. – Cicho, Bizonku! Nie potrzeba. Wiem...

Na tym rozmowa się urwała i już nie powróciliśmy do tego tematu.

Następnego dnia, po szybkiej jeździe, zatrzymaliśmy się na nocne obozowisko długo przed zachodem słońca. Podniecenie z powodu tajemniczych strzał jeszcze nie wygasło w obozie. Przeciwnie. Na Płaskim Śniegu ciągle ciążyło podejrzenie i tego wieczoru miał się odbyć nad nim rodzaj sądu. Właściwie nie sąd, raczej złożenie przysięgi. Przysięgi na „Wielki Róg”. Była to w naszym szczepie najuroczystsza przysięga. Kto ją składał, tego wiarygodności nie wolno było już podawać w wątpliwość. Fałszywa przysięga powodowała śmierć kłamcy w krótkim czasie.

Związek Wielkiego Rogu składał się z dwudziestu pięciu najpoważniejszych wojowników, wybieranych dożywotnio ze wszystkich grup szczepu Czarnych Stóp. Było to najwyższe nasze ciało, rozstrzygające o ważnych sprawach natury moralnej. Już samo powoływanie się na powagę związku miało wyjątkowe znaczenie.

Zwykle odbierano przysięgę w wielkim zbiorowym namiocie. Ponieważ byliśmy w drodze i namiotu nie wznosiliśmy, odstąpiono od tego zwyczaju i ceremonia odbyła się pod gołym niebem. Dzień był bardzo ciepły i pogodny. O zachodzie słońca cały obóz zebrał się, wielkim kołem otaczając miejsce

przysięgi- W środku stał przedstawiciel Związku „Wielkiego Rogu”, a obok niego Płaski Śnieg ze smutną miną. Nas, młodzież, ustawiono przed dorosłymi, ażebyśmy mogli słyszeć każde słowo przysięgi. Nigdy dotychczas nie miałem tyle strachu. Czułem mdłości i ogień w sobie. Stałem w pierwszym szeregu i widziałem, że Płaski Śnieg ledwie wstrzymywał się od płaczu.

Wśród ciszy stary wojownik, członek związku, uroczystie napełniał tytoniem świętą fajkę, przeznaczoną do wielkich obrzędów. Równocześnie wymawiał zaklęcia, od czasu do czasu upominając Płaskiego Śniega, że zaraz złoży przysięgę na „Wielki Róg” i że musi zajrzeć głęboko do swego serca, ażeby krzywym językiem nie ściągnąć na siebie śmierci.

Po napełnieniu fajki wojownik zapalił ją cztery razy. Za każdym razem przenikliwie spoglądał poprzez ogień na twarz chłopca i szeptał jakieś niezrozumiałe słowa. Następnie wznosił fajkę w cztery strony świata, po czym przystąpił do Płaskiego

Śniega. Trzymając przed nim fajkę rzekł poważnie, zaklinającym głosem:

–Pal fajkę, jeśli mówisz prawdę! Jeśli kłamiesz, nie pal.

Czy to ty, Płaski Śniegu, zbezczęściłeś zwłoki strzałami? Tak czy nie?

.– Nie – odpowiedział chłopiec cicho, ale wszyscy go słyszeli, i szmer zdumienia przeszedł po ludziach.

Płaski Śnieg uchwycił fajkę i pociągnął z niej. Dokonał się obrzęd.

–Jeśli skłamałeś – groźnie zawołał stary wojownik – umrzesz w ciągu pół roku.

Zaległa grobowa cisza i wisiała ołowiem nad nami. Czarno robiło mi się przed oczyma. Poruszyłem się. Nogi miałem jak przykute do ziemi. Oderwałem je przemocą. Szedłem naprzód. Przecież nikt nic nie'mówił, a mimo to w głowie huczało mi jak burza. Wszyscy wlepili oczy we mnie. Jak ci ludzie patrzeli! Droga wydawała się nie mieć końca. Wreszcie dotarłem do Płaskiego Śniega i stanąłem obok niego, twarzą do starego wojownika. Chciałem się wyprostować, nie mogłem.

Chciałem przemówić, też nie mogłem. Wreszcie wyrwało mi się z ust:

–Płaski Śnieg...

I słowa uwięzły mi w gardle.

Stary wojownik, dotychczas tak surowy, na chwilę uśmiechnął się i to dodało mi odwagi.

–Płaski Śnieg... nie umrze! – wymamrotałem.

Wojownik znów. przybrał poważną minę, ale czułem, że nie był już taki groźny.

–Toś ty, Mały Bizonie, wbił te strzały w zwłoki? – zapytał.

–Ja – odpowiedziałem już głośno. Dotychczasowa moja niemoc zaczęła ustępować.

W ciągu ostatnich dwóch dni cały obóz był oburzony na sprawcę hańbiącego postępu. Sądziłem więc, że skoro przyznam się do winy, wszyscy rzucą się na mnie i rozszarpią w kawałki. Nie rzucili się. Stali w miejscu. Co więcej: podczas gdy niektórzy okazywali zdumienie, inni niedwuznacznie wyrażali radość. Radość, że się zgłosiłem. Niepojęci ludzie.

Stary wojownik był również zadowolony. Uznał:

–Dobrze, że się przyznałeś. Ale karę będziesz musiał ponieść.

Spojrzałem z lękiem na niego. Chyba nie każe mnie zabić?

–Czym wbiłeś te strzały? – zapytał.

–Łukiem.

–Dobrze! Przynieś natychmiast łuk. Przy wszystkich świadkach połamiemy go na części...

Całe przerażenie, jakie mnie ogarnęło, musiało odbić się w moich oczach. Stary wojownik zauważył je i speszony umilkł. Cóż on wiedział o uczuciach związanych z łukiem i o mej przyjaźni z Kosmatym Orlątkiem? Nie ruszyłem się, stałem jak wryty.

–No, przynieś! – przynaglał. Wezbrał we mnie opór:

–Nie przyniosę!!

Teraz z kolei wojownik zmieszał się i zawrzał oburzeniem. Krzyknął na mnie:

–Co to znaczy, smarkaczu?

Znów zrobiło mi się czarno przed oczyma.

–Kosmate Orlątko... – rozpocząłem i urwałem. Nie mogłem dalej. Zamknęło mi się gardło.

Na szczęście, ojciec przyszedł mi z pomocą. Ojciec oczywiście znał moją przyjaźń z Kosmatym Orlątkiem i domyślał się przyczyny, dla której przebiłem strzałami zwłoki wroga. W krótkich słowach opowiedział zebrany o mojej przyjaźni z Kosmatym Orlątkiem. W miarę jego opowiadania nastrój się zmieniał i ludziom pogodniały twarze. Stałem obok ojca jak robak, który z trudem chronił się od rozdeptania. Byłem mały, ale wielkim strumieniem płynęła moja wdzięczność dla ojca, gdy tak dzielnie mnie bronił.

Kary nie poniosłem. Stary wojownik pogroził mi tylko palcem i zadowolony odszedł.

**A tego wieczoru matka kładąc mnie do snu powiedziała z tklivością w głosie:
–Nie opowiem ci już bajki o chytrym zającu kłamczuchu.**

Za to ciekawą rzecz o chłopczyku, który nigdy nie kłamał. Czy chcesz, Bizonku?

Bardzo chciałem, ale nie miałem sił, by odpowiedzieć. Już zasypiałem.



WÓDZ NOSI KOCIOŁ

W kilka dni później przyłączył się do nas inny oddział naszego szczepu pod wodzem Niokskatosem. Wjechaliśmy znowu w podgórze Gór Skalistych; daleko na zachodzie wylaniały się znane nam z wędrówek szczyty, pokryte wiecznym śniegiem. Pewnego południa Biały Wilk, wyprzedzający nasz wspólny pochód, dał nam rękoma znak, byśmy zatrzymali się. Przed sobą w dolinie ujrzał wielki obóz Indian.

Zwołana naprędce narada wodzów i starszych wojowników zarządziła środki ostrożności, gdyż mogli to być Wrony, przed którymi wciąż należało mieć się na baczności. Z malowanek, widocznych z odległości na namiotach, niesposób było odczytać przynależności szczepowej.

Biały Wilk, nasz czarownik, który po krwotoku, wywołanym kulą podczas napadu, teraz przyszedł jako tako do siebie, wjechał na pagórek i za pomocą znaków zapytał o nazwę szczepu. Odpowiedzieli: Gros Ventres (nazwa dana im ongiś przez Francuzów, dosłownie: Wielkie Brzuchy) i północni As-

60

siniboinowie, a zatem oddziały dwóch zaprzyjaźnionych ze sobą szczepów, razem obozujące. Na ich pytanie, kto my, Biały Wilk odsygnalizował że Czarne Stopy, lecz to im nie wystarczyło. Pytali, jaka grupa Czarnych Stóp.

W tym był sęk. Szczep Czarnych Stóp dzielił się na cztery podszcypy, te zaś na poszczególne grupy – jedną z takich grup byliśmy pod wodzem Kroczącą Duszą – i niektóre nasze podszcypy i grupy wiodły od pokoleń wojnę z Assiniboinami i z Gros Ventres. Pomimo ogólnych dążeń pokojowych na preriach, niechęć między szczepami wciąż istniała. Biały Wilk stanął przed trudnym zadaniem. W naszych dwóch grupach byli członkowie wszystkich czterech podszcypów. Ale czarownik niedaremnie miał łeb na karku. Odpowiedź jego była godna dyplomaty: zsiadł z konia i zrobił znak szczepu Kri, następnie oddalił się o kilka kroków i zrobił znak szczepu Kutenaj, w końcu stanął w pośrodku tych znaków przedstawiając nas jako żyjących między tymi dwoma szczepami. Na to tamci odpowiedzieli, że z takimi Czarnymi Stopami jeszcze się nie zetknęli, że zatem nie jesteśmy ich wrogami – i zaprosili nas do siebie.

Zjechaliśmy w dolinę. Zanim wojownicy nasi posiadali z koni, jeden ze starszych wodzów Assiniboinów podszedł szybkim krokiem do nich badając znaki na tarczach, wiszących na koniach. Potem zbliżył się do naszego wodza i podając mu rękę rzekł:

–Wydaje mi się, że nie jesteśmy wrogami. Obejrzałem znaki na waszych tarczach i nie przypominam sobie, byśmy się kiedykolwiek spotkali w walce.

–Dawniej walczyli Indianie ze sobą z błahych powodów lub zgoła bez powodu – odrzekł wymijająco Krocząca Dusza. – Ale dziś, minęły te czasy...

–Minęły, hauk¹! – potwierdził Assiniboin.

¹ Używany często przez Indian preryjnych wyraz potwierdzenia. W pisowni angielskiej: howg.

61

Po rozbiciu naszych namiotów w tej samej dolinie zeszli się wodzowie, czarownicy

i znaczniejsi wojownicy trzech szczepów na wielką naradę, w czasie której wypalono fajkę przyjaźni. Dla uczczenia radosnego dnia postanowiono wyprawić wielką biesiadę, a następnie odbyć taniec, zwany: „Przeżyłem”. Nie był to właściwy taniec, lecz opowiadanie wojowników o własnych najciekawszych przygodach, przy czym na oczach wszystkich obecnych sami bohaterowie odgrywali sceniczne przedstawienie opisanego zdarzenia.

Rzecz prosta, my, młodzież, cieszyliśmy się najbardziej, że będą opowiadania, w gronie wojowników bowiem znajdowali się mężowie o wielkiej sławie i nieustraszonym męstwie. Naszą uwagę pełną czci ściągał na siebie przede wszystkim Nosi Kocioł, słynny naczelny wódz Assiniboinów. Już wtedy był on w poważnym wieku. Żył jeszcze bardzo długo i umarł dopiero w 1923 roku mając 107 lat.

Jednak w pierwszych godzinach wspólnego obozowania więcej szumu powstało dokoła kobiety, Dobrej Łoszy. Należała do szczepu Assiniboinów i słynęła na preriach z piękności i wdzięku. Przed kilku laty wojownicy Czarnych Stóp napadli na obóz, w którym się znajdowała, i w czasie walki zadali jej siedem pchnięć nożem pozostawiając ciało jej na polu walki. Wyleczyła się z ran. Przejścia te bynajmniej nie umniejszyły jej urody. Obecnie zetknęła się po raz pierwszy z naszymi wojownikami, biorącymi wtedy udział w napadzie. Natychmiast ją poznali. Bardzo żalowali swego uczynku i wstydzili się dzikości. Zaledwie ją spostrzegli, podeszli do niej. Powitali ją podniesieniem prawej ręki i słowami, jakimi wita się u nas serdecznych przyjaciół.

Dobra Łosza patrzyła bez urazy na wojowników. Spytała, czy jest między nimi ten, który jej wtedy tak dopiekl.

–Jak wyglądał? – zapytał wódz Niokskatos.

–Był to przystojny, silny wojownik – wesóło brzmiała jej odpowiedź.

y

–A co byś z nim teraz zrobiła? – wódz starał się ją wybadać.

–Objęłabym go za szyję i uściskała – odrzekła śmiejąc się.

Lecz żaden z wojowników nie odezwał się. Jeśli był obecny, to widocznie ogarnął go wstyd.

Wręcz przeciwnie, wyraźnie wrogo, zachowywała się starsza siostra Dobrej Łoszy. Poszła do swego namiotu i zaczęła ostrzyć duży nóż mrużąc pod nosem złorzeczenia. Niektórzy Assiniboinowie słyszeli ją i usiłowali ułagodzić jej gniew, lecz daremnie. Gdy Dobra Łosza weszła do namiotu, siostra wręczyła jej nóż nakazując;

–Weź i wypróbuj go na twoich wrogach!

Dobra Łosza przywiązała nóż do pasa i wróciła do grona naszych wojowników. O nożu zapomniała. Serdecznie podjęła przerwana rozmowę.

W krótkim czasie wyszła za mąż za jednego z naszych wodzów. Do dnia dzisiejszego żyje pod Sintaluta w Saskatchewan wciąż piękna staruszka pomimo osiemdziesięciu lat.

Dla nas, chłopaków, rojny obóz trzech wielkich szczepów był prawdziwym rajem. Namioty zajmowały przestrzeń kilometra. Jaśniejac wszystkimi barwami tęczy nosiły na sobie wymalowane godła rodzinne mieszkańców. Wśród tych namiotów baraszkowaliśmy ochoczo bawiąc się z obcymi chłopcami i chociaż musieliśmy porozumiewać się za pomocą znaków, nic to nie mąciło naszej radości w nawiązywaniu przyjaźni.

Oczywiście najchętniej bawiliśmy się z tamtymi w wojnę, bo tyle słyszeliśmy o prawdziwych walkach, jakie ojcowie nasi ze sobą toczyli. Ale rodzice surowo zakazali nam tych gier w obawie, że z takiej zabawy mogłaby łatwo wyniknąć między szczepami prawdziwa bójka. Matki siedziały przed namiotami i pilnowały nas, lecz to było zbyteczne. Z tamtymi chłopcami polubiliśmy się od pierwszej chwili i pełno było między nami wesołego gwaru.

Dorośli również oddawali się radości. Było to na preriach historyczne spotkanie, w którym po raz pierwszy w tak uderzający sposób objawiała się zgoda i przyjaźń. Wojownicy wzniesli olbrzymi namiot, który mógł pomieścić niemal wszystkich obecnych w obozach, i tu miał się odbyć taniec „Przeżyłem”.

Na podwieczorek spożyliśmy przysmak indiański – pemi-kan z bizona, którego nikt lepiej niż Assiniboinowie nie potrafił przyrządzać. Pemikan – główny pokarm Indian podczas zimy – to suszone i roztarte na proch mięso bizona; odpowiednio zaprawione jagodami rośliny saskatun, było najlepszym smakołykiem na świecie. Po zjedzeniu wczesnej kolacji wszyscy udali się do wielkiego namiotu.

Do tańca „Przeżyłem” każdy szczep wybrał po pięciu najślawniejszych wojowników. Gdy tych piętnastu bohaterów wkraczało do namiotu, było na co patrzeć. Szli nago, przyodziani tylko w nabiodrniki i w pióropusze na głowach. Każdy miał świeżo obmalowane blizny po dawnych ranach. Niektóre z nich sprawiały wrażenie dopiero co otrzymanych ciosów.

Było to wspaniałe zebranie najprzedniejszych wojowników. Widzieliśmy tam mężów „trzech piór”, „czterech piór” i bohaterów „wojennego pióropusza” obok licznych wodzów i czarowników. Trzy pióra nosił wojownik, który zabił trzech wrogów, a kto pokonał więcej niż czterech, miał prawo ozdobienia się w znany powszechnie pióropusz z piór orlich.

Siedząc najbliżej wojowników, my, chłopcy, pożeraliśmy ich oczyma i szeptem osądzali, który z nich był największym bohaterem. Indianie zawsze zabierali dzieci na podobne widowiska, ażeby wzorowały się na męstwie ojców.

Wódz Nosi Kocioł, najpoważniejszy w zaszczytnym gronie, miał pierwszy opowiedzieć jedną ze swych przygód. Nigdy nie zapomnę tej postaci pełnej godności, bohatera tylu świetnych zwycięstw. Pomimo że ongiś należał do najgroźniejszych wojowników, twarz jego opromieniał wyraz niezwykle uduchowiony, przepojony szlachetnością, co w mych oczach wyróż-

i

niało Nosi Kotła spośród wszystkich innych. Przy tym był niezwykle skromny; o swych przygodach zawsze wspominał z pewnym zakłopotaniem.

Wielki wódz Assiniboinów słynął na preriach jako niedościgniony szybkobiegacz. Słyszeliśmy już nieraz o jego zuchwałym czynie, gdy udało mu się wystrychnąć na dudka cały oddział naszych wojowników. Teraz sam bohater miał na;zi opowiedzieć to zdarzenie.

Powstał i wbił w ziemię swoją włócznię, na której wisiały/ skalpy, odcięte z głów zabitych wrogów. Prawą ręką trzymając podporę zwrócił się do Czarnych Stóp, podczas gdy wojownik Assiniboin, biegnący w językach, tłumaczył jego słowa na naszą mowę:

–Opowiem wam, jak to was w pole wywiodłem szybkością moich nóg. Czy chcecie, Czarne Stopy?

–Chcemy, chcemy! – potwierdzili chórem nasi wojownicy.

–Wtedy, dawno temu, byłem młodym wodzem, miałem dwadzieścia dwie zimy. Prowadziłem garstkę towarzyszy przeciw wam, Czarne Stopy. Chcieliśmy zemścić się za wasz poprzedni napad na nasz obóz. Po przekroczeniu Mlecznej Rzeki w Montanie ujrzeliśmy na preriach niewyraźny ruch. Ni to bizony, ni antylopy – a może uludna gra powietrza w porannych oparach? Kazałem towarzyszom przystanąć. Sam podkradłem się bliżej. Wyjrzałem spoza wzgórza, szybko przycupnąłem. Dałem znak do tyłu. Był to wróg. Tańczył nad kilkoma ubitymi bizonami. Towarzysze moi – czy źle mnie zrozumieli, czy nie chcieli słuchać – zachowywali się lekkomyślnie jak dzieciaki. Rozmawiali głośno. Ostrożnie do nich wracałem, słyszałem z daleka ich słowa. Jeden z nich był młodzieńcem rozsądnym. Mówił, że ja, ich wódz, chyba nie podejmę walki; jest nas za mało. „Ach, głupstwo! – zawołał inny, znany warchoł. – Jeśli tak, to chodźmy szybko uderzyć na wroga, zanim Nosi Kocioł przyjdzie do nas!” – Byłem tuż przy nich, wówczas dopiero mnie zauważyli. Kazałem im milczeć, oświadczy-

5 Mały Bizon

65

łem: „Jest nas tylko ośmiu, ich blisko stu. Walka – to pewna śmierć. Nie chcę brać waszego życia na swą odpowiedzialność”. Na to pyskacz: „To po co tu nas prowadziłeś? Czy nie po to żeby walczyć? A teraz zabrakło ci odwagi, ej?” Odpowiedziałem mu wściekły: „Nie, nie zabrakło! Więc dobrze, stawimy wrogowi czoło. Przygotujcie się na wszelki wypadek do walki. Ale główną część ja wykonam. Rzekłem: hauk!” – Pyskacz umilkł. Towarzyszom kazałem czekać w ukryciu, aż dam im znak. Miałem zawiadziaki pomysł. Postanowiłem wykorzystać moje szybkie nogi do podstępu. Czy przypominacie sobie?

Nosi Kocioł zwrócił się do dwóch spośród swych Assini-boinów, a ci potwierdzili:

–Przypominamy sobie, hauk!

–Zrzuciłem z siebie całą odzież. Chyłkiem pobiegłem – mówił dalej wódz. – Biegłem kilometr wklęsłościami, chciałem z przeciwnej strony zaskoczyć

nieprzyjaciół. Tymczasem, co się stało? Zauważyliście naszą grupkę, gotowaliście się do natarcia. Czy pamiętacie to, Czarne Stopy?

–Pamiętamy, hauk, hauk! – odpowiedziało kilku naszych wojowników.

–Dosiedliście koni, ruszyli pędem w kierunku naszej grupki. Już wspomniałem, miałem samych niedoświadczonych młokosów. Nawet nie spostrzegli się, że ku nim pędzicie. Posiadaliście wielką przewagę. Pewne było, że wybijecie w pień moich towarzyszy. Wyskoczyłem na wierzchołek wzgórza. Krzyknąłem do was n całe gardło. Stanęliście jak wryci, osłupiali: mieliście kogoś także za sobą. Zniknąłem wam z oczu, pobiegłem błyskawicą na inne wzgórze, trochę zmieniłem swój wygląd, znowu się pokazałem. Widziałem wasz rosnący niepokój. Staliście wciąż na miejscu. Nie wiedzieliście, co począć, gdzie wpierw uderzyć. Ja wam powtórnie zniknąłem, nogi moje nie próżnowały. Pojawiłem się szybko na trzecim wzgórzu. Siła złego, dwóch na jednego. Byliście przekonani, że otaczają was większe siły wroga. Zaniechaliście natarcia na moich towarzyszy i pośpiesznie wycofali się z okolicy. Tak więc

m

B

nogi moje odniosły nad wami zwycięstwo. Sami nie polowaliśmy, mimo to zdobyliśmy mięso kilku bizonów. Uratowaliśmy też własną skórę. Wróciłem do towarzyszy. Winszowali mi podstęp, dziękowali za ratunek. „Dziękujcie nie mnie, dziękujcie jemu!” zakpiłem sobie, wskazując na pyskacza. Towarzysze zdziwili się, ja dodałem: „Przecież to jego wielka buzia was uratowała. Gdyby nie krzykacz, zostałem przy "was i zginął razem z wami.” Młody wojownik od tego czasu wyleczył się z warcholstwa. Oto moja opowieść. Ja, Nosi Kocioł, zapewniam was, Czarne Stopy, jesteście teraz przyjaciółmi. Przyjaźń nasza – jak światło słońca, jak woda w Missouri – nigdy nie wyczerpie się. Pamiętajcie: Nosi Kocioł słowa swego nigdy nie złamał. Hauk!

–Hauk, hauk, hauk! – wołali nasi wojownicy i my, dzieci, również krzyczeliśmy.

Bębny, towarzyszące cichuteńko opowieści, przeszły nagle w dziki takt tańca. Nosi Kocioł z kilkoma towarzyszami dał teraz sceniczne przedstawienie całego zdarzenia. Żarliwie śledziliśmy każdy jego ruch. Jak tylko skończył, stanął przed wodzami Czarnych Stóp, poprosił jeszcze raz tłumacza i rzekł:

–Starzeję się. Nie wiem, czy ścieżki nasze po raz drugi się zejdą. Niebawem się rozstaniemy; przedtem chcę wam opowiedzieć, jak jeden z waszych wodzów uratował mi życie. Bez jego pomocy nie byłbym dziś między wami. Nie widzę go tutaj. Przeto proszę was, Czarne Stopy, po powrocie na wasze łowiska powtórzcie mu moje słowa. Miałem wtedy dwadzieścia sześć zim. Nie byłem jeszcze zbyt roztropny. Z moim bratem Nompa Winczesta – Dwóch Mężów – i kilkoma towarzyszami urządziłem przeciw wam, Czarne Stopy, wyprawę. Mieliście zbyt wiele koni, chcieliśmy wam je odebrać. W pobliżu Rzeki Mlecznej natrafiliśmy na jeden z waszych obozów. Nastąpiła noc, wyruszyłem z bratem na wywiad. Pełzaliśmy na brzuchach. Staraliśmy się wysledzić miejsce, gdzie trzymacie konie. Nagle jeden z waszych koni zerwał się. Biegł prosto na nas. Po-chwili za koniem ukazał się olbrzymi wojownik.

W ciemnościach nie mógł nas zauważyć. Konia nie złapał, za to wpadł na brata. Ten leżał ode mnie o kilkanaście kroków. Olbrzym był siłaczem nie lada. Szybko obezwładnił brata. Nie zdążyłem przybiec mu z pomocą. Odprowadził go do obozu. Skradałem się za nimi. Widziałem, jak weszli do wielkiego namiotu. Byłem zrozpaczony. Miałem tylko jedną myśl: pomóc bratu. Ale jak? U wejścia do wielkiego namiotu stał olbrzym. Opierał się o drąg. Byłem szalony. Podszedłem odważnie do olbrzyma. Zapytałem go o brata. On bez słowa uchwycił mnie, wciągnął do namiotu. W namiocie paliło się ognisko. Ujrzałem tam brata i kobietę, widocznie żonę olbrzyma. Wojownik kazał jej upiec dla nas mięsa. Od siedmiu dni mało jedliśmy. Połykaliśmy mięso jak wygłodniałe wilki. Wojownik patrzył na mnie życzliwie. Potem weszło dwóch, zabrało mnie i brata do innego namiotu. Tam obradowała starszyzna. Była niezmiernie wzburzona wydarzeniem. Podszedł do mnie młody człowiek władający językiem Assiniboinów. Mówił: w ostatnich czasach wiele kradziono im koni i wkrótce poniesiemy śmierć; rozesłano już do całego szczepu wieści o złapaniu dwóch złodziei. Wkrótce wszyscy opuścili namiot. Zabrano także brata. Tylko ja jeden pozostałem. Na dworze zbierał się cały obóz. Ludzie byli podnieceni i gniewni: wybiła nasza ostatnia godzina. Obok ogniska leżała strzelba, widocznie zapomniana przez starszyznę. Dосkoczyłem. Była nie nabita. Nieco dalej odkryłem róg do prochu i worek z kulami. Postanowiłem drogo sprzedać swe życie. Gorączkowo nabiłem strzelbę. Chciałem wyskoczyć na dwór. Nagle ujęły mnie jak w kleszcze dwie pary rąk, obezwładniły. Rozwścieczony tłum chciał mnie na miejscu zabić. Dwaj wojownicy, przez których byłem wciąż trzymany, ledwie mnie obronili i pędem zawlekli poza obóz. Tam czekał na nas ów olbrzym. Obok niego stał związany brat. Olbrzym musiał być wielkim wodzem Czarnych Stóp. Coś do mnie mówił, nie rozumiałem. Bratu rozciął więzy. Kazał nam wsiąść na dwa konie, przygotowane w pobliżu, i czym prędzej umykać. Byliśmy wolni. Jeszcze słyszałem, jak wódz-olbrzym potężnym głosem nakazywał spokój swym ludziom, zamierzaj ą-

•3

cym nas ścigać. Było ciemno, noc się nie skończyła. Nie wierzyliśmy własnemu szczęściu. Pędziliśmy, co sił ku wolności. Później nadzwyczajne wydarzenia tej nocy zdawały mi się jakimś majaczeniem chorej wyobraźni. Nie były to jednak majaki. Najlepiej o tym świadczyły dwa rzeczywiste konie, dane nam przez wodza Czarnych Stóp. Zawsze pozostawało dla mnie zagadką, dlaczego wtedy darowano nam życie. Oto moja opowieść.

Nosi Kocioł ogarnął przyjaznym wejrzeniem starszyznę Czarnych Stóp i dodał:

–Jestem stary. Jeśli ten wódz wasz żyje, proszę, po wtórzcie mu moje słowa. Dorzućcie jeszcze i to: byliśmy wrogami, a przecież przy każdym tańcu Słońca prosiłem niewidzialne siły o przychyłność dla niego. Oto wszystko, Czarne Stopy. Tyle chciałem wam powiedzieć. Hauk!

Gdy Nosi Kocioł siadł, powstał jeden z naszych wodzów, Niokskatos, i oświadczył:

–Wodzem, który ci życie darował, był mój ojciec. Byliśmy wówczas dziećmi, ale dobrze znamy to wydarzenie z ust ojca. Dokładnie sobie przypominam ową noc. Mogę ci dziś wyjaśnić, czemu zawdzięczasz życie. Własnej odwadze i waleczności. Nie opuściłeś brata w jego biedzie, potem zamierzałeś walczyć, choć groziła ci pewna śmierć. Ojciec chciał wypróbować twoją mężność. Przekonał się, że szkoda by było twego młodego życia. Jest u Czarnych Stóp święta zasada; według niej każdy winien ratować za wszelką cenę swego druha w niebezpieczeństwie. Tyś to uczynił dzielny wojownik i naczelny wodzu wszystkich Assiniboinów, dlatego ojciec darował ci życie.

Niokskatos porozmawiał szeptem z innymi wodzami Czarnych Stóp i znowu przemówił:

–Gdyby żył mój ojciec, wiem, przelałby na ciebie swe imię; zaszczyt to największy w naszym szczepie. Ty masz syna. Pozwól, jemu nadamy przydomek Niokskatosa.

89

–Hauk, hauk, hauk!... – wyrazili uciechę obecni Assini-boinowie. Wszyscy uświadamiali sobie doniosłość chwili. Taka wymiana nazwy wielkiego wodza między szczepami była istotnie najlepszym dowodem przyjaźni. Wojownicy byli przejęci.

U schyłku swych dziejów na preriach Indianie zaczęli dostrzegać rzeczy ważne i rozumne.



POLOWANIE NA BIZONY

Jto dwóch dniach popasu w obozie Assiniboinów i Gros Ventres opuściliśmy ich „ze zdrowymi uczuciami w naszych sercach” – jak oświadczył na odchodnym nasz wódz – i skierowaliśmy się na północ, by szukać bizonów. Po pożegnaniu się z grupą Niokskatosą wędrowaliśmy przez trzy dni. Pewnej nocy zbudził nas niezwykle dźwięk. Zerwaliśmy się, pilnie nasłuchując. Dochodził nas przejmujący odgłos, dobrze nam znany. Była to pieśń śmierci. Ktoś umierający w obozie śpiewał swą własną pieśń śmierci. Ale kto? Nikt przecież ciężko nie chorował.

–Kto to może być? Kto to? – rozlegały się trwożne pytania w namiocie.

Ojciec po chwili nasłuchiwania nagle zawołał:

–Toż to Biały Wilk!

Skoczył na równe nogi i zarzuciwszy koc na siebie wypadł z namiotu.

71

Słysząc było stłumione stąpanie wielu mokasynów i bosych nóg. Budziły się w nas najgorsze przeczucia.

Niebawem ojciec wrócił. Nawet w niepewnym blasku dogasającego ogniska zauważyliśmy jego wzruszenie. Matka szybko dorzuciła chrustu do ognia i pytająco patrzyła na ojca, który skrzyżował ręce na piersi i stał nieruchomo.

–Biały Wilk nie żyje! – zawiadomił nas stłumionym głosem.

Matka otworzyła szeroko usta i zakryła je ręką na znak przerażenia.

–Tak, nasz czarownik nie żyje! – powtórzył ojciec, jakby musiał upewnić się, że to prawda.

–Jak to się stało? – spytała matka.

–Nie wiadomo. Żona Białego Wilka także nie wie. Zbudziła się, on już śpiewał pieśń śmierci. Krew płynęła mu i gardła. Skonał z pieśnią na ustach...

Wszedł do namiotu brat ojca, Huczący Grzmot, by wspólnie z nami podzielić się smutną wiadomością. Błyszcząły mu oczy i nieprzyjemnie trącił jego oddech.

–Czy piłeś wódkę? – spytał ojciec-zgorszony.

–Piłem – odrzekł stryj i westchnął głęboko.

–Skąd ją miałeś?

–Jeszcze od Ruxtona.

–Nie pij, bracie! – prosił ojciec twardym głosem, wstrząsając ramionami stryja. – To nasza zguba.

Naraz ojciec przypomniał sobie niedawne wypadki i uderzył się w czoło:

–Oczywiście: Ruxton i Wrony...

I miał słuszność. Biały Wilk zginął od kuli, która kilka dni temu, podczas naszego napadu na obóz wroga, trafiła go w pierś. Spłaszczyła się tylko na płycie żółwiowej, lecz spowodowała krwotok, a w dalszych skutkach – śmierć.

Rozległ się przeciągły krzyk, do wycia jakiegoś zwierza podobny. To wdowa po czarowniku zanosila się od żalu. Za nią odezwały się inne kobiety i cały obóz

#

Rano wszystkie niewiasty na znak żałoby były pomalowane na czarno. Niektóre krewne zmarłego chciały dawnym zwyczajem poobcinać sobie po jednym palcu u rąk, ale starszyzna zabroniła im wykonania tego barbarzyńskiego zwyczaju.

W ciągu dnia odbył się pogrzeb z okazałością należną tak znakomitemu mężowi szczepu. Zwłoki ubrano w najpiękniejsze szaty i ułożono na skórach bizonowych. Strzelbę Białego Wilka połamano na kawałki, ażeby ona także „umarła” i towarzyszyła zmarłemu w Krainę Wiecznych Łowisk. Na najwyższym w okolicy wzgórzu wzniesiono rusztowanie z drągów. Tam, wysoko ponad ziemią, umieszczono zawinięte w skóry zwłoki. Miały one panować nad całą okolicą-.

Straciliśmy zasłużonego czarownika, zażywającego czci wielkiego wodza. Sława jego sięgała daleko poza szczep Czarnych Stóp. Czuliśmy się osieroceni, jakkolwiek miejsce jego zajął godny mistrza następca, Kinasy.

Podjęliśmy dalszą wędrówkę. Dawniej, jeszcze na kilka lat przed moim przyjściem na świat, szczep nasz patrzył na tysiące bizonów, ciągnących przez słoneczne prerie. Dziś nie tylko na południu, w Arkanzas, Colorado, Oklahoma, wcale nie było już bizonów – zostały one w zbrodniczy sposób wybite przez białych myśliwych – lecz także i tu, na północy, w Montanie i w kanadyjskiej Albercie, stawały się zastraszająco rzadkie. Niedobitki ich kryły się trwożliwie małymi stadkami w odludnych dolinach, a najczęściej po dwie, trzy sztuki. Przez kilka dni po opuszczeniu obozu wódza Nosi Kotła nie wykryliśmy ani jednego bizona.

Apianistan, wódz Piganów, jednego z podszczepów Czarnych Stóp, kazał nam iść daleko na północ i trzymać się podnóży Gór Skalistych, gdzie były nieuczęszczane jeszcze przez białego człowieka doliny – i zapewniał nas, że tam można się spodziewać lepszego polowania. Poszliśmy za jego radą.

Wojownik Kiciponista posiadał sokoli wzrok. On to pewnego dnia wypatrzył z daleka stado ptaków, kosów stepowych, które stale w jednym miejscu wzbijały się w górę i zlatywały

ku ziemi. Co było na ziemi, nie widział, gdyż prerie tworzyły tu wklęsłość, ale wszyscy domyślaliśmy się. Ptaki te trzymały się zawsze w pobliżu bizonów, siadały im na grzbietach i wy-dziobywały kleszcze ze skóry.

Wódz nasz, Krocząca Dusza, wybrał się z dwoma wojownikami na zwiady. Szybko wrócili w pełnym galopie z radosną nowiną, że odkryli wielkie stado, składające się prawie ze stu bizonów. Tylu zwierząt nie widziano od trzech lat. Bizony były czujne. Spostrzegli jeźdźców i puściły się cwałem.

Natychmiast rozpoczęliśmy przygotowania do pościgu. Wszystkie dzieci, z wyjątkiem najmłodszych, musiały sięść na grzbietach końskich, przeważnie parami. W owych czasach Indianie nie posiadali prawdziwych siodeł. Zamiast nich używali skórzanych worków, wypchanych sianem lub wełną bi-zonową. Strzemion również nie mieli; najzwyczajniej wiązali po dwa paski skórzane dokoła brzucha końskiego i tak dosiadali konia. Za uzdy służyły nam skórzane powrozy, uwiązane do dolnej szczęki zwierzęcia, a używane tylko do zatrzymania konia, gdyż kierowaliśmy go wyłącznie nogami. Nasi wojownicy najchętniej jeździli na oklep nie uznając siodeł. Siodła – mówili – dobre dla kobiet.

Po zdobyciu koni na Wronach ojcowie poruczyli nam, młodzieży, opiekę nad częścią łupu; mieliśmy ujeździć sobie wierzchowce. Podczas bezustannej wędrówki spełnialiśmy ten obowiązek niezbyt sumiennie. Gdy przyszło teraz do pośpiesznego wsiadania, konie nasze zaczęły wierzgać, gryźć i stawać dęba. Zrzucały nas niemiłosiernie na ziemię i pomimo że robiliśmy z tego żarty, niesposób było dzikich mustangów utrzymać i dosiąść. Dokoła zbierały się dziewczynki i jak to one, zawsze skore do złośliwości, zaczęły z nas szydzić.

–O, kipitakiks, kipitakiks! O, stare baby, stare baby!

Mieliśmy dość kłopotów z końmi. Takie drwiny bardzo nam dopiekały i zjadliwie odcinaliśmy się „złym małym suczkom”, za co ojcowie nas zgromili.

–Dziewczyny mają słuszość – mówili'starsi – bo już dawno należało wam ujeździć konie.

Nie śmieliśmy odpowiedzieć. Całą wściekłość skupiliśmy na koniach i to pomogło. Konie zaczęły nas słuchać. Wnet uporaliśmy się z nimi i chociaż mieliśmy jeszcze zacięte miny, w oczach tliły się nam wesołe iskierki. Najgorzej powiodło się Młodemu Orlemu Mówcy. Nie dość, że spadł przez głowę swego gniadosza, ale dziki koń chwycił go za nabicdrnik i rozszarpał przyodziewek. Nieszczęsny młodzian daremnie starał się ukryć swą goliznę przed wzrokiem dziewczyn.

Ojcowie patrzyli na nas z boku z życzliwą pobłażliwością, a gdy wreszcie wszyscy siedzieliśmy na koniach, wódz Krocząca Dusza zawołał do nas tak, aby dziewczęta słyszały:

–Hejże, młodzi wojownicy, ruszajcie naprzód! Pokażemy kobietom, jak się ubija bizona.

Słowa te tak nas wbiły w dumę, że pomimo szalonych harców koni jakoś trzymaliśmy się grzyw i jechali wyniośle za starszymi, nie darząc młodych piekielnic nawet spojrzeniem.

Tuż przede mną cwałował mój starszy brat, Mocny Głos. Był to uroczysty dla niego dzień. Brat miał już dwanaście lat i ojciec pozwolił mu po raz pierwszy brać w polowaniu na bizona prawdziwy udział, na równi z dorosłymi wojownikami. Mocny Głos posiadał łuk niewiele mniejszy niż łuki wojowników. Był to i mój ważny dzień, bo pozwolono mi jechać z myśliwymi i z bliska przyglądać się ich polowaniu. Postanowiłem trzymać się stale brata. Na wszelki wypadek zabrałem mój dziecięcy łuk. Konia miałem znakomitego, bułanej maści. Wybrał mi go ojciec. Żałowałem tylko, że nie pozwolono mi zabrać psa Pononki.

Pędząc w kierunku północno-wschodnim po falistych preriach, przebrnęliśmy w szerokiej dolinie przez płytką rzeczkę. Skoro wpadliśmy na przeciwległe pasma wzgórz, oczom naszym przedstawił się widok chyba najponętniej szy d'a wyobraźni Indianina. Czarną, szeroką plamą odbijało się od zielonego tła traw liczne stado bizonów. Zbite w masę, biegło kłusem ku północy; niektóre tylko zwierzęta trzymały się z boku, zdała od stada. Odczuwaliśmy w obozie brak mięsa, a oto toczyły się

olbrzymie zapasy żywności, wystarczającej – jeśli zręczność myśliwych dopisze – na całą następną zimę.

Bizony zauważyły nas i przeszły w galop. Na obmyślenie zasadzki myśliwskiej nie było czasu ani sposobności. Jeźdźcy wzięli najszybszy rozpęd i dziko pokrzykiwali, żeby przerażone stado rozbić na drobne grupy.

. Rozlegały się ryki zwierząt, dudnił tupot racic i kopyt, ziemia drżała. Kurz powstawał tak gęsty, że ledwo widziałem Mocnego Głosa przed sobą. Łowcy szybko rozwinęli się w długą, ukośną linię, chcąc okrążyć stado od lewej strony. Po chwili tumany kurzu zostawiliśmy za sobą. Bizony były tuż przed nami. Wełniste barki potężnych zwierząt to wznosiły się, to opadały w szalonym galopie. Każdy myśliwy brał na cel możliwie tłustą krowę i podjeżdżał jak najbliżej. Już wypryskiwały strzały z łuków. Rozlegał się również huk strzelb, ale w ogólnej wrzawie dochodził do uszu przytłumiony, jak gdyby z wielkiej odległości. Już widziałem tu i owdzie padające

zwierzęta. Bizony miały twarde życie. Tylko ugodzone w serce padały, wszakże i wtedy jeszcze tarzały się po ziemi. Wyznam, że widząc z bliska tak olbrzymie zwierzęta i do tego tak groźnie wyglądające ze swymi wielkimi łbami – wzdrygałem się i coś we mnie drętwiało ze strachu.

Górski Płomień, chłopiec trochę starszy ode mnie, pędził zbyt blisko za swym ojcem i o mało co nie przypłacił tego życiem. Ojciec jego strzelił do krowy biegnącej pomiędzy dwoma bykami. Jeden z nich, stare, zmęczone zwierzę, niespodzianie przystanął i nastawił rogi na jeźdźca. Na ten widok koń gwałtownie odskoczył w bok. Niespodziewanym ruchem tak przeląkł starego bizona, iż ten błyskawicznie odwrócił się do ucieczki i wpadł z całej siły na dwa bizony. Wszystkie trzy wywróciły się tworząc plątaninę cielsk. Górski Płomień pędził tuż za ojcem. Nie zdążył skierować swego konia w bok i wleciał na bizony. Cała piątka – trzy bizony, koń i chłopiec – kłębiła się po ziemi.

Górski Płomień kurczowo uczepił się karku jednego z byków. Zwierzę raptem powstało na nogi i jak szalone popę-

dziło z przerażonym chłopcem na grzbiecie. Myśliwi puścili się za nim. Trudno było strzelić do bizona, aby nie trafić przypadkiem chłopca. Dopiero gdy jednemu z jeźdźców udało się przyłożyć lufę strzelby do łba zwierza, wystrzelił. Bizon potknął się i upadł. Górski Płomień zatoczył koło w powietrza i legł nieprzytomny. Szczęśliwym trafem, nic poważnego mu się nie stało.

W tym czasie mój brat Mocny Głos i ja pędziliśmy za innymi bizonami. Młodemu myśliwemu nie nadarzyła się jeszcze sposobność do strzału. Próbował kilka razy, lecz bądź to bizona były zbyt daleko, bądź nastęczyła się z bliska nieodpowiednia zwierzyna, byk zbyt stary. Niebawem stado bizonów straciło swą zwartość i coraz bardziej się rozpraszało.

Przed nami odłączyła się od reszty młoda jałówka i uciekała w bok. My za nią. Po chwili byliśmy już sami na preriach, z daleka od obławy. Brat szybko zbliżył się do zwierzęcia. Naprężył łuk i wystrzelił. Strzała trafiła w pierś. Zwierz pędził dalej. Mocny Głos dopadł go ponownie i wsadził drugą strzałę pod lewą łopatkę. Bizon zawrócił uciekając w innym kierunku, lecz już nie tak szybko jak poprzednio. Uwijałem się za nimi i z podniecenia ledwo chwytalem powietrze.

Brat napiął z całej siły łuk i wypuścił trzecią strzałę. Niestety – tym razem w kark. Zwierz tylko potrząsnął głową i walił dalej. Czwarta strzała była celniejsza; musiała ugodzić w okolicę serca. Bizon, widocznie osłabiony, zwolnił biegu. Piąta strzała trafiła chyba jeszcze lepiej. Zwierz ciągle pędził, ale ujrzelismy krew ciekącą mu z nosa. Okrzyk zwycięstwa wyrwał nam się z piersi. Teraz było wiadomo, że zdobycz już nam nie ujdzie. Jeszcze jedna strzała. Zwierz zatoczył się i legł. Drgał. Wtedy porwany zapalem zeskoczyłem z konia i strzałą z mego łuku ugodziłem bizona w bok. Drgnienia ustały.

Chwyciliśmy się za ręce i upojeni tańczyliśmy dokoła powalonego bizona. Gdy pierwsza fala uniesienia minęła, przystąpiliśmy do oglądania i obmacywania zdobyczy. Tkwilo w niej sześć strzał oprócz mojej. Mocny Głos zmartwił się:

–Sześć strzał. Czy to nie trochę za wiele jak na jedną jałówkę? Powiedz.

–Powiedzą, że źle strzelałem. Będą się ze mnie natrzą-

–Powiedzą, że źle strzelałem. Będą się ze mnie natrząsali...

–Nie ma na to rady... Strzelałeś, strzelałeś, ale w końcu powaliłeś go.

–Inni – brat szedł za swoim tokiem myśli – inni strzelają raz, dwa razy. Już mają bizona.

–To prawda. Ale to są dorośli wojownicy...

Coraz bardziej krzywym okiem patrzyliśmy na te strzały – i im dłużej spozieraliśmy, tym nieznośniej trapiły nasz wzrok i honor. Gorzka hańba tylu niepotrzebnych strzał! Nagle bratu coś zaświtało. Spojrzał na mnie przenikliwie:

–Czy można ci zaufać?

–Można.

–Czy będziesz milczał jak grób?

–Będę.

–Bizonku, żebyś mnie nie zdradził, bo inaczej – biada!

Mocny Głos wyłuszczył mi swój plan:

–Po prostu usuniemy strzały. Pozostawimy tylko dwie. Resztę schowamy. Rany zasypujemy ziemią. Wszyscy będą myśleli, że to tylko powierzchowne zadraśnięcie – o!...' Nie zdradzisz mnie?

–Nie! – odrzekłem z głębi duszy.

Zabierał się do wykonania zamiaru. Wtenczas obudziły się we mnie wątpliwości. Pomyślałem, co będzie, gdy przyjdzie ojciec...

–Czekaj! – powstrzymałem Mocnego Głosa. – Przyjdzie ojciec. Na pewno zapyta się, jak było. Co ojcu powiemy?

–Powiemy, że...

–Że co? Właśnie, że co?

–Że...

Stanęliśmy przed nieprzebytym murem. Ojciec był dla nas wyrocznią wielką jak niebo i równie ubóstwianą. Jednocześnie przyszły mi na pamięć niedawne wypadki. Ile najadłem się

strachu, gdy przez dwa dni zatajałem mój uczynek ze zwłokami wroga! Jakie to były katusze!

–Nie! – krzyknąłem do brata, aż drgnął. – Nie rób tego.

–Czemu nie? – zapytał, lecz widać było, że i jego nurtuje niepewność.

–Nie możemy kłamać!

Nic nie mówił. Ja też nie. Potem przypomniały mi się słowa matki sprzed kilku dni i powtórzyłem je z powagą mędrca: – Kto chce zostać wielkim wojownikiem, musi nienawidzić kłamstwa.

–Tak jest! – potwierdził brat półgębkiem.

Byliśmy znów spokojni i pogodzeni z losem. Strzały w bizonie już nie budziły naszej odrazy. Wtem z oddali rozległ się okrzyk i zwrócił naszą uwagę.

–Ojciec! – zawołaliśmy i zaczęli machać rękoma.

Ojciec, zaniepokojony naszą nieobecnością, szukał nas po preriach. Gdy przybliżał się, staliśmy jak trusie, jak z kulą u nogi, miotani najsprzeczniejszymi wzruszeniami. U mnie, tak samo jak u brata, mieszała się duma z niepokojem. Co powie ojciec na tyle strzał?

Ojciec wcale rias nas nie patrzył, lecz wlepił wzrok w bizona.

–Ho, ho! – rzekł tylko, a dźwięczało to prawie jak uznanie.

Podszedł do zwierza. Oczy mu pałały, nie było w nich widać niezadowolenia. Z sumiennością sędziego badał położenie każdej strzały i liczył je półgłosem:

–Pierwsza, druga, trzecia... czwarta...

Brat w poczuciu swej winy zaczął siorpać nosem. Chciałem go pocieszyć, uściśnąłem mu ukradkiem rękę.

–Piąta – liczył dalej ojciec – szósta. A to co? I rozbawiony wskazał palcem na moją strzałę.

–To ja... To moja... – jąkałem ze ściśniętym gardłem.

–I ty nawet, pędraku? – zawołał ojciec wesoło.

Teraz dopiero zauważył nasze przygnębione miny i spojrzał na nas ze zdziwieniem.

–Cóż tak stoicie jak ostatnie nieszczęście?

–Sześć strzał... – zajęczał Mocny Głos.

–Ach, ty kochany głuptasie! – wybuchnął ojciec wesoło. – Czy wiesz, ile potrzebowalem strzał do mego pierwszego bizona? Jedenaście. Sześć strzał to triumf.

Ujął nas za ręce i zaczął z nami tańczyć dokoła bizona taniec zwycięstwa. Zrobiło nam się ciepło, tajało w sercu. Porwało nas. Już skakaliśmy razem z ojcem. A ojciec wykrzykiwał śpiewnie:

–Sześć strzał, ho, ho, sześć strzał! Tęgi myśliwy z tego chłopca, ho, ho, wypuścił tylko sześć strzał! Będzie z niego wojownik, ho, ho...

Mocny Głos miał jeszcze coś na sumieniu.

–Ojczy! – rzekł. – Muszę ci się przyznać. Chciałem skłamać.

I opowiedział całą historię, jak chciał wyciągać strzały z ubitego zwierza i zatkać rany ziemią, jak temu się sprzeciwiłem, jak mówiłem, że trzeba nienawidzić kłamstwa...

Ojciec słuchał uważnie, potem przyciągnął mnie do siebie i tak mocno przyciskał do swej piersi, że traciłem oddech. Gdy mnie puścił, kazał mi spojrzeć na bułanego konia, na którym tu przyjechałem. Konie nasze stały w pobliżu i skubały trawę.

–Podoba ci się bułanek? – zapytał z uśmiechem. Nie rozumiałem, o co mu chodzi.

–Podoba.

–To twój! Daruję ci go.

Znowu zaparło mi dech. Chłopcy indiańscy w moim wieku nie posiadali jeszcze własnych koni.

–To mój? – bąknąłem. – Moja prawdziwa własność? Prawdziwy?

–Prawdziwy, twój.

Z radości zahuczało mi w głowie. Zerwałem się i teraz z kolei ja sam wykonałem taniec dokoła bułanego mustanga śpiewając i pokrzykując w uniesieniu. Była to półdzika jesz-

cze bestia i musiałem się pilnować, by mi nie wygarnęła kopytem.

Zapewniam, że tego południa na preriach nie było weselszej trójki niż nas trzech: ów wielki, ów mały i ów jeszcze mniejszy.

Wróciliśmy do miejsca, na którym polowanie się rozpoczęło. Kobiety zastaliśmy już przy ściąganiu skór i dzieleniu mięsa. Obliczano, że bizonów padło blisko sześćdziesiąt, zdobycz bogata. Ubite zwierzęta leżały na preriach na przestrzeni kilku kilometrów. Każdy myśliwy malował na swych strzałach własne znaki dla odróżnienia od innych i po nich kobiety teraz poznawały zwierzęta, upolowane przez mężów lub członków bliższej rodziny. Myśliwi, strzelający ze strzelby, rzucali na ubitą

zwierzynę swe strzały znacząc je w ten sposób dla żon.

Młody syn zmarłego czarownika Białego Wilka hasał na swym koniu razem z innymi chłopcami. Matka jego dała mu kołczan i strzały po ojcu, które chłopiec przewiesił sobie przez plecy; malec oczywiście był jeszcze za młody, by polować i tak jak ojciec zabiegać o żywność dla rodziny. Gdy matka nasza spostrzegła go, wzięła z jego kołczanu jedną strzałę Białego Wilka i zawołała na Mocnego Głosa i na mnie, byśmy poszli za nią.

Zaprowadziła nas do zabitej przez brata jałówki, wyrwała z jej ciała wszystkie strzały Mocnego Głosa i moją i w ich miejsce wbiła strzałę Białego Wilka, jak gdyby czarownik jeszcze żył i sam zastrzelił jałówkę dla swej rodziny.

–Czy zgadzasz się na to, Mocny Głosie? – zapytała matka.

–Chętnie, mammo! – odrzekł brat.

Zrozumiał, jaki to zaszczyt dla niego być żywicielem rodziny po czarowniku.

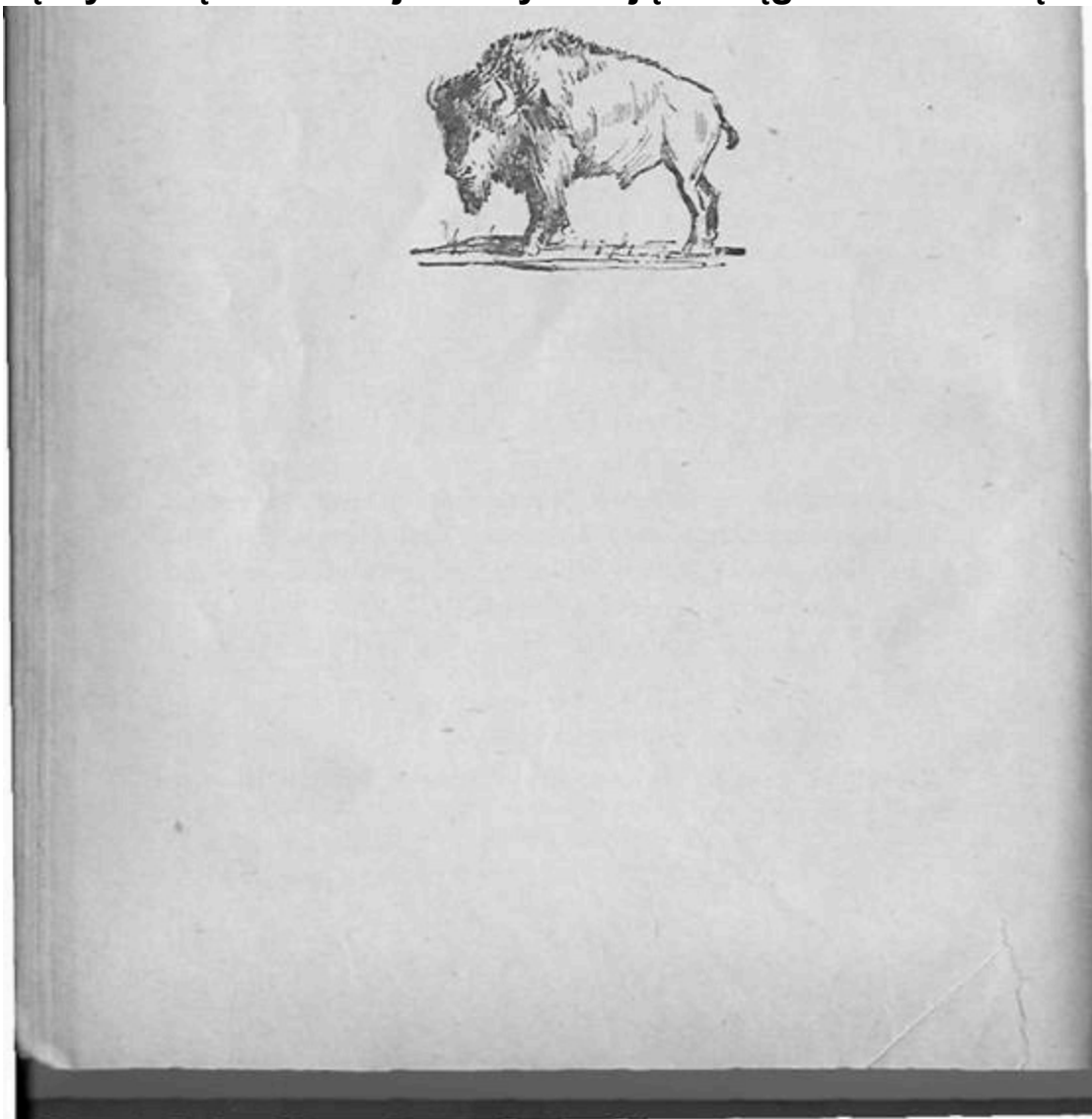
–A ty, Bizonku?

6 Mały Bizon

–Tak, mamó – odpowiedziałem z zakłopotaniem, bo przecież zdobycz nie była moja.

Matka, zadowolona, kiwnęła głową. Wróciliśmy do innych kobiet.

Później widzieliśmy, jak wdowa po Białym Wilku krzątała się przy bizonie. Zrozumiała niemą wymowę utkwionej strzały. Łkając ściągała ze zwierzęcia skórę.



TANIEC SŁOŃCA

Prace nad wyprawieniem skór bizonowych i suszeniem mięsa na pemikan trwały blisko miesiąc. Najlepsze części bizonów przypadły starcom i staruszkom, których

uświęconym obyczajem szczep zawsze otaczał troskliwą opieką. Mięso spożywaliśmy przeważnie na surowo, a gdy chcieliśmy je upiec, wsadzaliśmy je na koniec kija i trzymaliśmy nad ogniem.

Po spakowaniu sutych zapasów zimowych w odpowiednie worki skórzane czas było ruszyć w drogę, północno-wschodnim szlakiem. Tam, w Kanadzie, w połowie lata, zbierały się raz do roku wszystkie grupy Czarnych Stóp, by wspólnie obchodzić największą naszą uroczystość, zwaną Tańcem Słońca.

Dziś, zastanawiając się nad niezwykłą doniosłością, jaką posiadał wówczas Taniec Słońca dla nas i dla innych szczepów preryjnych, dochodzę do wniosku, że ów obchód miał przede wszystkim wielkie znaczenie dla umacniania jedności szczepowej. Najważniejsze było to, że oto koczujące grupy, nie widząc się przez cały rok, ściągają w jedno miejsce, zapładniają się krzepiącym poczuciem wspólnoty i gdy znów rozstawały

6'

83

się na przeciąg następnego roku, odchodziły przepojone siłą, wynikłą z poczucia przynależności szczepowej.

Po wielu dniach wędrówki dotarliśmy nad rzekę Namaka, nad której brzegami od niepamiętnych czasów odbywał się Taniec Słońca. Zastaliśmy już wielki, wspaniały obóz wszystkich niemal oddziałów szczepu Czarnych Stóp. Rozciągał się na przestrzeni trzech kilometrów. Piękne namioty o różnych barwach otaczały miejsce przeznaczone do tańców. Na tym placu widniało już rusztowanie obszernego ostrokołu ceremonialnego. Ostrokół nie był jeszcze gotowy, a przecież od samego jego widoku serca nam rosły.

Zaledwie w obozie zauważono nasze zbliżanie się, kilkunastu wojowników na koniach wyskoczyło nam naprzeciw, ażeby powitać nas jeszcze na preriach wielkim okrzykiem radości. Zaprowadzili nas na przeznaczone dla naszej grupy miejsce. Podczas rozbijania namiotów starsi chłopcy musieli pomagać rodzicom, lecz my, młodzi, wolni od pracy, natychmiast daliśmy nurka w gwarne życie obozu.

Wszędzie było pełno chłopców, znajomych z poprzednich lat, toteż łatwo pokumaliśmy się z nimi. Przede wszystkim musieli nam powiedzieć, czy w ostatnich czasach mieli jakieś ciekawe walki.

–Niewiele – odpowiedzieli – tylko jedną potyczkę, a wy?

–My, hauk, doznaliśmy wielkich przygód. Wrony i Amerykanie ukradli nam konie i zabili sześciu ludzi, w tym Kosmate Orlątko, ale za to daliśmy im bobu, że popamiętają aż do wiecznych łowów. Wytłukliśmy ich co niemiara, może stu poległo, może nawet więcej, nie liczyliśmy zabitych i ojcowie pozwolili nam, chłopakom, skradać się pod sam obóz. nieprzyjacielski, a gdy zaczęła się strzelanina, podnieśliśmy ogromny krzyk, wróg myślał, że go atakujemy, więc strasznie do nas strzelał, ale nikt z nas się nie bał, tylko starszy wojownik, który nas pilnował, ten bał się i kazał nam wracać do matek, tymczasem kule ciągle leciały jak deszcz i nic nam nie zrobiły, hauk...

Bi

Tamci chłopcy przyznali, że ich wodzowie nigdy nie pozwoliliby na taki udział młodych w walce. Bardzo nam zazdrościli pięknego przeżycia. Niektórzy oświadczyli, że uciekną od swoich, by szukać prawdziwych przygód. Czy ich przyjmiemy do siebie? Odpowiedzieliśmy: przyjmiemy każde odważne serce, nauk!...

Opowiadania szybko się wyczerpały i przeszliśmy do gier i zawodów. Zamierzaliśmy odegrać w zabawie naszą ostatnią walkę, ale z rolami wyłoniły się trudności: wszyscy chcieli odtwarzać rolę Czarnych Stóp, niewielu zgłosiło się na Wrony, a już za nic w świecie nikt nie chciał być Amerykaninem. Więc musieliśmy zaniechać tej gry. Zabraliśmy się do różnych zawodów, które odbywały się od rana do-wieczora. Każdy chłopak chciał wykazać swą zręczność w jakiejś dziedzinie: czy to w skokach, czy w biegach, w rzucie kamieniem, w strzelaniu z łuku czy w zapasach.

Okres ten trwał przeszło dziesięć dni. Bębny biły dniem i nocą w kilku na raz miejscach obozu i wojownicy wciąż tańczyli odbywając ceremonie, poprzedzające główną uroczystość ku czci Słońca. Zazwyczaj kilku lub kilkunastu tancerzy, należących do tego samego bractwa, dokonywało obrzędu, obowiązującego tajne związki wojowników.

Także podczas nocy obóz rozbrzmiewał śpiewem i odgłosami tańca, a bliżej słyszeliśmy ciche stąpanie indiańskich san-dałów-mokasynów. Zdjęci ciekawością podnosiliśmy zasłony namiotu. Pochylone postacie wojowników, otulone w koce, kroczyły milcząco przez obóz dźwigając jakieś zagadkowe przedmioty, przeznaczone do zagadkowych ceremonii. Wśród śpiewów i wesołości tały się rzeczy niezrozumiałe. Szybko więc kładliśmy się znów na posłanie. Patrzeliśmy przez otwór dymny w niebo, jak gdyby liczne gwiazdy mogły uciszyć nasze wzruszenie. Od tyłu ukrytych tajemnic przejmował nas dreszcz.

Ostatniej nocy przed świętem nikt z dorosłych nie spał. Obóz jaśniał od wielu ognisk, paliło się w każdym namiocie. Kto by poszedł tej nocy "poza obóz i z dala spoglądał na to wielkie skupisko ludzi, miałby wrażenie jakiejś nieziemskiej

bajki, utkanej ze światła. W namiotach było gwarno i wesoło.

Ojciec wszedł do namiotu różnym krokiem i coś przyjaznego powiedział do matki. Nam, dzieciom, polecił, żebyśmy tej nocy przed tak wielkim dniem nie szli na spoczynek. Nucąc swą pieśń wojownika wkładał na siebie odświętne szaty, które mu matka pieczołowicie przygotowała.

My, dzieci, chcieliśmy czuwać, jednak w końcu sen nas zmorzył, ale nie na długo. Zbudził mnie najpiękniejszy dźwięk, jaki wtedy dla mnie istniał, uroczysty śpiew ojca. Każdy wojownik miał na ten dzień przygotowaną pieśń o słowach i melodii przez siebie ułożonych, pieśń, której Indianie przypisywali nadnaturalny- wpływ na losy człowieka. Ojciec nucąc siedział przed ogniskiem, już świątecznie ubrany – wyglądał urzekająco w swym bujnym pióropuszu.

Świtało. Jeszcze leżałem. Rozchodził się zapach jeleniego mięsa, pieczonego nad ogniem. Raz po raz matka odzywała się śpiewnie do ojca, a ojciec odpowiadał jej miękkim, ciepłym głosem. Obydwoje byli bardzo szczęśliwi i dobrzy dla siebie. Jeśli po wielu latach przypomina mi się moja młodość, to jako najmiłszy obraz wyłania się z przeszłości poranek owego dnia i moi rodzice, odświętnie ubrani.

Powoli otrząsałem się ze snu. Z dworu słychać było spotęgowany gwar i ruch. Zewsząd dochodziły nas głośniejsze niż poprzednio pieśni i szybsze, jakby zuchwalsze bicie bębnow. Rozlegały się wołania obozowych mistrzów ceremonii, wydających ostatnie rozporządzenia. Ale do południa właściwie nic wyjątkowego nie zaszło, tylko wzrastało ogólne wrzenie w obozie...

Dopiero tuż przed południem donośne okrzyki zwróciły naszą uwagę na dwunastu młodych jeźdźców, którzy jak wichur przycwalałoli do obozu wlokąc za sobą świeżo poćcinane świerki. Dwóch innych uroczyście przywiozło skądś orle gniazdo.

Nadeszło południe. Najstarszy z czarowników dał znak. Wojownicy gałęziami świerków zaczęli pokrywać palisady olbrzy-

miego ostrokołu, przeznaczonego do tańca. Równocześnie na placu powstała nieopisana wrzawa i radosny zgiełk. Czegoś podobnego jeszcze nie przeżywałem. Wojownicy na spienionych koniach pędzili dokoła placu strzelając w powietrze i krzycząc na potęgę. Wszyscy, kobiety, starcy, dzieci, hałasowali jak opętani, dzikie bicie bębnow mieszało się ze świstem gwizda-wek i brzękiem dzwonek. Przed kopytami rżących koni umykały dzieci, zapomniane przez rodziców, którzy sami gubili się w ciżbie. Tumany kurzu wypełniały powietrze, pachniało prochem i końskim potem.

Tak zaczęło się żywiołowe powitanie słońca. Trwało może kwadrans. Potem wrzask się uciszył. Najstarszy czarownik powstał i wszyscy z natężoną uwagą śledzili każdy jego ruch. Z orlim gniazdem w ręku podszedł do olbrzymiego pala, leżącego na ziemi obok wykopanego poprzednio dołu. Klękając nad cieńszym końcem pala czarownik przykrył się kocem. Przybiegli wojownicy i wspólnymi siłami wnieśli do góry pal razem z czarownikiem. Gdy wyprostowali pal pionowo, wsadzili jego dolny

koniec w dół i szybko zakopali. Czarownik sterczał wysoko na słupie wiele metrów ponad ziemią, a nad nim orle gniazdo. Wszyscy obecni – a było nas kilka tysięcy – wstrzymali oddech. Gdyby czarownik przypadkiem spadł ze słupa, byłby to złowróżbny znak sił niewidzialnych. Lecz czarownik nie spadł i zwinnie ześliznął się na ziemię. U góry na czubku pozostało orle gniazdo.

Nadeszła oczekiwana od dawna chwila. Do ostrokołu wbiegli młodzieńcy, pragnący uzyskać miano wojowników. Stanęli w szeregu ogarniając pałającym wzrokiem święty pal i orle gniazdo, godło wojowników. Czarownik przyszykował swe narzędzia – ostry nóż i wiele metrów rzemienia i przywołał do siebie pierwszego junaka. Najpierw naciął nożem skórę i mięśnie po lewej stronie jego piersi w dwóch miejscach, oddalonych od siebie na długość małego palca. Między tymi nacięciami wsadziwszy nóż przebił głęboko pod skórą rodzaj tunelu i przez ten otwór przeciągnął rzemień. Następnie zawiązał węzeł, a końce rzemienia przymocował do pala.

W sprawnych rękach czarownika nóż migał piorunem. Tej samej operacji dokonał po prawej stronie piersi. Już młody chwyt był przywiązany do słupa dwoma rzemieniami, przechodzącymi przez jego ciało.

Podczas tych czynności pilnie śledziliśmy, czy młodzieniec mężnie znosił ból. Znosił mężnie. Patrzeliliśmy na jego palce, nie drgnęły nawet. Byłem jeszcze miękkim pisklęciem i przyznam się, że trochę zrobiło mi się słabo, ale na równi z innymi byłem szalenie dumny z młodego bohatera, z jego godnej postawy. A przecież był to tylko początek i prawdziwej wytrzymałości na ból należało dopiero dowieść.

Następni młodzieńcy przechodzili przez tę samą ceremonię, wiązani za mięśnie na piersiach do świętego słupa. Tymczasem pierwszy junak już odbywał swój osobliwy taniec. Wpatrzony z 'zachwyceniem w słońce szukał w nim natchnienia i nucił swą pieśń błagając, ażeby słońce, źródło wszech-życia, przysporzyło mu mocy i męstwem zaprawiło jego serce. Bębny towarzyszyły mu dzikim biciem i wszyscy dokoła śpiewem zachęcali zucha, podczas gdy on uwijał się dokoła słupa. Miarowe z początku ruchy jego stawały się coraz gwałtowniejsze, wkrótce młodzieniec podskakiwał, rzucał się w różne strony, szamotał się. Nadchodziła najważniejsza, porywająca chwila tańca i w ogóle całej uroczystości. Bohater usiłował uwolnić się od więzów, rozrywając na piersi mięśnie. Więzy trzymały go mocno, więc młodzian wyrywał się coraz zapamiętałej i targał rzemienie. Obowiązkiem jego było uwolnić się – barbarzyński, to prawda, lecz jakże wymowny i urzekający symbol walki człowieka ze słabościami ciała. Walki zwycięskiej w sojuszu ze słońcem.

Rany wyglądały groźnie, lecz czarownik zalewał je wywarem z jakichś ziół i wszystko łatwo się goiło. Nigdy nie było wypadku zakażenia krwi. Od tej chwili młodzieniec nosił miano wojownika. Dumny ze swego czynu i chluba całej rodziny, szybko przychodził do siebie.

–Jeszcze sześć zim! – mówił starszy brat, Mocny Głos,

88

z nutą niecierpliwości w głosie, podniecony jak wszyscy inni.

–Jeszcze sześć zim i ja będę wojownikiem.

–Ja jeszcze dłużej muszę czekać – nasunęła mi się niezbyt wesoła myśl.

Następnego dnia po obrzędzie Słońca odbył się na zakończenie jeszcze jeden taniec, bardzo podobny do tańca „Przeżyłem”. Dwóch najślawniejszych wojowników przedstawiało jedną ze swych stoczonych kiedyś walk.

Pomiędzy obcymi szczepami, goszczącymi w obozie, znajdowała się grupa Indian Kri. Jednym z ich wodzów był Ładny Młodzieniec, z którym wódz Czarnych Stóp, Atsistamokon, stoczył przed dziesięciu laty sławną walkę. Ponieważ obydwaj byli obecni w obozie, poproszono ich, by odegrali ówczesny pojedynek. Zgodzili się.

Wówczas, przed dziesięciu laty, Atsistamokon prowadził w Montanie oddział wojowników przeciw szczepowi Kri. Ładnemu Młodzieńcowi, stojącemu na czele grupy Kri, udało się odeprzeć Czarne Stopy, a ich wodza, oddzielonego od reszty wojowników, zapędzić w taką pułapkę, że zdawał się być skazany na pewną śmierć – otoczony zewsząd wrogami. Lecz Atsistamokon nie tracąc serca ani głowy powziął

szaleńczą myśl przedarcia się przez sam środek nieprzyjacielskiego obozu. Nagle wyprysł na koniu ze swego schronienia i z okrzykiem zwycięstwa wpadł jak wichur na obóz wrogów. Gdy go ujrzeli, doskoczyli do koni. Grad strzał i kul posypał się za nim. Żadna go nie trafiła i już był poza ich obozem. Ładny Młodzieniec, posiadający najbardziej chyżego rumaka, puścił się w pogoń. Łatwo dopędził uciekającego i z bliska do niego wypalił. Nie trafił go, gdyż Atsistamokon błyskawicznie się schylił. Napadnięty zdzielił Ładnego Młodzieńca tomahawkiem w łeb tak tęgo, że przeciwnik stoczył się z konia. Tymczasem wojownicy Kri już pędzili za uciekającym. Niewiele się namyślając Atsistamokon pochwycił konia po Ładnym Młodzieńcu i przeskoczył na jego grzbiet. Był to najlepszy wierzchowiec całego oddziału. Pogoń stała się bezskuteczna. Atsistamokon wrócił do swoich w chwale spełnionego czynu i ze wspaniałą

zdobyczą. – Oto treść przebiegu walki, którą dwaj główni bohaterowie mieli teraz odegrać.

Ludzie oczekiwali w napięciu widowiska i już się gromadzili. Oprócz nas, Czarnych Stóp, i Indian Kri byli przedstawiciele innych szczepów. Ładny Młodzieniec poszedł do swego namiotu, by się przebrać. Zastał tam żonę i rzekł do niej ponuro:

–Z Atsistamokonem jeszcze nie pogodziłem się w mym sercu. Dzisiaj go uśmiercę.

Nabijając swą strzelbę włożył do lufy ołów zamiast kłębka wełny bizonowej, przygotowanego przez żonę. Uczciwa niewiasta przeraziła się. Skoro tylko mąż opuścił namiot, pobiegła do najstarszego wodza Kri zawiadamiając go o zajściu. Wódz przyszedł i wyjąwszy ołowianą kulę zastąpił ją kłębkim wełny, jak należało. Wszystko zachowano w tajemnicy.

My, chłopcy, siedzieliśmy na przedzie, ażeby nie uronić żadnego szczegółu walki. Atsistamokon czekał już na koniu i gwarzył z wojownikami Kri. Ładny Młodzieniec, gotowy do przedstawienia, nadjechał na przepięknym srokatym ogierze, kropla w kroplę takim samym, jakiego kiedyś zdobył Atsistamokon.

Nasi starsi wojownicy wobec takiego podobieństwa głośno okazywali zdumienie. Wskazując palce składali na krzyż i wznosząc je w stronę wojowników Kri wołali do nich w ich języku:

–*Peguin tapiskuc mist atira!* - Dokładnie ten sam koń!

Tamci odpowiadali podobnym znakiem palców, co wyrażało: ten sam, i spoglądali na Czarne Stopy życzliwie kiwając do nich głowami.

Widowisko zaczęło się i wszystko szło składnie aż do chwili, kiedy Ładny Młodzieniec miał ścigać Atsistamokona, uciekającego przez środek nieprzyjacielskiego obozu. Wówczas nastąpiło wydarzenie mrożące nam krew.

Ładny Młodzieniec w pościgu dopadł uciekającego Atsistamokona. Nagle wzniosł strzelbę i z bliska wypalił w twarz przeciwnika. Atsistamokon zachwiał się, krew zalała jego

oblicze. Wyrwał zza pasa tomahawk i grzmotnął nim przeciwnika w głowę. Ładny Młodzieniec runął na ziemię. Legł nieprzytomny, jak w prawdziwej walee przed dziesięciu laty.

Byliśmy przekonani, że nastąpi wybuch nieprzyjaźni i walka tym razem już prawdziwa między obydwoma szczepami. Lecz wojownicy Kri zerwali się na nogi i wołali do nas przyjaźnie: – *Mewasin, mewasin* - to dobrze, to dobrze.

Nadbiegł ich naczelny wódz i podawszy rękę Atsistamoko-nowi uznał jego uderzenie tomahawkiem za słuszne, potępiając wybryk Ładnego Młodzieńca. Chcąc załagodzić wrazenie oznajmił wodzom Czarnych Stóp, że na cześć ich szczepu urządzi dziś wieczorem taniec w swym obozie i zaprasza na wspólną biesiadę.

Ładny Młodzieniec odzyskał przytomność i na zdrowiu nie poniósł szkody. Tak samo Atsistamokon przyszedł do siebie i tylko do końca życia pozostały mu na twarzy pod skórą ziarna niebieskiego prochu.

Tego wieczoru, podczas tańca w obozie Kri, Ładny Młodzieniec przybliżył się do Atsistamokona. Stając przed nim odezwał się:

–Los tego nie chce! Nie mamy się brać za czupryny. Myślę, że musimy zostać przyjaciółmi.

–I ja tak uważam! – odrzekł Atsistamokon i uściśnął podaną rękę.

Potem wesołym wzrokiem ogarniając opuchniętą głowę tamtego powiedział:

–Przestałeś być ładny, Ładny Młodzieńcze! Roześmieli się. Ładny Młodzieniec zawołał:

–Minie i to!

–Całe szczęście! Wszystko mija, co niedobre. Tak ustała nienawiść i rozeszły się chmury.

Z południowej Montany przybył oddział życzliwych nam Wron, ażeby przyglądać się tańcom. Wódz nasz, Krocząca Dusza, odwiedził ich namioty i zapytał ich wodza, czy w ostatnich czasach nie stykali się z grupą Okotok swego szczepu,

z tymi mianowicie wojownikami, którzy razem z Ruxtonem dokonali napadu na nasz obóz i ukradli nam konie.

–Słyszałem o tym – odrzekł wódz Wron. – Oddział ten poszedł razem z Ruxtonem na wschód.

–Do Fortu Benton?

–Tak jest. Chory wojownik z tego oddziału przywędrował do nas. Opowiedział nam wszystkie szczegóły. Odbiliście im część koni, zadaliście pewne straty...

–A czy chory wojownik nie wspominał nic o wzięciu jednego z naszych ludzi do ich niewoli?

–Nic nie wspominał. Na pewno nikogo nie wzięli do-niewoli.

Była to niepomyślna wiadomość. Wynikało, że Nocny Orzeł musiał zginąć podczas naszego napadu na obóz Wron i Ruxtona. Wódz Krocząca Dusza ogłosił jego śmierć za nie podlegającą już wątpliwości i następnego dnia grupa nasza odbyła pogrzeb ze wszystkimi ceremoniami, jak gdyby zwłoki Nocnego Orła były na miejscu.

Smutny obrzęd tym razem napawał nas szczególną goryczą, gdyż śmierć Nocnego Orła rzucała cień na dobre imię Białego Wilka: nasz zmarły czarownik wciąż twierdził, że Nocny Orzeł żyje.

Gdy rozlegał się zgrzyt łamanych strzał, kołczanu i strzelby, ofiarowanych duchom według obyczaju, wszyscy obecni czuli, że w nich samych załamuje się coś znacznie droższego i ważniejszego: wiara w nieomylność Białego Wilka.



KOMENDANT ŻELAZNA PIĘŚĆ

1 ariec Słońca spełnił swe zadanie. W rozległym obozie pustoszało, nastawała cisza. Wielki ogień szczepowego uniesienia przygasł. Jedna grupa po drugiej zwijała namioty i odjeżdżała w swe strony, ku nowym przeznaczeniom. Wszyscy unosili ze sobą otuchę, zaczerpniętą ze wspólnych uroczystości, i mieli cichy uśmiech w sercu. My, chłopcy, byliśmy może najszczęśliwsi. Nappełniało nas dumą, że kilku naszych starszych kuzynów i braci zdało mężnie egzamin na wojowników.

Grupa nasza szła wprost na południe, ku rzece Missouri. Po rozmowach z przyjaznymi Wronami nie ulegało wątpliwości, że Ruxton uprowadził nasze skradzione konie do Fortu Benton nad Missouri. Postanowiliśmy tam pójść i odzyskać je. Byliśmy pewni swej sprawy, gdyż wierzyliśmy, że wysłany za Ruxtonem zaraz po napadzie nasz wojownik Orle Pióro i trzech zwiadowców uprzedzą komendanta Fortu Benton o kradzieży i przy jego pomocy odzyskają konie.

Po kilku dniach marszu dotarliśmy do miejsca, zwanego

Cztery Pagórki. Umówiliśmy się z naszymi zwiadowcami, że tu spotkamy się z nimi i że oni zawiadomią nas o stanie rzeczy w Fortcie Benton. Niestety, ku naszemu rozczarowaniu nie zastaliśmy tam nikogo. Wypadało podjąć dalszą wędrówkę do Benton bez wiadomości o tym, co tam się dzieje. Wódz i starszyzna byli trochę zaniepokojeni.

Pod wieczór trzeciego dnia ujrzelśmy z daleka osadę. Obok charakterystycznej amerykańskiej warowni pogranicza, składającej się z kilku budynków i koszar chronionych dokoła częstokołem z pali, stało tam na osobności kilkanaście drewnianych domów, należących do handlarzy. Fort Benton był wtedy ożywioną placówką handlową, której wpływy sięgały kilkaset kilometrów na zachód Montany.

Nie wiedząc, kogo tam spotkamy – może nawet nieprzyjazne Wrony Okotok, z którymi niedawno trzeba nam był: > walczyć – zbliżaliśmy się bardzo ostrożnie i rozbili obóz o trzy kilometry poniżej osady, ukryci w wąwozie nad samą rzeką Missouri. Słowo „Missouri” znaczy w języku Siouxów tyle co „mulista woda” i w istocie potężna ta rzeka była koloru żółtawego. Ale co mnie najwięcej zachwycało, to jej obfitość wody i piękne, urwiste brzegi, wśród których bystra rzeka tworzyła okazałe skręty i głębokie wiry.

Widziałem teraz Missouri po raz pierwszy. Dochodziliśmy podobno do rzeki już kilkakrotnie podczas mego życia, ale wtedy byłem za mały, żeby coś zapamiętać. Przyznam się, że tyle wody przejmowało mnie teraz podziwem i lekką grozą. Lecz gdy tego samego wieczoru, po zachodzie słońca, nasi starsi chłopcy wyprawiali w rzece wesołe harce – wesołe, lecz bez hałasu! – nie wytrzymałem i skoczyłem także do wody. Wszyscy umieliśmy pływać i nurkować niczym wydry, nauczeni tego od niemowlęctwa, więc zuchwalsi przepływali nawet przez wiry, wyglądające z brzegu tak niebezpiecznie. Woda była naszym żywiołem i obycie z nią należało do podstaw indiańskiego wychowania.

Tej nocy w naszym obozie panował ożywiony ruch. Wielu wojowników opuszczało nas i wychodziło na zwiady, ażeby

BBI^B^HBBBm

wybadać, jacy Indianie obozowali przed Fortem Benton. Zbliżając się wieczorem do osiedla widzieliśmy niedaleko domostw wiele indiańskich namiotów. O świcie mieliśmy już pewność, że pod fortem znajdowali się – przedstawiciele wszystkich niemal szczepów, żyjących nad Missouri, nawet Indianie Wrony, lecz nie było Wron z nieprzyjaznej nam grupy Okotok. Stwierdziwszy to podsunęliśmy nasz obóz bliżej osiedla i rozbiliśmy namioty o ki.ometr od warowni, znowu nad samą rzeką. Byliśmy tu w dość bezpiecznym położeniu i w razie jakichkolwiek wrogich zamierzeń mogliśmy wycofać się zawczasu na prerie.

Wśród Indian w Benton były grupy Siouxów, z którymi wiosną tego roku zawarliśmy przyjaźń. Od nich wódz nasz, Krocząca Dusza, dowiedział się wielu rzeczy. Wszystko się potwierdzało: Ruxton i Wrony Okotok przyprowadzili tu jakieś obce konie, po czym Wrony oddalili się na zachód, podczas gdy Ruxton i jego ludzie

pozostali w Benton, a później pojechali na wschód. Nie wiadomo, co się stało z końmi. Pojawiło się także czterech Czarnych Stóp – z opisu wnosiliśmy, że to Orle Pióro i jego towarzysze – ale po jedn^{ym} czy dwóch dniach zniknęli w tajemniczy sposób.

–Czy wyjechali na prerie? – zapytał Krocząca Dusza.

–Nie wiem. Krążyły pogłoski, że zatrzymano ich w forcie.

–Jak to, zatrzymano?

–Że żołnierze ich aresztowali.

Nie była to dobra wiadomość. W obozie naszym toczyły się długotrwałe narady, w których brali udział wszyscy wojownicy. Zastanawiano się nad tym, czy iść otwarcie do komendanta garnizonu i żądać wyjaśnienia, czy też prosić w tej sprawie Siouxów o pośrednictwo. Drugi środek był roztropniejszy i większość do niego się przychyliła. Wódz Siouxów chętnie się zgodził i poszedł do komendanta. Szybko wrócił: komendant nie uznał pośrednictwa i żądał, by. Czarne Stopy sami się zjawili. Na to nasz wódz Krocząca Dusza kazał mu oznajmić gotowość pójścia do niego Czarnych Stóp, tylko żą-

dał zapewnienia, że nic im się nie stanie – i swobodnie wrócą do swoich. Komendant, chociaż gniewnie, dał takie zapewnienie. Ostrzegł tylko, że jeśli ktoś z naszych będzie miał broń przy sobie, wszystkich zatrzyma. W tym mógł kryć się jakiś podstęp komendanta, lecz ostatecznie przystaliśmy.

Poselstwo składało się z sześciu osób – wodza Kroczącej Duszy, czarownika Kinasy, który nastał po Białym Wilku, mego ojca, dalej stryja Huczącego Grzmota, znającego język angielski, i dwóch starszych wojowników. Wszyscy ubrali się odświętnie, potem wzajemnie sprawdzili, czy nikt nie posiada broni, i poszli. Przed wejściem do koszar żołnierze chcieli ich zrewidować. Nasi nie przystali na to żądając, by im wierzono na słowo. Sprawa oparła się o komendanta, który wreszcie kazał wpuścić wysłanników bez rewizji.

Gdy weszli do wielkiej izby, komendant siedział za wysokim stołem i ponurym wzrokiem mierzył wkraczających. Ciemna broda, bujnie pokrywająca całą dolną szczękę, i wylupiające oczy nadawały mu wyraz odrażającej zaborczości. Był to osławiony major William Whistler, postrach Indian, człowiek znany ze swej surowości i przewany „Żelazną Pięścią”. Teraz ręce swe zaciskał w pięści i trzymał je na stole, jak gdyby gotowe do uderzenia. Obok niego siedziało trzech młodszych oficerów, z których jeden zapisywał wszystko, co mówiono. Pod ścianą stało dwóch żołnierzy z nałożonymi na karabinach bagnetami. Poza tymi sześcioma białymi był Metys, sprawujący czynności tłumacza.

Dziś, po latach, rozumiem, że było to starcie na pograniczu dwóch epok i dwóch światów.

Przeszywając wchodzących ostrym spojrzeniem komendant siedział jak posąg nieruchomy i milczący. Z otoczenia jego również nikt się nie ruszał. Krzesielek wolnych nie było. Czarne Stopy siedli w kucki na podłodze, zwyczajem Indian.

Po długiej chwili milczenia komendant huknął zniecierpliwionym głosem:
–Kto wy?

96

V-

Metys przetłumaczył pytanie. Krocząca Dusza odrzekł spokojnie:

–Czarne Stopy.

–Pytam się: kto wy?! – krzyknął major jeszcze głośniejszym głosem i pięści na stole poruszyły się niecierpliwie. – Poddani amerykańscy czy kanadyjscy?

Wódz porozumiał się szeptem z towarzyszami, zanim odpowiedział:

–Należymy do południowego odłamu Czarnych Stóp, jesteście wolni. Indianie, poddani tylko woli Wielkiego Ducha.

–Gdzie żyjecie, w Stanach Zjednoczonych czy w Kanadzie?

–Żyjemy na własnych łowiskach, które Wielki Duch nam wyznaczył i przez które biali ludzie przeciągnęli swą granicę między Stanami a Kanadą.

–Gdzie zimujecie? – Komendant starał się dojść do sedna rzeczy.

–Zimujemy raz na południu Rzeki Mlecznej, w kraju, który Długie Noże (Amerykanie) nazywają swoim, innym razem na północ od rzeki, w Kanadzie...

Widać było, że odpowiedzi nie zadowalały komendanta, który w końcu machnął ręką i zapytał szorstko:

–O co wam chodzi?

–Przed kilkoma miesiącami czterech naszych wojowników udało się do Fortu Benton, by prosić Żelazną Pięść o pomoc. Od tego czasu wojownicy zginęli.

Komendant gwizdnął przeciągle, zamienił ze swymi oficerami porozumiewawcze spojrzenie i rzekł do nich przyciszonym głosem, lecz dość słyszalnym, by go zrozumiał stryj Huczący Grzmot.

–*Weil*, od razu domyślałem się tego. Ptaszki same wpa-
dły nam do sieci...

Potem zwracając się do naszego wodza oświadczył z ironicznym uśmiechem:

7 Mały Bizon

–Nie troskaj się o tych czterech. Są w pewnych rękach i w dobrym zamknięciu. Wkrótce będą mieli większe towarzystwo... A ty nazywasz się Krocząca Dusza, prawda?

–Prawda.

–Ty zaś – wskazał na naszego czarownika – jesteś Biały Wilk, prawda?

–Żelazna Pięść – odparł mu na to czarownik – jest twardy jak żelazo, zaczepny jak pięść, pewny siebie jak indyk, ale wszystkich rozumów nie pojadł i łatwo się myli. Nazywam się Kinasy...

–A gdzie Biały Wilk? – spytał stropiony nieco major.

–Przeszedł na Wieczne Łowiska.

Po chwili Krocząca Dusza, nie zrażony opryskliwością komendanta, przemówił pełen powagi:

–Przybyliśmy do Fortu Benton, by prosić Żelazną Pięść o trzy rzeczy. Prosimy o uwolnienie naszych czterech wojowników, bo niesłusznie ich się więzi. Prosimy o udzielenie nam pomocy w odzyskaniu przeszło stu koni, które Ruxton z Wronami Okotok nam ukradł i tutaj przyprowadził. Żądamy ukarania Ruxtona i jego kilku białych towarzyszy za to, że w okresie zupełnego pokoju napadli na nas, że wykradli nam konie i zabili sześciu niewinnych Czarnych Stóp...

–To wszystko? – zapytał Whistler drwiąco. – Nic więcej?

–Nic więcej.

Komendant znowu spojrzał wymownie na swych oficerów, jak gdyby oniemiał od tego, co usłyszał. Ruchem wyrażającym bezradność podniósł ręce i rzekł półgłosem do swych towarzyszy:

–Czy słyszeliście, panowie? To przechodzi pojęcie ludzkie!... Taka bezczelność!... Takie przewracanie kota w miechu!...

Potem zwracając się do Indian krzyknął groźnie na całe gardło:

–Bandyci! Mordercy! Złodzieje!...

/

Zachłysnął się i umilkł. Krocząca Dusza nie dał się wyprowadzić z równowagi. Oznajmił spokojnie:

–Komendancie Żelazna Pięść! Idziecie fałszywym tropem okropnego nieporozumienia!...

Komendant uderzył pięścią w stół:

–Jeszcze tego brakowało, żeby mnie uczyć rozumu, bezczelni czerwonoskórzy! – Jesteście na fałszywym tropie, komendancie! – powtórzył nasz wódz z całą mocą.

–Gdzie są ich papiery? – nagle zwrócił się major do swego adiutanta. Gdy dostał tekę z raportami, przeglądał je szybko, choć uważnie, ostro przerzucając kartkę po kartce.

–Przecież raporty brzmią wyraźnie, żadnej nie pozostawiają wątpliwości!... Czy

zaprzeczysz temu, żeście napadli na obóz Ruxtona i Wron i wprowadzili im czterdzieści koni?

–Nie zaprzeczam – odrzekł wódz. – Ale...

–Czy zaprzeczysz, żeście zamordowali trzech obywateli amerykańskich?

–Wiemy tylko o śmierci dwóch Długich Noży, zastrzelonych w walce...

–Było trzech. Czy zaprzeczysz temu?

–Nie, ale...

–Milczeć!... A oto pisemne zeznanie Ruxtona, Twista, Mac Gratha, Stuarta.

Wszyscy dokładnie widzieli, jak tych czterech pochwyconych Czarnych Stóp, waszych ziomków, brało czynny, bezpośredni udział w mordowaniu obywateli amerykańskich. Na podstawie zeznań, złożonych pod przysięgą, czeka tych czterech stryczek. Jakem Żelazna Pięść, jak mnie nazywacie, nie ujdą szubienicy!

–Ruxton i jego ludzie kłamali! – zaręczył Krocząca Dusza z naciskiem, ale czuć było, że coś w nim się załamywało:

–Jedna jest rzecz, której żałuję! – ciągnął Whistler nie zważając-na słowa wodza.

– Żałuję mego przyrzeczenia,. że wypuszczę was całych z tego fortu. Wyście tak samo zasłużyli, by wisieć na stryczku. Chętnie wpakowałbym was tak samo za kraty jak tych czterech.

;/\$9

Wtedy Krocząca Dusza powoli powstał, wyprężył się cały jak struna – a należał do najokazalszych wojowników w naszym szczepie – i rzekł dobitnie cedząc każde słowo:

–Dosyć tych błędnych tropów i mylnych oskarżeń. Chcemy mówić z tobą jak wolni mężczyźni z mężczyzną. Czy chcesz nas słuchać. Żelazna Pięść?

–No, bądźcie mężczyznami, bez waszym wykrętów i szalbierstw. Słucham, słucham! – szyderczo zachęcał rozbawiony major.

–Wiele zim temu nasi wodzowie odwiedzili Wielkiego Białego Ojca, którego wy, Długie Noże, nazywacie prezydentem. Ówże czcigodny człowiek przyrzekł nam, że kiedykolwiek zwrócimy się do jego przedstawicieli na preriach w słusznej sprawie, zawsze znajdziemy posłuch i sprawiedliwość...

— Czy słuszną sprawą nazywasz mordowanie amerykańskich obywateli? – przerwał major kąśliwie.

–Proszę, byś wysłuchał do końca i odważył każde słowo jak należy... Nie ma rzeczy bez właściwych przyczyn. Jeśli płynie Missouri, to dlatego, że gdzieś w górach ma swe źródło. Jeśli jest lato ciepło, to dlatego, że świeci mocne słońce. Przyczyną naszych nieszczęsnych wypadków był zdradziecki napad Ruxtona razem z jego białymi towarzyszami i sprzymierzonymi Wronami na jeden z naszych obozów, żeby nam wykraść konie. Udało mu się nadspodziewanie wykraść przeszło sto koni, przy czym zabito nam sześciu ludzi. Cośmy potem zrobili, to tylko dlatego, żeby odbić skradziony nam łup, a więc zrobiliśmy coś, czego nikt nie może nam brać za złe.

–Piękna bajka! Ślicznie wymyślona! – Major Whistler jeszcze raz przebiegł oczyma raporty. – Ale w tych papierach ani słowa nie ma o tym, co ty nam bajdurzysz. –

–Jakże miałby Ruxton wyjawiać prawdę, która świadczyłaby przeciw niemu?

–Jakie dowody masz na to, że mówisz prawdę, Krocząca Duszo?

–Mam. Pomimo naszego wysiłku nie udało nam się od-

100

bić 'naszych skradzionych koni, tylko uprowadziliśmy niewiele mustangów, należących do Wron, a nasze konie Ruxton przyprowadził do Fortu Benton, by je tu prawdopodobnie spieniężyć. Mówili nam Indianie ze szczepu Siouxów, że widzieli tutaj te konie.

. – Wpadłeś, Krocząca Duszo, wpadłeś ze swym łgarstwem. Tak, były konie, ale stanowiły stwierdzoną własność Wron, którzy konie te całkiem legalnie sprzedali Ruxtonowi. Raporty w tej sprawie jasno wyświetlają wszystko i są przypieczętowane podpisem Ruxtona i uwierzytelnionymi znakami Wron... Czy masz jakie inne dowody?

–Oto siedzi Huczący Grzmot, którego kilkuletniego synka zabili Ruxton i- jego ludzie podczas napadu na nasz obóz – mówił wódz ze wzbierającą rozpaczą.

–Tak jest, hauk – potwierdził stryj.

–I co jeszcze? – przynaglał komendant. Wówczas Krocząca Dusza wybuchnął:

–Czemu nie dajesz wiary naszym słowom, a wierzysz ślepo Ruxtonowi?

–Aaa! – zgryźliwie ucieszył się Whistler. – Wreszcie uderzyłeś w sedno rzeczy.

Wiedz ty, Krocząca Duszo, i wiedzcie wy wszyscy. Ruxton to Amerykanin, słowo zaś Amerykanina sto razy więcej znaczy niż gadanina wszystkich czerwonoskórych. Chytre ukuliście bajdy – lecz – jak on się nazywa? – Orle Pióro i jego trzech współwinowajcy będą wisieli ku waszej przestrodze, będą wisieli na skutek jasnych zeznań Ruxtona.

–Czy Żelazna Pięść – zabrał głos mój ojciec – nie bierze pod uwagę, że podczas naszego napadu na Ruxtona i jego obóz była ciemna noc? Ruxton w ciemnościach nie mógł rozeznaczyć, co robi Orle Pióro, jakże więc mógł przysięgać przeciw niemu? Przysięgał, bo Orle Pióro przybył do Fortu Benton, by ostrzec władze, że Ruxton to złodziej naszych koni. Komendant zbyt pochopnie dał wiarę złodziejowi.

–Kim jest Ruxton? – podjął Krocząca Dusza. – Jest to ów kresowy typ łotra, który Wielkiemu Białemu Ojcu w Waszyngtonie najwięcej sprawia kłopotu. Ruxton przyszedł do nas i starał się nas rozpijać. Ruxton poszedł do Wron i namówił ich do kradzieży naszych koni. To złoczyńca, przynoszący ujmę tym Długim Nożom, których serca są uczciwe. Jemu wierzysz?

–Jemu wierzę! – odparł komendant. – Wierzę Amerykaninowi!

Wtedy powstał Kinasy, nasz czarownik, dotychczas milczący, i odezwał się w te słowa:

–Wielki i bitny szczep Czarnych Stóp toczył długotrwałe wojny ze wszystkimi sąsiednimi szczepami, ale nigdy nie walczył z wami, Długimi Nożami. Kilkanaście zim temu oddział waszych żołnierzy przybył do jednego z naszych obozów i bez przyczyny zabijał mężczyzn, kobiety i dzieci. Nawet ten zbrodniczy wybryk Czarne Stopy puściły płazem: nie chciały za dzierać z Długimi Nożami. Nie brak nam odwagi, dzieje nasze to wykazują, mamy zuchwałe serca, ale chcemy z wami żyć w spokoju. Jeśli komendant Żelazna Pięść rozmawia z Czarnymi Stopami i sądzi naszych ludzi, to proszę, niech ciągle ma ją uwadze, że nigdy nie było między nami wojny... Dziś serce Żelaznej Pięści jest zamroczone gniewem... Przyjdziemy tu za kilka dni. Może wtedy komendant przejrzy, gdzie leży sprawiedliwość, uwolni naszych czterech wojowników i dopomoże nam do odzyskania skradzionych koni, hauk.

Komendant wodził po naszych ludziach zimnym, nieprzychylnym spojrzeniem. Twarz jego wykrzywił pogardliwy uśmiech. Na przyjazne i mądre słowa czarownika miał tylko złośliwą odpowiedź. Był to zgrzyt człowieka zaślepionego w pysze i nienawiści.

–Jeśli ma się w ręku powiązane jadowite żmije, to tylko głupiec może przeciąć im więzy i uwolnić je. To moja odpowiedź dziś – i za kilka dni ta sama!...

Na tym obrady zakończyły się – bez wyniku. Poselstwo nasze, nie zaczepione, opuściło Fort Benton. W głuchym milczeniu szło do swego obozu. W połowie drogi Krocząca Dusza przystanął i rzekł do towarzyszy:

–Nie powinien nosić nazwy Żelaznej Pięści, lecz Wściekłego Psa.

–Tak go odtąd przezwiemy: Wściekły Pies! – potwierdził Kinasy.





FORT BENTON

Jak już wspomniałem, byłem wtedy za mały, żeby rozumieć znaczenie tych ważnych wypadków, lecz później, gdy dorosłem i umiałem pisać, starsi krewni dokładnie mi opowiadali o wszystkich szczegółach i mogłem je przelać na papier.

Rozmowa z komendantem Fortu Benton wywarła przygnębiające wrażenie w całym obozie i ludzie chodzili przybici. Jednakże •niebezpieczeństwo śmierci, grożące naszym czterem wojownikom, nie mogło stłumić najważniejszej działalności, jaką była dbałość o byt albo – jak to mówią Amerykanie – walka o chleb.

Byliśmy już wtedy tak zależni od cywilizacji białego człowieka, że wytwory tej cywilizacji stawały nam się niezbędne, pograniczne placówki zaś, jak Fort Benton, spełniały w naszym życiu doniosłą rolę w handlu wymiennym. My dostarczaliśmy przede wszystkim skór, świetnie wygarbowanych przez nasze kobiety. Były to skórki zwierząt futerkowych, upolowanych w porze zimowej u podnóży Gór Skalistych lub

104

w samych górach, skórki szczególnie cenne, zwłaszcza bobrowe, dalej skóry bizonów, jeleni, antylop, niedźwiedzi. W zamian za to nabywaliśmy głównie proch i ołów, dalej strzelby, siekiery, koce lżejsze niż nasze skóry bizonowe, choć nie tak ciepłe, i różne rzeczy, jak narzędzia, gwoździe, sól oraz – cukierki. Cukierki: oto rajskie – co tam! – boskie łakocie dla nas, dzieci.

W moich opisach nie chciałbym stwarzać błędnego wrażenia, że w tym naszym światku indiańskim wszystko odbywało się przykładowo, szlachetnie, dzielnie i przemysłnie. Przeciwnie. Byliśmy wciąż prymitywnymi barbarzyńcami, których ówczesna bezradność wobec nowych form życia wywołuje u mnie do dziś lekki rumieniec zakłopotania. Tak na przykład broń palna stała się od dwóch pokoleń ważnym czynnikiem w naszej walce o byt, a jednak w całym szczepie nie było człowieka, który by nauczył się wyrobu zwykłego prochu i nie było puszkarza, umiającego naprawić zepsutą strzelbę. W tych wypadkach byliśmy zdani, jak dzieci, na obcą pomoc i za tę nieudolność strasznie przepłacaliśmy na każdym kroku.

Obok braku technicznych uzdolnień przejawiały się także pewne upośledzenia psychiczne. Mam szczególnie na myśli naszą słabość woli wobec alkoholu. Podobnie jak czarna ospa, cholera i inne dawniej nie znane u nas phoroby, zawleczone na prerie przez białych ludzi, pijaństwo czyniło niezmierne spustoszenie. Nieuodpornieni na tę truciznę, byliśmy jak ludzie pierwotni pod jej przemożnym urokiem. W ostatnich pięćdziesięciu latach szczep nasz przechodził przez kilka alkoholowych epidemii, które doprowadzały go niemal do zguby. Winę ponosili biali handlarze; oni to rozpijali mężczyzn i kobiety, ażeby za bezcen wyludzić wszystkie wartościowe przedmioty, jakie posiadaliśmy. Obok strat materialnych niebezpieczniejsze były uszczerbki na zdrowiu, nie spotykane w tak groźnej formie u białej ludności: rozpijaczeni Indianie łatwo wykolejali się i dziczelili ginąc jak muchy na różne choróbka.

Starszyzna zawsze zwalczała ten nałóg, jak mogła, i chociaż odwracała klęskę od szczepu, skłonność do butelki zawsze

się tliła wśród ludzi. Gdy teraz stanęliśmy obozem przed Fortem Benton, sposobności do pociągania z butelki było aż nadto i wielu z nas nie mogło oprzeć się pokusie.

Przypominam sobie przykre zajście w naszym namiocie drugiego wieczoru po przybyciu nad Missouri. Siedzieliśmy przy ognisku. Ojciec wrócił właśnie z osady, dokąd po południu wyszedł po jakieś sprawunki. Zajął miejsce obok mnie. Coś wesoło do mnie zagadując buchnął mi w twarz takim odorem, że w oka mgnieniu zrobiło mi się niedobrze i zacząłem wymiotować, zanim zdążyłem wybiec na dwór. Matka mocno zbeształa ojca, który w poczuciu winy zaraz wytrzeźwiał i nic nie jedząc poszedł spać. Od tego czasu czułem nieprzewyciężony wstręt do wódki.

Następnego dnia rano matka ubrała mnie odświętnie; miałem pójść do osady razem z całą rodziną, z ojcem, matką i bratem Mocnym Głosem. Matka zabrała na sprzedaż świeżo uszyty i pięknie ozdobiony kaftan indiański z jeleniej skóry, ojciec kilkanaście skórek futerkowych z ostatniego zimowego łowu, ja zaś wziąłem małą łódkę-kanu, zabawkę ślicznie w drzewie wyrzeźbioną przez ojca i wymalowaną pięknymi barwami.

Gdy przybyliśmy na miejsce, uczułem oszołomienie. Tak ożywionego ruchu i tak ciekawych rzeczy jeszcze w życiu nie widziałem... Wielkie, drewniane domy, stojące w znacznych od siebie odstępach, tworzyły dwa rzędy po obydwóch stronach ulicy. Wszędzie kręciło się moc ludzi, więc w obawie, żeby nie zginąć wśród tylu obcych, trzymałem się mocno matczynej sukni i pożerałem oczyma bujny świat. Najwięcej uwijało się Indian i Indianek, pochodzących z różnych szczepów, które odróżnialiśmy po ozdobach na głowie lub na sandałach-mo-kasynach.

W pewnej chwili usłyszeliśmy ryk jak gdyby bizonów i tupot wielu racic. Wśród tumanów kurzu wspaniali biali jeźdźcy na olbrzymich koniach pędzili stado bydła. Po raz pierwszy ujrzałem sławnych cowboyów, białych pasterzy, mających na głowach kapelusze o szerokich rondach, a przy siodłach długie liny-lassa do łapania zwierząt; podziwiałem ich amerykań-

skie konie o krótkiej sierści, konie znacznie większe niż nasze mustangi. Również po raz pierwszy zetknąłem się z bydłem, „nakrapianymi bizonami” białego człowieka. Wszystko było porywające, tylko smród od bydła nieznośny. Uciekaliśmy jak najdalej.

Ale co największe budziło we mnie zaciekawienie, to bogactwo towarów w domach handlowych. Sterty przedmiotów wznosiły się pod powały i była ich wielka różnorodność. Nie wiedziałem, na co najpierw patrzeć.

–Toż to zamożni ci Amerykanie! – myślałem oczarowany i przypomniałem sobie opowiadania stryja Huczącego Grzmota, który znał ich miasta na wschodzie. Prawdę mówiąc, to nie było zbyt wiele tych towarów, lecz mnie naiwnemu wydawały się ostatnim cudem świata.

Spotkaliśmy także zaprzyjaźnionych Siouxów. Ucieszeni naszą obecnością zaprowadzili nas poza osiedle. Tam, na łące, rozniecili ognisko i naprędce ugotowali dla nas herbaty; był to napój nam nie znany. Jeden z Siouxów był przez wiele lat w niewoli u Czarnych Stóp, więc znał nasz język i lubił nas.

–To „brązowa woda” Długich Noży – objaśniał.

Nie wiem, jak rodzicom, ale mnie ta „brązowa woda” wcale nie smakowała, była zbyt gorzka. Natomiast z wielkim zaciekawieniem przysłuchiwaliśmy się opowiadaniom Siouxa o białych ludziach, z których zwyczajami stykał się już od wielu lat w rezerwacie Indian. Skarżył się na zabójczą nudę swego życia, pozbawionego uroku dawnych zajęć, skończyły się dla niego polowania i czuł się przygnębiony jak w więzieniu.

–Wy – powiadał – wy jeszcze szczęśliwi, bo możecie wędrować, gdzie was oczy poniosą, i żyć, jak chcecie. Ale na jak długo wam pozostało tej swobody?

Potem ostrzegł nas przed przyjmowaniem pokarmu białych ludzi:

–Nie jedzcie ich pokarmów. Wypadają od nich zęby.

Opowiadał o zgubnym działaniu chleba i słodyczy. Poka zując nam swe zęby twierdził:

107

–Popatrzcie! Wszyściuteńkie zdrowe i tak zdrowe są u wszystkich starszych ludzi.-Ale spójrzcie na zęby tego chłopca, który jada mączny pokarm białych.

Przywołał jednego z młodych Siouxów, którego zęby rzeczywiście były dziurawe.

–Do niedawna – ciągnął – wielu u nas dochodziło do wieku stu lat, lecz odkąd poddaliśmy się białym i obcujemy z nimi, śmiertelne choroby nas zabijają. Giniemy =- i chyba wkrótce nikt z naszego szczepu nie pozostanie.

Ujął pukiel swych długich włosów i oznajmił:

–Takich włosów biali ludzie nie mają. Znałem tylko

jednego białego człowieka, który miał długie włosy; był to generał Custer. Szereg zim temu zginął on podczas klęski, jaką mu zadaliśmy w Górach Wielkorożca. Głowa białego człowieka jest często obrzydliwie łyśa i gładka jak nos bizona. My po ukończeniu posiłku zawsze wycieramy tłuste palce o włosy; włosy nam rosną. Biały człowiek myje swe włosy jakimś świństwem, które nazywa mydłem; włosy wypadają mu z głowy. Wymieniajcie wasze upolowane skóry tylko na proch i koce, to pożyteczne. Pilnujcie się, niech biali handlarze nie wtykają wam swego jada, a już jak ognia wystrzegajcie się tego smoczego jadu do mycia włosów...

Przyrzekliśmy i dziękując za herbatę i słuszne rady wróciliśmy na ulicę osiedla. Nagle stanąłem jak urzeczony. Szarpnąłem matki suknię i ze zdumienia ledwie mogłem wybąkać:

–Mamo, patrz!

Ulicą przechodziły trzy istoty, jakich jeszcze nigdy nie widziałem: biała kobieta, około trzydziestoletnia, o obliczu tak dla mnie dziwnym, że wyglądała jak jakieś stworzenie nadprzyrodzone; inna kobieta o twarzy zupełnie czarnej, jak gdyby w ciężkiej żałobie – i biały chłopczyk, może trochę starszy niż ja, ale już ubrany jak dorośli ludzie, tylko że w krótkich spodenkach. Nie mogłem od tych trojga oderwać wzroku. Oni tymczasem weszli do sklepu, widocznie po zakupy.

–Mamo, co to było? – spytałem, – Czy umarł jej mąż, że taka czarna?

–Widocznie – odparła matka, ale ojciec zaśmiał się przecząc temu.

–Ach, ty!... Czy nie wiesz, kobieto, że to wcale nie żałoba? To jej naturalna skóra.

–Oj, i nigdy się nie zmyje?

–Nigdy. Tak się już rodzą i tak umierają.

–To przerażające. Skąd im to przyszło?

–Brednie pleciesz, żono, to wcale nie przerażające. Są to ludzie jak my i tak jak my odczuwają troski lub szczęście. Od wielu pokoleń żyli na gorącym słońcu i tak się opalili...

–Jak się nazywa ten szczep?

–Murzyni. To była kobieta Murzynka. Zaraz ją zobaczymy, gdy wyjdzie z domu...

Zawsze byłem pełen najgłębszej czci wobec rozległej wiedzy ojca i teraz z uwielbieniem spojrzałem na niego, ale tylko na chwilę. Niecierpliwie wpijałem oczy w wejście do sklepu, ażeby ujrzeć to, co mnie najwięcej przejmowało: białego chłopca.

Wreszcie wyszli. Chłopiec miał twarz bardzo jasną i – biedaczyna! – włosy tak krótko ostrzyżone, że widać było uszy, odstające mu w śmieszny sposób od głowy. Oszpecili go, co budziło moją litość, ale on jakoś dzielnie i pogodnie znosił wyrządzoną mu krzywdę. Wyglądał na miłego zucha.

Trudno mi dzisiaj określić wrażenie, jakiego doświadczyłem na widok tego pierwszego białego chłopca. Coś mną targnęło i olśniło. Był w tym przebłysk czegoś niezmiernie nowego, jakiegoś innego świata, który jednak zatracił swą nieprzyjazną obcość, bo oto przybywał do mnie w postaci owego chłopca.

Powzięłem zuchwały zamiar przełamując swą nieśmiałość.

–Mamo! – powiedziałem szybko. – Chcę mu dać tę łódkę, czy mogę?

–Komu, Bizonku?

–Temu białemu chłopcu.

–Dobrze.

Przebiegłem przez ulicę. Zwolniejszy kroku wyciągnąłem przed siebie rękę z łódką i tak ją trzymając zbliżałem się do chłopca. Widziałem jego zdziwienie i zdziwienie białej kobiety, która pewnie była jego matką. Wcisnąłem mu łódkę do ręki i zmieszany popędziłem jak strzała z powrotem do rodziców. Swym uczynkiem byłem tak zawstydzony, że schowałem się za suknię matki.

Biała kobieta zdumionym wyrazem twarzy pytała się moich rodziców, co ma zrobić z łódką, na co matka odpowiedziała znakami rąk, że to podarek dla jej dziecka. Wówczas ucieszona kobieta podziękowała przyjaznym skinieniem i kazała białemu chłopcu podobnie dziękować. Matka moja nalegała, żebym także kiwał, ale nie chciałem i jeszcze bardziej się chowałem, dopóki tych troje po drugiej stronie ulicy nie odeszło.

Rodzice byli ze mnie zadowoleni. Do najznamienniejszych cech charakteru, jakie Indianie preryjni pragnęli w sobie wyrobić, należały hojność i gościnność, uchodzące za pierwsze – obok odwagi – zalety prawdziwego wojownika i w ogóle człowieka.

Hojność tych Indian nie miała zapewne nic równego sobie na całym świecie i doprowadzała do tego, że wielcy wojownicy i wodzowie byli często najuboższymi członkami szczepu, właśnie na skutek swej szczodrości. Widocznie cieszyło moich rodziców, że już tak wcześnie dostrzegali we mnie objawy tej cnoty.

Weszliśmy do jednego ze sklepów, ażeby zamienić skórki na potrzebne nam towary. Trudno było rozmawiać z kupcem, ale na szczęście znał on trochę język znaków, jakim szczepy porozumiewały się na preriach. Miał na składzie ładne, niebieskie i czerwone koce, miał siodła, strzelby, proch, kule, siekiery, młotki i dziesiątki innych przedmiotów, miłych sercu Indianina. Miał także mąkę, chleb i różne konserwy, nawet mleko w puszkach, i gorąco polecał nam ten towar. Pomni ostrzeżenia przyjaznego Siouxa, puszczaliśmy mimo uszu jego za-

chwalania. Za mąkę, podobną do śniegu, i za chleb, podobny do jakiejś gąbki, ani nam się nie śniło dawać nasze skórki.

Kupiec podał ojcu otwartą puszkę z jakąś brązową maścią i rzekł:

–To syrop. Spróbuj trochę.

Ojciec wybrał nieco syropu palcami i sądząc, że to tłuszcz, posmarował nim włosy.

–Nie tak – kupiec potrząsnął głową – to do jedzenia.

Ojciec wziął ostrożnie na język i potem dał nam wszystkim

do spróbowania. Słodycz bardzo nam smakowała.

–Co chcesz za to? – spytał ojciec.

–Trzy dolary za puszkę.:- Daj trzy puszki.

–Czy masz pieniądze?

–Nie mam – i ojciec spojrział na swą pakę skórek.

Były tam między innymi dwie gronostajowe skórki. Kupiec obrzucił je pożądlivym spojrzeniem i wskazując na aie rzekł:

–Te dwie starczą.

Były to piękne skórki, wartościowsze wówczas – jak dzisiaj sobie uświadamiam – dwadzieścia razy, a może i więcej, niż trzy puszki syropu. Ale syrop przypadł nam do gustu, więc ojciec ani chwili się nie wahał, by dać za niego cenne skórki.

–Czy prochu potrzebujesz? – zapytał kupiec.

–Potrzebuję.

–Ile chcesz funtów?

Lecz ojciec zadowolony z nabycia trzech puszek syropu, nie był już tak skory do pozbywania się skórek. "Wiedział, że będziemy w Forcie Benton jeszcze wiele dni, więc znajdzie się dość czasu na zakup towarów. Kupiec szczerze przyznał ojcu słusność, lecz zauważył, że szkoda nosić skórki z powrotem do obozu. On dobrze zapłaci za nie dolarami, za które zawsze można kupić wszelki towar u każdego handlarza. Czy wiemy o tym?

–Wiem o tym, wiem – odparł ojciec. – Ile chcesz dać za te skórki?

Kupiec przejrzał je dokładnie i oświadczył:

–Osiemdziesiąt dolarów.

–A za ten kaftan indiański?

–Dwadzieścia dolarów.

Rodzice naradzali się chwilę między sobą i wyrazili zgodę.

–Żebyśmy mieli co dźwigać do obozu, to za dwadzieścia dolarów daj nam prochu – poprosił ojciec.

–Z całą przyjemnością – oświadczył uprzejmy kupiec.

Odważył słuszny woreczek prochu, dobrze zapakował i dał

ojcu. Następnie wyciągnął z szuflady banknoty dolarowe i zaczął je głośno liczyć.

Wyłożył czterdzieści jednodolarówek i dwadzieścia dwudolarówek i wszystko

podsunął ojcu:

–Oto osiemdziesiąt dolarów.

Ojciec nie znał tych dwudolarówek i patrzył na nie podejrzliwie. W sklepie był żołnierz amerykański. Ojciec zwrócił się do niego z zapytaniem na migi, czy to dobre dolary.

–Sure, najlepsze! – zapewnił żołnierz stanowczym głosem.

W znakomitym usposobieniu, z syropem, prochem i z dolarami, wróciliśmy do obozu. Po południu przyszedł do nas stryj Huczący Grzmot na pogawędkę i opowiadaliśmy mu o naszych przeżyciach w osadzie. Chciał widzieć te dolarówki. Gdy zobaczył rzekome dwudolarówki, oświadczył z oburzeniem:

–Toż to nie dolary. To pomalowane papierki, nic nie warte.

Natychmiast stryj, ojciec i matka udali się do osiedla. Kupca zastali za stołem sklepowym:

–Daleś dziś – powiedział do niego stryj swą angielszczyzną – dałeś dziś bratu pieniądze, które nie są pieniędzmi. To nie dolary.

Kupiec obejrzał wyłożone na stole „banknoty” i oświadczył najspokojniej:

–Tak, to nie dolary.

–To proszę, zamień je na prawdziwe dolary.

–Jak to? Po co mam te świstki zamieniać? Przecież wydałem mu rzetelne dolary.

–Łżesz! – wycedził ostro stryj. – Dałeś mu te papierki.

–Hoho, burd wam się zachciewa? – krzyknął handlarz i doskoczył do drzwi wołając na przechodzącego właśnie mężczyznę. – Halo, szeryfie, chodźcie tu na chwilę.

Policjant uzbrojony w dwa rewolwery za pasem, wszedł barczyście do sklepu: -
'Co się święci, Dick?

–Ci dżentelmeni chcą wyczyniać burdy. Żądają, żebym wymienił im te świstki na prawdziwe dolary. Skromna zachcianka, co?

Stryj przybliżył się do szeryfa:

–Mój brat sprzedał tu dziś swe skórki i dostał częściowo dolary, a częściowo papierki zamiast dolarów.

–To nieprawda! – huknął kupiec. – W sklepie był właśnie żołnierz, który widział dolary, jakie wypłaciłem czerwonemu dżentelmenowi. Dżentelmen sam pokazywał żołnierzowi pieniądze i pytał się go. Może zaprzeczycie temu?

–To prawda – przyznał ojciec.

–A żołnierz, co mówił? – badał szeryf ojca.

–Mówił, że to dolary...

–Więc czego jeszcze chcecie? – zaperzył się szeryf.

–Żołnierz kłamał – oświadczył ojciec.

Na to szeryf i kupiec parsknęli śmiechem. Gdy się uspokoili, szeryf skarcił stryja i ojca surowym głosem:

–Radzę wam spokojnie iść do swego obozu, chyba że chcecie poznać nasze więzienie...

Rodzice uznali swoją bezradność i odeszli ze zwieszonymi głowami. W obozie panowało podniecenie. Wielu naszych czyniło tego dnia swe zakupy, prawie wszyscy nabyli proch. Kto go posiadał, teraz pilnie poddawał próbie jego jakość, gdyż okazało się, że proch niektórych był do niczego: nie chciał wybuchać. Ojciec wypróbował także i swój. Niestety, był również oszukańczy. Trzeba było sypać do strzelby trzykrotnie większą porcję, ażeby strzał miał należyłą moc. Po doświadczeniu

8 Mały Bizon

ojca z dolarami nie było celu upominać się o swe krzywdy. Pozostało tylko jedno wyjście: wszyscy postanowili załatwić swe sprawy wyłącznie w obecności stryja, który umiał się dogadać i znał kręactwa handlarzy.

Silne przeżycia tego dnia śniły mi się przez całą noc. Biali handlarze strasznie dusili mi piersi i zadawali tortury. Dopiero gdy pojawiał się biały chłopiec, zmora ustawała. Biały chłopiec śnił mi się przyjemnie kilka razy.



ZŁY MISJONARZ I DOBRA KSIĄŻKA

.Następnego dnia najpożyteczniejszym człowiekiem w całym naszym obozie był stryj Huczający Grzmot. Od samego rana krzątał się wśród sklepów osady pośrednicząc i dozorując. Dzięki jego czujności mniej byliśmy narażeni na wyzysk handlarzy, a kto chciał prochu, zaraz w sklepie brał szczyptę i dokładnie próbował ogniem, czy należycie wypala.

W Forcie Benton był pastor-misjonarz. Wyraził życzenie odwiedzenia nas po południu w obozie, wobec czego uprzejmie go zaprosiliśmy. Byliśmy jedynym w okolicy niepodległym szczepem, nie wtłoczonym jeszcze do rezerwatu, więc pastor widocznie chciał poznać „dzikich pogan”, jak nas złośliwie przezwano w forcie. Zapowiedział, że zamierza nam mówić o Wielkim Duchu białych ludzi.

Chcąc uczcić jego przybycie wszyscy dorośli w obozie odświętnie pomalowali swe twarze i ubrali się w najlepsze szaty, a czarownik Kinasy wypakował swój obrzędowy bęben. Skoro pastor ukazał się na widnokręgu, czarownik zaczął bić „tam-

115

–tam” i nucić rytualny śpiew: starał się przyjąć jak najgodniej dostojnego gościa. Wódz Krocząca Dusza i starszyzna wyszli misjonarzowi naprzeciw, podali mu dłonie i przyprowadzili go do naszego czarownika. Uderzyło nas niemile, że pastorowi towarzyszył ów Metys-tłumacz, należący do sztabu komendanta Whistlera.

Zaledwie ustało bicie bębna, pastor niezwłocznie nas pouczył, że błądzimy w mrokach fałszywej wiary i że siły, które rzekomo przedstawia nasz czarownik, są itylko wymysłami zboczonej fantazji. Potem skarcił nas:

–Nie życzę sobie, żebyście się tak morusali. Zaniechajcie malowania twarzy i zniszczcie wasze czarodziejskie bębny. Istnieje tylko jeden Bóg w niebie i o nim to będę wam opowiadał.

Indianie nigdy nie przerywali mówcy – takie były nasze zasady uprzejmości – więc wszyscy dokoła stali i słuchali, a kaznodzieja prawił i prawił o Bogu białych. Potem napominał, że Indianie winni odłożyć broń, poprawić się i żyć w zgodzie z białymi, którzy niebawem przybędą do tego kraju.

Gdy misjonarz przestał wreszcie mówić, wystąpił nasz wódz i odezwał się:

–Czemu mówisz, że mamy się poprawić? My nie jesteśmy złymi ludźmi. Może w waszym gronie są tacy, ale u nas ich nie ma. Nie kradniemy, chyba że odbieramy konie, które nam skradziono. Brzydzimy się kłamstwem, a opieką otaczamy starców i niedołączonych ubogich. Nam nie potrzeba tego wszystkiego, o czym ty mówisz.

–Ale trzeba – zawołał misjonarz – byście wierzyli w jednego Boga, tak jak my.

–Tak też robimy. My, Indianie, czcimy tego samego Boga •co wy, tylko na inną modłę. Gdy Bóg, czyli Wielki Duch, stworzył świat, nam, Indianom, dał nasz sposób wielbienia go, a wam, białym, dał inny, wasz sposób wielbienia, dlatego że jesteście trochę innymi ludźmi i inaczej niż my żyjecie. Niech każdy, Indianin i biały, zachowa

swój własny sposób, bo jeden

i drugi prowadzi do tego samego celu. Nas nie rażą wasze obrzędy, przeciwnie, uznajemy je. One widocznie najlepiej wam odpowiadają.

–Jednakże wasz Wielki Duch nie jest ten sam, do którego my się modlimy! – zaprzeczył misjonarz.

–W takim razie istnieje dwóch Bogów – odparł wódz. – Twój Bóg stworzył wam ziemię za „Wielką Wodą”, dał wam domy do mieszkania i szybkie maszyny do wędrówki, a nas2 Bóg umieścił nas tutaj, dał nam namioty-tipi i bizony, z których mamy pokarm. Ale wy, biali, nie kochacie waszej ziemi i przychodzicie tu zabierać naszą własność. Ponieważ tak postępujecie, skąd możemy wiedzieć, co nastąpiłoby po naszej śmierci, gdybyśmy szli za waszym Bogiem? Może w Krainie Wiecznych Łowów odebrałby nam wszystko co nasze?

–Ale Indianin musi nauczyć się prawdziwej modlitwy i stać się chrześcijaninem. Wtedy wystąpił jeden ze starszych wojowników i zapytał go:

–Czy wszyscy biali są chrześcijanami?

–Tak jest, prawie wszyscy – odrzekł pastor.

–A ci kupcy w Forcie Benton – to chrześcijanie?

–Tak, wszyscy oni.

–A ten szeryf także?

–Naturalnie, on też.

–Dziękuję – i stary wojownik nic więcej nie mówiąc wycofał się.

Powstała ogólna wesołość. Pastorowi, który spytał się o jej przyczynę, wódz wytłumaczył, jak haniebnie poprzedniego dnia handlarze w osadzie oszukiwali naszych ludzi. Pastor wzniósł ku niebu oburzone oczy i załamał rękę.

–Jest niestety wśród nas wielu grzeszników – oświadczył posępnie – którzy oddalili się od Boga i błędzą. Czeka ich wiekuiste potępienie, jeśli nie wrócą na drogę cnoty. Ale Bóg nasz jest miłosierny i nawet grzesznikowi wybacza, skoro tylko okaże skruchę.

–Czy komendant Żelazna Pięść jest na drodze cnoty? – zapytał ktoś w kole.

–Nasz Bóg otacza wodzów szczególną łaską – odparł nadąsany misjonarz uroczystym głosem.

Na tym rozmowa się skończyła. Pastor na pożegnanie podał wszystkim starszym rękę, nam, dzieciom, wysypał trochę cukierków. Wódz Krocząca Dusza podziękował mu za odwiedziny i za to, że z nami rozmawiał.

Gdy nazajutrz byłem jak zwykle z rodzicami w osadzie, o mało co nie zderzyłem się na narożniku jakiegoś domu z białym chłopcem, któremu przed dwoma dniami dałem łódkę. Chłopiec szedł ze swą matką i zaraz mnie poznał. Już wiedzieliśmy, że to był syn srogiego komendanta Fortu Ben-ton, majora Whistlera, więc patrzeliśmy na chłopca i jego matkę z powściągliwością. Ale on ucieszył się ujrawszy mnie, przystąpił, podał mi rękę i wręczył książkę mówiąc:

–To dla ciebie.

Chociaż mówił po angielsku, domyśliłem się znaczenia jego słów. Potem wskazując na siebie wymienił:

–Fred.

Było to jego imię. Palcem uderzyłem w swoją pierś i również się przedstawiłem:

–*Little Buffalo*.

Stryj Huczący Grzmot nauczył mnie tych słów, które znaczą: Mały Bizon.

Chciałem poszczycić się jeszcze większą znajomością angielskiego, dodałem:

–*Blackfoot* - Czarna Stopa. Na co on powiedział o sobie:

–*American*.

Po chwili milczenia, powstałego na skutek wyczerpania tematu, Fred odezwał się:

–*Little Buffalo - my friend*.

Nie znałem tego ostatniego słowa, ale kiwaniem głowy przyświadczyłem mu.

Później stryj mi wytłumaczył, że *friend*, to przyjaciel.

Biała kobieta z pociągającym wyrazem twarzy, matka Freda, podała mi podłużną, cienką paczuszkę, owiniętą w kolorowy papier, po czym wszyscy troje pożegnaliśmy się. Nie mogłem się dość nadziwić, że ta śliczna kobieta została żoną Żelaznej Pięści. Widocznie takie niedobre małżeństwa były w zwyczaju wśród białych ludzi. Mając w jednej ręce tę paczkę, w drugiej książkę od Freda wracałem do swych rodziców dumny jak poseł przywożący z obcego państwa chwałę i dary.

Wyrażanie myśli za pomocą rysunków nie było nam obce. Namioty nasze zdobiono malowidłami różnych figur, mających znaczenie dla tych, którzy potrafili je odczytać. Niektórzy słynni wojownicy spisywali swe znamienitsze czyny na korze brzozy lub na skórkach wygarbowanych do białości, a porysowanych wymownymi sylwetkami jeźdźców bizonów, białych ludzi, poległych wrogów, słońc i księżyców.

Książka, którą Fred mi podarował, była elementarzem w angielskim języku. Nikt z naszych, nawet stryj Huczający Grzmot, nie umiał czytać, natomiast umieszczone tam liczne ilustracje, pięknie kolorowane, były dla nas otwartą księgą. Różne sceny z życia amerykańskiego, stanowiącego dotychczas dla nas głęboką a groźną tajemnicę, nagle odsłaniały się z całą jaskrawością. Jak urzekająco prawdziwa była dla nas każda scena w książce: oto dziewczynka w ogrodzie przed domem, oto chłopiec potrząsający jabłonią i piesek, obok niego kotek pijący mleko, dalej pies na uwięzi, wewnętrzne domu z osobliwymi meblami, dziwaczna fabryka z obłędnie wysokim kominem, potworne maszyny większe niż dziesięciu ludzi, żelazne mosty, pędzące koleje, straszliwie wysokie domy nad rojną ulicą, na tej ulicy tramwaj zaprzężony w konie, a przed tramwajem przebiegający co sił chłopiec. Ów chłopiec, uciekający przed końmi, czynił nam bliskimi obce i dalekie rzeczy i sprawiał, że ożywały wszystkie inne rysunki. Pędzący na koniach Indianie w pióropuszkach byli dla nas ostatecznym uwieńczeniem wrażeń z tej fascynującej książki.

Nigdy w naszym namiocie nie było tak pełno. Przychodziły dzieci i razem ze mną przyglądały się obrazkom. Przy-

chodzili starsi i z rodzicami omawiali każdy szczegół rysunków. Stryj mógł niejedno wytłumaczyć i znowu usłużnie nam pomagał. Przyszedł wódz Krocząca Dusza i bacznie przeglądał stronę po stronie, a jeszcze uważniej – czarownik Kinasy. Wszyscy rozmawiali o książce i o mnie, jak gdybym był bohaterem.

Oglądanie książki naprowadzało tych, którzy umieli myśleć, na rozmowy o coraz żywotniejszym dla nas zagadnieniu amerykańskim. Wiedzieliśmy, że Amerykanie kiedyś opanują zupełnie nasze życie, więc dręczyła nas myśl, jakim był ten naród. Przecież niemożliwe, żeby wszyscy byli jak ci kupcy w Forcie Benton lub jak komendant Whistler. Zatem jakimi okażą się w istocie i czy zetkniemy się kiedykolwiek z lepszymi, sprawiedliwszymi Amerykanami?

Wieczorem przybyło do naszego namiotu kilku starszych wojowników i poważnie rozprawiało na ten temat. Były to chyba najpiękniejsze chwile mego życia, gdy w kącie namiotu, przytulnie ułożony już do snu, okryty ciepłą skórą bizonową. mogłem przysłuchiwać się rozważaniom tak doświadczonych ludzi. Morzyła mnie senność, lecz starałem się nie uronić żadnego słowa.

Rozmowa przeciągnęła się do północy. Gdy goście odchodzili, już spałem. Tylko przez sen czułem, że matka pieczołowicie wsadziła mi pod głowę książkę. Resztę nocy przespałem na książce.

DWA NABOJE HUCZĄCEGO GRZMOTA

Poczciwy stryj Huczący Grzmot niemało się w tych dniach natrudził i znakomicie przydał się naszemu obozowi. Coraz trudniej było handlarzom Fortu Benton okpiwać naszych ludzi. Wszyscy wiedzieli, że to zasługa stryja. Wiedzieli także i kupcy i posyłali za nim niejedno przekleństwo. Stryj nic sobie z tego nie robił; przeciwnie, był z nimi swobodny i gdzie mógł, stroił z nich żarty. Im wścieklejsi na niego byli oni, tym weselszy był on. Zamierzali go przekupić wtykając mu towar za darmo; nie dał się, łapówek nie przyjmował. Wyniuchali jego pociąg do wódki i poczęstunkiem chcieli ukołysać jego czujność. Stryj nie odmawiał, lecz pił ukradkiem, za plecami swych ziomeków, i za każdym razem miał z kupcem zasadniczą rozmowę.

–Powiedz, biały bracie, czemu mnie częstujesz gorzałką? – pytał stryj.

–Boś okropny szelma – zwykle odpowiadał handlarz – ale mimo to ciebie lubię.

–To dla przyjaźni mnie częstujesz?

–A jakżeby inaczej? Tylko dla przyjaźni.

–I nie będziesz mieszał do tego swych brudnych interesów?

–*Goddam you*, gdzieżby tam... Ja nie oszukuję. Zresztą przyjaźń przyjaźnią, interes interesem.

–Tylko pod tym warunkiem mogę wypić.

–Pij-

Stryj wychylał jeden kieliszek, co najwyżej dwa małe, następnych stanowczo odmawiał, lecz potem tym gorliwiej bronił swoich rodaków przed wyzyskiem kramarzy. Z jego picia oszuści nie odnosili żadnej korzyści, więc nadal łamali sobie głowę, jakby go usidlić.

Wtedy zdarzyła się stryjowi przygoda, słynna na całe prerie północno-zachodnie. Rozniosła jego chwałę do odległych namiotów wielu szczepów, nie tylko Czarnych Stóp, i przez pewien czas przezywano go nawet „Dwa Naboje”. Z jego przyczyny rozbrzmiewało wszędzie wiele zdrowego śmiechu.

John Smith należał do bogatszych handlarzy i uchodził za ostatniego wydrwigrosza. On to szczególnie wziął się na stryja i przemysliwał, jak go unieszkodliwić. Stryj wiedział o tym zamiarze, ale jak gdyby na przekorę niebezpieczeństwu, lubił chodzić do sklepu Smitha i długo przesiadywać. Stały tam wygodne ławki dla gości i można było nasłuchać się ciekawych rzeczy od bywalców. Pod płaszczykiem rubasznej dobroduszości toczyły się między Smithem a stryjem uporczywe zapasy, ale stryj z przezornością Indianina miał oczy szeroko otwarte.

Jak wiadomo, obozowaliśmy o kilometr poniżej Fortu Benton nad samą Missouri, a ścieżka do osiedla wiodła wzdłuż brzegu rzeki. Po drodze napotykało się dzikie kaczkę i inne ptactwo wodne. Toteż stryj, nabijany swą strzelbę grubym śrutem, zabierał ją zawsze ze sobą. Była to kapiszonówka, nabijana od przodu, i pomimo że grat leciwy, biła nieźle.

Owego dnia stryj zabrał ze sobą kilkanaście skórek, ale nie spieszyło mu się z ich sprzedażą. Targował się tu i ówdzie,

wreszcie zaszedł do „przyjaciela” Smitha. Wiązkę skór rzucił na stół sklepowy, strzelbę oparł, jak zwykle, na boku o ścianę i rozsiadł się na ławie.

–Halo, Huczący Grzmocie – wesoło przywitał go ku piec – zatracony szpiegu, już- przyszedłeś patrzeć nam na ręce?

–. *Weil*, jak uważasz, bracie rzezimieszku – odparł stryj uprzejmym głosem.

–Skóry przyniosłeś? Pokaż, co tam dobrego!

–Przyniosłem, ale dla uczciwego kupca.

–Ile chcesz za nie?

–Przecież mówię wyraźnie, – że/ są tylko dla uczciwego kupca. I ' /

Smith, nie zrażony tym przycinkiem, przejrzał skórki i za

ofiarował: y /

–Dam ci czterdzieści dolarów.

–Tych oszukanych czy tych prawdziwych? – drwił stryj. / y

–Niech strączę; dam ci pięćdziesiąt dolarów. Zgoda?

Pomimo wczesnej godziny w sklepie było już kilku odbiorców, którzy z~rósującym zaciekawieniem przysłuchiwali się rozmowie tych dwóch. Byli ciekawi, czy Indianin ulegnie pokusie, lecz stryj zauważywszy uśmieški Amerykanów uparł się, chociaż pięćdziesiąt dolarów*nie było złą zapłatą za skórki.

–Nie sprzedam – orzekł. – *'mam jeszcze czas.*

–Jak uważasz... Dostałem świeżą przesyłkę przedniego rumu, czy spróbujesz trochę?

–Daj, ale niewiele.

Kupiec nalał mu kieliszek, a stryj, chcąc się postawić honorowo, rzucił mu na stół srebrną półdolarówkę.

–To za wiele – odświadczył Smith z miną ucziwego.

–Resztę zatrzymaj na później.

–*Ali right*¹.

¹ Ali right – dobrze.

Sklep Smitha był chyba największy w Forcie Benton i mógł doskonale pomieścić kilkunastu siedzących, a poza tym tyluż stojących odbiorców. Większość ich składała się z cowboyów i białych traperów, łowców zwierząt futerkowych.

Smith miał pomocnika. Taki był ruch, że obydwaj musieli się tęgo uwijać, by podołać pracy. Jeżeli Smith miał pozornie dobroduszne rysy twarzy i tylko drapieżne, chytre oczka, to na obliczu jego pomocnika, dwudziestokilkuletniego Amerykanina, jasno bez obsłonek, przebijała ordynarna chciwość. Stryj Huczący Grzmot lubił przyglądać się, jak ci wszyscy ludzie doskakiwali sobie nieraz do oczu obnażając swe rozkiełznane żądze. Było to dla niego barwne, podniecające widowisko.

Zaledwie wypił kieliszek rumu, podszedł Smith z butelką i zapytał:

–Nalać jeszcze?

Stryj skinął głową.

–A czy nie będzie za wiele? – zatroszczył się kupiec. – To mocny trunek.

–Nie bój się, nalej!

Stryj wypił drugi kieliszek i gwar w sklepie coraz bardziej go bawił. Dom Smitha miał dwoje szerokich drzwi na przestrzał, jedno wiodące na ulicę, drugie na podwórze z tyłu. Na tym podwórzu gęgało kilkanaście swojskich gęsi, zamkniętych w ogrodzeniu. Ze swego miejsca na ławie stryj mógł je dokładnie oglądać i nawet gapienie się na gęsi sprawiało mu przyjemność. Był w błogim nastroju.

Nadszedł czas powrotu do obozu. Stryj powstał, zgarnął swe skóry, strzelbę, opartą dotychczas za jego plecami o ścianę, przewiesił przez ramię i zamierzał wyjść ze sklepu.

–Halo, old boy, bądź tylko ostrożny! – zawołał do niego Smith, a gdy stryj spojrzał na niego pytająco, dodał: – Był to mocny rum. Kołysz;sz się trochę na nogach... Nie wpadnij do rzeki po drodze...

–Patrz ty swego nosa, żebyś sam nie wpadł!

–Nie wpadnę, bo nie piłem, zresztą wódka mi tak nie

szkodzi. Natomiast twe oczy są jakieś mętne... Jeśli zobaczysz dzikie kaczki, nie strzelaj do nich. bardzo cię proszę.

–Czemu nie?

–Bo szkoda naboju: chybisz na pewniaka.

Rozmowa ich ściągnęła na siebie uwagę stojących dokoła. Zaczęli pilnie i nieufnie przyglądać się Indianinowi, jak gdyby był rzeczywiście pijany. Tymczasem on czuł, że owszem, był w dobrym humorze, lecz nie pijany, i spojrzenia tych ludzi korciły go.

–Nigdy jeszcze nie chybiłem! – wykrzyknął pewny siebie.

–No, to dzisiaj chybisz, daję za to głowę! – oświadczył Smith głosem stanowczym, nie znoszącym sprzeciwu, i jeszcze raz przenikliwie przyjrzał się oczom stryja. – Czerwony bracie, nie ulega wątpliwości: ślepie masz tak mętne, że kaczki nie dojrzysz na dwadzieścia kroków. Radzę ci, dziś nie strzelaj.

–Głupstwa pleciesz, bzdurzysz!! Chcesz mnie rozzłościć, ale to ci się nie uda.

Smith zwrócił się do obecnych traperów, jak gdyby wzywając ich na świadków, i

rzekł:

–Gotów jestem się założyć, że jego nietrzeźwe oczy na wet niedowidzą moich gęsi.

Ludzie huknęli śmiechem, a stryj przejrzał Smitha; z zemsty za to, że stryj nie pozwolił okpiwać Czarnych Stóp, kupiec wziął się na niego i ośmieszał go.

–Widzę twoje gęsi, drogi Smith – rzekł spokojnie stryj. – I co ty na to?

–Kto ci tam wierzy? Ale gdybyć do nich strzelił, to byś sam zobaczył, jak paskudnie chybisz.

–Mogę strzelić, jeśli pozwolisz.

–Tak pewny jestem, że chybisz nawet do tych gęsi, żem gotów założyć się.

–Dobrze, załóżmy się! – przystał stryj i z zaciętą miną zaczął ściągać strzelbę z ramienia.

Smithowi zamigotały w oczach triumfujące błyski i wszyscy

kładli je na karb jego uniesienia. Niektórzy żalowali go, że posunął się za daleko i lekkomyślnie straci gęsi.

–Ale o co się założymy? – zawołał Smith. – Proponuję tak: ty postawisz swoje skórki, ja postawię pięćdziesiąt dolarów. Jeśli chybisz, skórki będą moje; jeśli trafisz choć jedną gęś tak, że legnie, to pięćdziesiąt dolarów będą twoje i poza tym wszystkie gęsi, jakie ubijesz. Czy jasne?

–Jasne – wyraził stryj swą zgodę.

Gęsi stały nie dalej niż o trzydzieści kroków. Strzelba była nabita śrutem: celny strzał musiał spowodować rzeź wśród ptaków. Stryj odwiódł kurek i powoli się zmierzył. Chwilę celował. Oko dobrze widziało, ręce nie drgały, gęsi były jak na dłoni – czemu ten głupi Smith się zakładał? Musiał przecież wiedzieć, że przegra.

Nagle wkradło się podejrzenie: stryj spuścił broń i rzekł do Smitha:

–Połóż obok skórek twoje pięćdziesiąt dolarów.

–*AU right, dli right!* - kupiec wzruszył ramionami i wyliczył banknoty na stole sklepowym.

Stryj jeszcze nie był zadowolony. Zwrócił się do obecnych:

–Czy wszyscy tutaj słyszeli warunki zakładu i mogą je poświadczyć?

–Możemy! Naturalnie! Możemy! *Go on!* - wołano

zawsząd.

Wtedy dopiero stryj strzelił. Celował krótko, dokładnie, w sam środek zbitego stada. Gęsi na huk strzału zerwały się przerażone i głośno zagęgały. Dym powoli się rozchodził. Kilkanaście par pałających oczu wlepiało się w cel. Nikt się nie poruszył. Oniemieli. Gęsi były wylęknione, ale całe; żadna nie padła, żadna nawet nie krwawiła.

–Przegrałeś zakład – zachichotał Smith i pewnym ruchem zgarnął pieniądze i skórki.

Stryj słyszał jego głos jak przez ścianę. Ze spuszczoną strzelbą, z której lufy jeszcze ciągle dymiło, oraz z obwisłą

dolną szczęką – stał jak porażony. Przedstawiał obraz zupełnego otumanienia. Oczy niemal wychodziły mu z orbit.

W sklepie rozległy się drwiny i urągliwe okrzyki. Ludzie bawili się jego kosztem.

–Pijus! Moczymorda! Czerwony opój! – biły w niego szydercze docinki.

Dopiero oprzytomniał, gdy podszedł do niego Smith z miną pełną litości i z kieliszkiem rumu w ręce.

–Na, masz, wypij na otarcie łez! – rzekł kupiec ze źle ukrywaną ironią.

Stryj bezwiednie potrząsnął głową i odwrócił się. Skruszony wyszedł bez słowa ze sklepu, ścigany złośliwym rechoćem obecnych.

Jak zaszedł do obozu, nie pamiętał. W samym namiocie padł na legowisko i leżał z otwartymi oczyma, postawionymi w słup. Tego dnia do nikogo się nie odzywał, nikt do niego nie mówił. Niedługo po jego powrocie obóz już wiedział o nieszczęsnym

zakładzie i o przegranej. Niektórzy kiwali z ubolewaniem głową, inni natrzęsali się ukradkiem. Poważnie, jakie stryj zyskał sobie w ostatnich dniach, rozwiało się jak puch.

Pod wieczór stryj wyszedł daleko poza obóz i żałośnie zgnębiony siadł nad wysokim brzegiem Missouri. Godzinami dumał, wpatrzony w jedno miejsce rzeki.

Późno w nocy wrócił do namiotu, cichaczem, nie zauważony przez nikogo.

Następnego dnia zbudził się ze świeżą otuchą. Z oczu jego przebijała stanowczość. Strzelbę doprowadził do porządku i kazał żonie naszykować stos futrzanych skórek na sprzedaż.

–Czy idziesz znów do osady? – zmartwiła się żona..

–Idę – warknął. – Nie troskaj się o mnie. Nic złego się nie stanie.

–Nie zachodź do tego diabła Smitha.

–Właśnie, zajdę do niego.

–Nic dzisiaj nie pij.

–Będę pił! Nie lamentuj!

Poszedł. Wszystko działo się niemal jak dnia poprzedniego. Zaglądał do tego i owego sklepu, trochę się targował o swój towar, ale nie sprzedał go, i w końcu przybył do Smitha. Jak wczoraj, wiązkę skór położył na stole sklepowym, a strzelbę oparł z tyłu, o ścianę.

–Halo, drogi ochlapusie! – ucieszył się Smith jego widokiem. – Zrobimy znów jaki zakład?

–*Goddam you*, nie nabieraj mnie! – zgrzytnął stryj i ciężko opadł na ławę.

–Jesteś zmęczony, Huczący Grzmocie! – stwierdził kupiec ze współczuciem.

–Jestem, to prawda.

–Pewnie baba natarła ci uszu? Na takie zmęczenie najlepszy jest kieliszek rumu.

Ale szczerze ci odradzam, dzisiaj już nie pij.

–Właśnie tobie na złość wypiję. Nalej mi! – zażądał stryj.

Smith obłudnie wznosił oczy ku górze i zawołał:

–Bóg i wy, dżentelmeni, jesteście mi świadkami, że mu odradzałem picia! Ale on chce pić...

W sklepie było już kilku białych traperów. Kupiec napełnił kieliszek przed; stryjem, który tym razem wręczył mu banknot dolarowy i zaraz oświadczył:

–Reszty nie zwracaj. Zatrzymaj ją na później.

–Jak chcesz.

Smith obłudnie wznosił oczy ku górze i zawołał:

–Ile chcesz za nie?

–Nie sprzedam ci.

–Dam ci pięćdziesiąt.. – Nie.

–*AU right, all right!* - i Smith odszedł z przesadnie po błazliwą miną, jaką się ma wobec rozkapryszonych dzieci.

Sklep napełniał się coraz bardziej ludźmi przybywającymi po zakupy, dla łyku gorzałki, a przede wszystkim dla poga-duszek. Niektórzy byli tu dnia poprzedniego i poznając teraz stryja witali go drwiącym „halo!” Stryj, jak zwykle, z całym

zapalem wchłaniał osobliwości ożywionego (ruchu w sklepie. Po drugim kieliszku rumu oparł się łokciem na ławie, w wygodnej, na pół leżącej pozycji i z bezmyślnym uśmiechem na twarzy słuchał i patrzył na ludzi. O swych skórkach i strzelbie zdawał się zupełnie zapominać.

–Czy lepiej się czujesz? – zagadnął go Smith.

–Znacznie lepiej – przyznał się stryj z tak szczerym westchnieniem, że wszyscy sąsiedzi się uśmiechali.

–Chciałbyś jeszcze jednego? Nie nalegam, ale pozostała jeszcze reszta z tego dolara...

–To nalej! – stryj nie mógł się oprzeć pokusie.

Przybyło do sklepu kilku Czarnych Stóp z naszego obozu

i ci starali się powstrzymać stryja od picia. Wyglądało, jak gdyby stryj miał już trochę w czubie, (bo chwiejnym głosem uspokajał ich i mrugnawszy prosił, żeby

zostali z nim do końca. Postanowili go pilnować.

Stryj wypił trzeci kieliszek. Smith wszczął z traperami rozmowę na temat pijaństwa Indian. Każdy z obecnych opowiadał z swego życia jakąś przygodę, w której występował spity i wyczyniający dzikie awantury Indianin. Rozmowa i opowieści te miały pozory współczucia, lecz w istocie przebijała z nich pogarda rasowa. Smith drwiącymi uwagami podsycił nastrój lekceważenia i od czasu do czasu kierował ku stryjowi niedwuznaczne spojrzenia, niby dyskretne, jednak zrozumiałe dla wszystkich, także dla stryja. Kupiec wyraźnie sadził się, ażeby go upokorzyć albo rozdrażnić.

Stryj zaczął zbierać się do odejścia. Smith podszedł do niego i zadrwił:

–Pilnuj się rzeki;, brachu, jest głęboka. I także daj dziś dzikim kaczkom spokój.

–Nie jestem wstawiony, pleciesz! – oburzył się stryj z uporem pijanego. – Spójrz mi w oczy, co w nich dostrzegasz?

–Są mętne, Huczący Grzmocie, są mętne jak nigdy...

–Widzę dobrze.

–Tak się wydaje każdemu pijakowi, to wiadomo... Gdyby mi ciebie żal nie było, gotów byłbym znowu się założyć z tobą.

9 Mały Bizon

–Twojego żalu nie potrzebuję. Mogę się założyć.

–I znowu przegrać, biedaku?

–Wyceluję lepiej. Do czego mam strzelać?

–Jak wczoraj, do gęsi. Wal do gęsi.

–A o co się założymy?

–Ty postawisz te skórki, które przyniosłeś dzisiaj, a ja, postawię te skórki, któreś wczoraj przegrał i jeszcze dołożę pięćdziesiąt dolarów, żeby ci pokazać, jak pewny jestem wygranej. A ile zabijesz gęsi – to twoje.

Smith przyniósł skórki i położył je na stole, a obok nich wyliczył pięćdziesiąt dolarów. Wszystkich obecnych wezwał na świadków zakładu, podał stryjowi rękę i rzekł do niego:

–Teraz strzelaj i pokaż, co umiesz.

Stryj sięgnął po swą strzelbę pod ścianą, odwiódł kurek i zmierzył. Twarz miał spokojną jak maska, nie malowało się na niej żadne uczucie. Huknął strzał – iw ogrodzeniu z gęsiami powstało straszliwe piekło. Jakiż huragan zniszczenia, istne jatki! Kilka gęsi padło trupem, kilkanaście trzepotało się zranionych, zaledwie kilka uszło cało.

Ludzie stali jak wryci, bardziej zdumieni i oszołomieni niż poprzedniego dnia. Pierwszy Smith przyszedł do siebie. Z przerażenia zbladł jak zwietrzała kość na preriach. Wściekłość zatkała mu gardło, w którym coś zaczęło bulgotać i międlić się. Dopiero po chwili wykrztusił jakby w cichym obłędzie:

–To niie-mo-żli-we!

–Przegrałeś zakład – rzekł stryj spokojnym głosem, podczas gdy nasi ludzie, na jego skinienie, zabierali szybko skórki i dolary ze stołu sklepowego.

–Przeklęty Indianinie! – targnął się kupiec i w powietrzu czynił rękoma wariackie, bezrozumne ruchy.

–To nie-mo-żli-we, panowie! – teraz już ryczał do obecnych skwaterów, jak gdyby szukając u nich pomocy. Lecz żaden z nich nie ruszał się.

–To niemożliwe! – krzyczał Smith z uporem i chwycił się za głowę.

Gdy skórki były już na dworze, stryj wyprostował się i z całą powagą podszedł do Smd/tha. Uderzając go palcem w pierś oświadczył głośno, żeby wszyscy słyszeli:

–To całkiem możliwe, przyłapany oszuście! Wczoraj za moimi plecami wyciągnąłeś z mej lufy śrut, dlatego łatwo ci przyszło wygrać zakład. Dziś zrobiłeś to samo, a jednak przegrałeś. Na drugi raz, biały bracie, nie zapomnij wyciągnąć także i drugiego ładunku śrutowego. Dzisiaj w lufie były dwa naboje – i widzisz, jaki dobry skutek na gęsiach. Znalazł się ktoś chytrzejszy niż ty, hultaju, hauk.

Stryj zamasyście okrył się kocem i wyszedł. W drzwiach rzucił na odchodnym:

–A gęsi – sam sobie zjedz.

–Oto zabawna przygoda stryja Huczącego Grzmota w osiedlu Fortu Renton.

Dzięki niej zasłynął na preriach i zyskał sobie przydomek Dwóch Naboł. Na trop oszustwa Smitha wpadł podczas wielogodzinnych rozmyślań nad brzegiem Missouri. W tym czasie znowu odzyskał – jak często nam opowiadał – swoją duszę i chęć do walki z oszustem.

Przygoda miała jeszcze jeden dodatni skutek: wyleczyła stryja z pociągu do gorzałki.



WASUK-KIENA I JEGO KON

JN ie było u nas rzeczy ważniejszych od koni. Koń był wszystkim. Jakże ubogo musiał wyglądać byt Indian preryjnych, zanim nastał koń₅ a nastał nie tak dawno temu: w połowie XVI wieku, wypuszczony na prerie przez Hiszpanów. Koń, dokonując rewolucji w naszym trybie życia, bezgranicznie rozszerzył nam świat, pozwolił ujarzmić przestrzeń, stał się niezawodnym narzędziem polowania, stał się naszym najwierniejszym towarzyszem' i przyjacielem. Towarzystwem doli i niedoli, w porze zimowej zawsze bliskim głodowej śmierci, a mimo to wzruszająco wiernym. Indianie preryjni'tak przyłgnęli do konia, że nawet generałowie amerykańscy musieli ich uznać za pierwszych kawalerzystów świata ponosząc niejedną z ich ręki klęskę.

Mustang indiański nie był okazały. Średniego, często nawet niskiego wzrostu, włochoaty, obwieszony szpetnymi kudłami. O zbyt grubych nogach i zbyt wielkim łbie, wyglądał stale na zaniedbanego, czynił wrażenie nieszlachetnego pokurcza i tępa-wej istoty. Żłudne pozory! Te niekształtne nogi umiały śmigać

132

W

jak błyskawice, a w wytrzymałości nie dorównywał mu żaden inny koń, chociażby najprzedniejszej rasy. Mustang indiański był jak jego jeździec: nie znał zmęczenia. Co do bystrości i pojętność^ to wystarczyło przyjrzeć się jego rozumnemu współdziałaniu z myśliwym podczas polowania na bizona. Słynna trupa Siedzącego Byka, występująca w cyrku, nie potrzebowała specjalnie tresować swych koni: znały już i przyswajały sobie w mig wszelkie sztuczki cyrkowe.

Niewątpliwie najwytrawniejszym znawcą koni i najlepszym ujeżdźcą wśród Czarnych Stóp był członek naszej grupy, Wasuk-Kiena, co znaczy: Padający Śnieg. Ów niski, krępy wojownik siedział na koniu jak wrośnięty, a pomimo stosunkowo młodego wieku słynął jako „czarownik mustangów". Ludzie twierdzili, że umiał je czarować. W istocie słuchały go jak grzeczne dzieci i wykonywały pod. nim najdziwniejsze wyczyny. Sam Wasuk posiadał kilka koni, które uchodziły za pierwsze w stepie. Niestety, stracił je wszystkie złowieszczej nocy, gdy Ruxton i jego banda napadli na obóz, stryja Huczącego Grzmota.

Wśród tych skradzionych koni był jeden – istne dziwo – maści karogniadej, z białą gwiazdą na czole i białym ogonem: wyglądał jak ostatnia pokraka. Nikt by trzech groszy nie dał za niego , gdy istał z grubymi kolanami i 'spuszczonym posępnie łbem – jakiś znękany melancholik u kresu żywota. Tymczasem ów pozorny zdechłak bił rącością wszystkie inne konie szczepu. Przewano go żartobliwie Szalonym Żółwiem.

Otóż gdy wojownik Wasuk-Kiena wałęsał się pewnego dnia po osiedu Fortu Benton, nagle uważniej spojrział w głąb ulicy. Z daleka dostrzegł mustanga, zdumiewająco podobnego do Szalonego Żółwia. Prowadził go żołnierz na wodzy razem z trzema innymi końmi. Zbliżyli się do siebdle i wówczas Wasuk nie miał już wątpliwości, że to jego Szalony Żółw. Dla pewności cicho gwizdnął znanym koniowi sposobem. Odpowiedź otrzymał natychmiastową: strzyżenie uszu i gwałtowne

**podniesienie łba. Żołnierz niczego się nie domyślił. Wasuk niepostrzeżenie szedł za
nkn i wkrótce wiedział, gdzie zaprowadzono jego konia –**

do ogrodzenia nad samą rzeką, tuż powyżej warowni. W zamknięciu trzymano tam kilkanaście koni. Prócz Szalonego Żółwia wszystkie były obce. Należały do garnizonu. Ogrodzenia pilnował żołnierz na straży.

Wasuk pędem wrócił do obozu i zawiadomił wodza Kroczącą Duszę o odkryciu. Natychmiast zwołano radę. Uchwalono wykorzystać sprzyjającą okoliczność w celu uwolnienia z więzienia Orlego Pióra i jego trzech towarzyszy: przecież komendant Whistler więził ich, gdyż nie wierzył zapewnieniom Czarnych Stóp, że Ruxton i jego banda pierwsi na nas dokonali napadu i ukradli nam konie. A oto wyraźny dowód ich kradzieży" wpadł nam w ręce: koń Szalony Żółw.

Przede wszystkim otoczyliśmy miejsce, w którym przebywał koń, czujną opieką, ażeby nie stracić go z oczu. Trzech naszych zwiadowców stale pilnowało ogrodzenia. Równocześnie wódz nasz poszedł do komendanta Whistlera z prośbą o ponowne posłuchanie. Komendant opryskliwie oświadczył, że to niepotrzebne, bo żadna zmiana nie zaszła. Wódz w odpowiedzi dobitnie podkreślił, że przeciwnie, właśnie zaszła zmiana, i to ważna, więc komendant wyznaczył przyjęcie na następny dzień.

Delegacja poszła o oznaczonej godzinie, w takim samym składzie jak za pierwszym razem, z tym, że brał w niej udział także Wasuk – musiała jednak kilka godzin czekać, zanim ją przyjęto. Komendant przywitał delegację nieprzychylnym spojrzeniem, siedząc tak samo jak wtedy z pięściami zaciśniętymi na stole.

–Czego znowu? – fuknął na przybyłych. – Gdzie ta wasza ważna zmiana?
 –Prosimy – rzekł Krocząca Dusza – o zwolnienie naszych czterech wojowników...
 –To nic nowego! – przerwał komendant. – Tych czterech siedzi, a wkrótce będzie wisiało.

Krocząca Dusza mówił dalej:

–Żelazna Pięść oskarżał nas, że to my tylko napadliśmy na obóz Ruxtona i uprowadzili mu konie. Nie wierzył, że Ruxton przedtem zrobił to samo z nami...

134

–Nie wierzyłem i nie wierzę! – zawołał komendant.

–A jeśli złożymy ci dowód na to, że tak było. jak my mówimy?

–Jaki dowód?

–Jeden z naszych koni, skradzionych przez Ruxtona, jest tu, w samym Forcie Benton.

–Gdzie?

–W tej zagrodzie nad rzeką, tuż przy palisadach fortu.

–To przecież należy do wojska. To nasza rezerwa taborowa.

–Tak jest.

Komendant obrzucił delegację złośliwym spojrzeniem i po chwili rzekł urągliwie:

–Jak chcecie udowodnić, że to wasz koń? Czy wskażecie na pierwszego

lepszego, powiecie, że to ten, a ja wam na słowo naiwnie uwierzę? Tak sobie wyobrażaliście nową komedię?

–Tu jest Wasuk-Kiena, do którego ten koń należy. Wasuk może zaprzysiąc.

–To mało, to bardzo mało!

Wasuk był świetnym ujeżdżaczem koni, lecz nietęgim mózgiem i zupełnie nieobyty z ludźmi. W tej wysokiej sali i w obliczu srogiego majora czuł się tak zmieszany, że niemal pozbawiony przytomności umysłu. Gdy miał zaświadczyć, to coś tam bąkał pod nosem, a komendant wziął jego speszenie za dowód kłamstwa. Zniecierpliwiony major zapytał ostro:

–Więc twierdzisz, że to twój koń?

–Mój... tak, tak...

–Znakomicie. Każę przyprowadzić tego konia i zobaczymy, jak się do ciebie odniesie. Jeśli okaże się, że to nie twój, to za twoje kłamstwo wsadzę cię do dziury i posiedzisz przez kilka lat. Uważaj się już za aresztowanego.

•Major kazał zawezwać wachmistrza, oddał pod jego areszt Wasuka i polecił im obydwom przyprowadzi rzeczony konia. Nie trwało to długo, gdyż ogrodzenie, w którym znajdował się Szalony Żółw, przylegało do warowni i było połączone z nią bramą w palisadach.

–Wściekły Pies! – szepnął Krocząca Dusza do swych Czarnych Stóp.

Poselstwo nasze przeżywało chwile napięcia. Koń, rozłączony przez kilka miesięcy ze swym właścicielem, mógł zapomnieć wyszkolenia i już nie słuchać. Z drugiej strony Wasuk tak się dał zbić z tropu i otumanić, że gotów był zapomnieć języka w gębie i jakimś głupstwem zepsuć sprawę.

Konia przyprawiono, wszyscy wylegli na dziedziniec. Oprócz naszego poselstwa, komendanta, tłumacza i wachmistrza było obecnych dwóch poruczników i kilku szeregowych.

–Toż to prawdziwa koza! – zaśmiał się Whistler do swych oficerów ujrzawszy Szalonego Żółwia.

Wasuk zrozumiał jego szyderstwo i dobrodusznie zaprzeczył:

–Nie, sir. To nie koza.

–Racja! To jeszcze koń.

Koszttem Szalonego Żółwia wszyscy obecni Amerykanie zanosili się od wesołości.

–Czy umiesz to czupiradło przywołać do siebie? – zapytał Whistler.

–Koń nie słyszał mnie od tyłu słońc – odrzekł Wasuk. („słońcem" nazywaliśmy jeden dzień,, „wielkim słońcem" – rok).

–Aha, już się wycofuje bratek! – i komendant kazał żołnierzom zaprowadzić rumaka na przeciwległy koniec placu, o jakie sto pięćdziesiąt kroków.

–Teraz przywołaj go! – rozkazał major.

Na świnięcie Wasuka koń posłusznie się zerwał i galopem

–ku zdumieniu Amerykanów, że taka poczwara zdolna była do galopu – przybiegł do grupy stojących. Bez wahania poznał Wasuka. Zbliżył się do niego i radośnie rżąc położył mu głowę na ramieniu.

Wśród amerykańskich szeregowców rozległy się głosy uznania.

–Cicho! – ostrym głosem przywołał ich komendant do

porządku, następnie zwrócił się do Wasuka: – To nie przekonywające. Wszystkie indiańskie konie reagują na gwizd.

Wódz Krocząca Dusza z ulgą stwierdził, że Wasuk miał wciąż władzę nad swym koniem. W swej pewności siebie poddał Whistlerowi:

–Żądaj czegokolwiek, a on ci wykona.

–Niech koń klęknie! – palnął major.

Wasuk zawołał „hau" i Szalony Żółw klęknął przed nim na przednie nogi.

Komendant kazał położyć konia na ziemi. Ponowne „hau", o dostrzeżonej tylko przez Szalonego Żółwia różnicy brzmienia, i koń jak długi padł na ziemię udając nieżywego. Coraz więcej zbierało się gapiących żołnierzów, którzy dowiedziawszy się o celu takiego egzaminu nie ukrywali swej przychylności dla konia i jeźdźca.

Dowody były zbyt oczywiste. Major podszedł do swych dwóch oficerów i coś do nich szeptał. Potem zwrócił się do starszyny Czarnych Stóp:

–Pewne oznaki są w istocie uderzające i sprawa wymaga skrupulatnego śledztwa. Dlatego zarówno konia, jak i tego Indianina – wskazał na Wasuka-Kienę – oddaję pod areszt. Koń pozostanie tu, w koszarach, a Indianin pójdzie do więzienia aż do czasu, gdy rzecz się wyjaśni.

Niesprawiedliwość takiego zarządzenia wywołała zdumienie nie tylko Czarnych Stóp, lecz także prostych żołnierzy. Być może, bezwzględny komendant liczył się trochę z nastrojem swych podwładnych. W każdym razie, gdy Wasuk poprosił przez tłumacza, że chciałby na koniu pokazać jeszcze jedną sztuczkę, major udzielił mu zezwolenia.

Wasuk wsiadł na Szalonego; Żółwia i jadąc kłusem dokoła dziedzińca wyprawiał na swym rumaku karkołomne koziołki ku uciechu widzów. Dwukrotnie zatoczył koło. Gdy za trzecim razem podjechał niedaleko bramy wyjściowej, nagle wyprostował się na koniu i wydając przejmujący okrzyk wojenny ruszył pełnym galopem ku bramie. Była na oścież otwarta, lecz

w pośrodku niej stał żołnierz na straży, wpatrzony jak wszyscy inni w jeźdźca pokazującego tak niezwykle sztuczki. Żołnierz nie spostrzegł się, gdy już leżał na ziemi, powalony uderzeniem konia. Chociaż szybko się zerwał i zaczął strzelać z karabinu, Wasuk był już daleko od warowni. Żadna kula go nie dogoniła.

Obecna na dziedzińcu żołnierze nie ukrywali swej wesołości wobec kawału, jaki splątał Indianin. Sam komendant wściekł się. W odwecie chciał zatrzymać całe poselstwo Czarnych Stóp, jednak oficerowie jego widocznie wytłumaczyli mu niewłaściwość takiego postępowania. Niestety, zamiar uwolnienia naszych czterech więźniów znowu spelzł na niczym i sprawa przedstawiała się gorzej niż kiedykolwiek, po prostu beznadziejnie.

Wasuk pędząc nie zatrzymał się w naszym obozie w obawie pościgu i pognął daleko na prerie. Pościgu za nim nie było. Z nastaniem nocy jeździec wrócił do obozu, szczęśliwy z odzyskania cennego konia.

Wyścigi konne, jak wiadomo, należały do ulubionych rozrywek Indian od najwcześniejszej młodości. Ponieważ pod Fortem Benton przebywały grupy z różnych szczepów, nastroczała się wyśmienita sposobność do wszelakich zawodów, przy czym z jedną przyjemnością łączyli Indianie inną namiętność: zakładania się.

W niedzielę, w dwa dni po wypadkach z koniem Wasuka, odbywały się od samego rana wyścigi konne. Tor wyścigowy był tu od wielu lat tradycyjnie ustalony: zaczynał się u bramy fortecznej, wiódł do rozłożystej sosny, rosnącej samotnie na preriach, i wracał do wyjściowego miejsca przy bramie – ogółem trasa wynosiła mniej więcej dwa kilometry.

Do południa były wyścigi Indian. My, Czarne Stopy, wystawiliśmy kilkanaście koni i trzy z nich przyszły pierwsze do mety, reszta wzięła drugie, trzecie i czwarte miejsce. Wynik dobry, jeśli uwzględnić, że współzawodniczyliśmy z najlepszy-

mi jeźdźcami słynnych szczepów preryjnych, jak Slouxów, Szi-jenów, Arapaho, Wron. Żałowaliśmy tylko, że Wasuk, w obawie przed władzami garnizonu, nie uczestniczył w wyścigu na swym Szalonym Żółwiu.

Po południu odbywały się wyścigi samych Amerykanów. Najpierw były biegi cowboyów i szeregowców, a na końcu, jako najważniejsze tego dnia zdarzenie, wyścigi podoficerów i oficerów na doborowych wojskowych wierzchowcach. Były to wszystko konie tak zwane amerykańskie, karmione regularnie owsem, piękne i znacznie większe niż nasze mustangi.

W Wasuku siedział wielki kpiarz i chochlik, skory do psikusów. Jak tylko dowiedział się o tym wyścigu, postanowił na psotę Amerykanom, bez ich zgody, wziąć w nim czynny udział. Ażeby nie poznali jego i jego konia, pomalował swą twarz różnymi kolorami, zwyczajem Indian, a biały ogon Szalonego Żółwia ufarbował na brunatno. W obozie byliśmy ciekawi, jak Wasuk się spisze i co z tego wyniknie. Wszyscy wylegliśmy na tor wyścigowy i cierpliwie czekając rozsiedli się wzdłuż trasy.

Wasuk zawczasu przyprowadził swego konia i bezczelnie trzymał go w pobliżu

bramy warowni, gdzie zaczynały się biegi. Niedaleko, o kilkadziesiąt kroków, uwijali się Amerykanie, był także komendant Whistler ze swym sztabem, ale nikt nie poznał Szalonego Żółwia. Wszędzie kręciło się wielu Indian ze swymi końmi: któż by zwracał uwagę na włochatego koślawca, niemrawo stojącego na łące ze smętnym wyrazem w ślepiach?

Nadeszła chwila ostatniego biegu. Odgłos trąbki podkreślił ważność wyścigu. Stało jedenastu jeźdźców, samych oficerów i wachmistrzów. Wasuk podsunął swego konia pod sam tor i coś tam szeptał zwierzęciu do ucha. Szalony Żółw podniósł łeb i wyzywająco parsknął.

Huk wystrzału z pistoletu. Jedenastu jeźdźców zerwało się do biegu. Mieli wspaniałe, potężne wyścigowce o długich kadłubach i olbrzymim skoku. Wtedy dopiero odczuliśmy całą zuchwałość pomysłu Wasuka, który odważył się z nimi współzawodniczyć. Różnica między tymi olbrzymami a naszym karłem

pozbawiła nas złudzeń. Serce nam się ścisnęło, a mimo woli zbierało się na śmiech.

Wasuk czekał na oficerów o jakie sto kroków przed nimi. Gdy do niego dobiegli, skoczył na koń i głośno krzyknął. Widocznie uczynił to o sekundę za późno, bo chociaż szybko rozpedził swego wierzchowca, tamci już go minęli. Od samego początku szedł w ich ogonie.

Uświadamialiśmy sobie niespożytą wytrwałość Szalonego Żółwia; była to jednak słaba nadzieja. Siedziałem z rodzicami na początku trasy. Po chwili nic nie widziałem prócz oddalających się tumanów kurzu, wzniecanego przez jeźdźców. Wszędzie wzdłuż toru znajdowało się wielu Indian, nie tylko Czarnych Stóp. Ci z początku zachowywali się spokojnie, lecz gdy biorący udział w wyścigu docierali do sosny, postawa patrzących wyraźnie się zmieniała. Pomimo odległości słyszeliśmy okrzyki, i to coraz namiętniejsze, coraz bardziej podniecone. Jeźdźcy okrążyli sosnę, wracali. Towarzyszyła im już istna burza. Indian, stojących przy sośnie, porywał szal. Szal radości.

Także i nam udzielało się podniecenie. Na zakręcie przy sośnie Wasuk wyprzedził wszystkich Amerykanów i odtąd prowadził bieg. Jeźdźcy szybko zbliżali się do nas. Razem z nimi postępowała wrzawa indiańskich okrzyków wzdłuż trasy. W połowie powrotnej drogi między sosną a bramą Wasuk był już pewny zwycięstwa, tak wysforował się naprzód. Wtedy to dowcipniś pozwolił sobie na kpiarski, a nader komiczny kawał.

Wasuk siadł tyłem na swym koniu. Mając teraz oficerów przed sobą przynaglał ich do siebie wymachiwaniem rąk. Udzielał im dobrych rad, nie szczędził zachęty, wzywał do większego wyęczenia sił. Amerykanie czynili spazmatyczne wysiłki, by dogonić zuchwałego Indianina. Daremnie. Pomimo że jeździec siedział tyłem, wyuczony koń walił jak szalony. To wszystko pomnażało komiczność sceny, która dopiero zakończyła się niedaleko bramy: Wasuk siadł znowu normalnie i nie zwalniając biegu popędził w bok. Znikł nam wszystkim z oczu.

Wkrótce komendant rozesłał między Indian kilku konnych ordynansów i tłumaczy z wezwaniem, by indiański jeździec natychmiast się zgłosił u niego. Były to głosy wołającego na puszczy, a Wasufk-Kiena od tego czasu dostał przydomek: Kiwał-Na-Offloerów.





(.

NAPIĘTY ŁUK

Jr odczas gdy na forcie Benton. rozgrywały się wypadki, które wślawiły imię Wasuka-Kieny i stryja Huczącego Grzmota, w naszym światku chłopięcym również działy się rzeczy ciekawe. Dopóki sklepy handlarzy były dla nas nowością, chodziliśmy co dzień do osady, lecz już po kilku dniach ruch miejski zaczął się nam przejadać i nużyć nas. Tęskniliśmy coraz bardziej za swobodnym życiem na preriach.

Brzegi Missouri były częściowo wysokie i strome, częściowo nizinne i bagniste, a w licznych mokradłach, porośłych sitowiem, roiło się od ptactwa wodnego. Były tam nurki i czaple, i kurki wodne, a przede wszystkim tysiące dzikich kaczek. Skradając się ostrożnie, można było podejść je na bliski strzał, więc dla naszej zręczności i naszych dziecięcych łuków znajdowaliśmy wymarzone pole do popisu. Niejedną też kaczkę przynosiliśmy do obozu, ku uciesze matek i dumie ojców.

Pewnego dnia, myszkując w pobliżu warowni, ujrzeliśmy z daleka wychodzącego z jej bramy białego chłopca. Natychmiast poznałem w nim mego przyjaciela Freda. Był sam. Pod-

142

biegłem do niego i przywitałem się serdecznie. Radzi ze spotkania, terkotaliśmy wiele do siebie, chociaż nie rozumieliśmy się. Powoli zbliżyli się moi towarzysze – było ich ośmiu – i otoczyli Freda. Znajdowali się tam także chłopcy starsi, a ponieważ wszyscy mieli łuki i strzały, Freda ogarnął lęk. Zaczął niespokojnie oglądać się w stronę bramy. Chcąc go upewnić co do naszych przyjaznych zamiarów, podchodziłem do każdego z moich towarzyszy i dotykając go ręką, wyjaśniałem:

–*Friend, friend, friend...*

I tak osiem razy. Na sam koniec wskazałem na siebie, potem rękoma zatoczyłem wielkie koło w powietrzu i krzyknąłem bardzo głośno, z głębokim przekonaniem:

–*F-r-i-e-n-d!*

Wszyscy dobrze to zrozumieli i w śmiech. Lody były przełamane. Fred zaciekawiał się dwiema dzikimi kaczkami, które wisiały u boku mego starszego brata, Mocnego Głosa. Objaśnialiśmy mu na migi, że brat upolował je z łuku, co. bardzo się spodobało Fredowi. Nie chcąc być gorszy od innych, zatknąłem w ziemi nie grubszą niż moja ręka gałąź i z odległości kilkunastu kroków wypuściłem do niej pięć strzał. Wszystkie trafiły w cel.

–*V/onderful!*¹ – zaklaskał Fred w ręce.

–Co on mówi? – zapytał Górski Płomień, ten sam, który dwa miesiące temu podczas polowania wpadł między bizony i ledwie nie zginął w tej przygodzie.

Poprosiliśmy Freda, by jeszcze raz powiedział to słowo, a on zrozumiał nas:

–*Won - der - ful!*

–*Wonderful, wonderful* - zaczęliśmy wszyscy powtarzać, wiedząc, że to oznacza coś ładnego.

–Fred, *wonderful* - odezwałem się do białego chłopca i zapytałem go, czy nie chciałby także strzelić. Wręczyłem mu łuk i jedną strzałę. Fred ociągał się, tłumaczył, że nie umie, ale ostatecznie wziął, strzelił i haniebnie chybił. Strzała poszła

o trzy kroki w bok od gałęzi. Chłopcy parsknęli i śmiali się jak narwani. Widziałem, że Fred się zarumienił i że ta prostytutka uciecha towarzyszy jeszcze pogłębiła jego zakłopotanie.

. – Stulcie gęby, wy... sroki! – oburzyłem się, zły na nich jak rosomak.

–Hej, chłystku! – porwał się na mnie jeden ze starszych, Drewniany Nóż. – Czego tak bronisz tego białego wyrodka? Chybił, aż wstyd i hańba!

–To co, że chybił? – zaperzyłem się. – i On umie czytać książki, a ty nie...

Do sporu wdał się brat Mocny Głos, który miał dwanaście lat i był najmocniejszy z nas wszystkich. Rozstrzygnął na moją korzyść i uspokoił warchoła.

–Fred, *wonderjul* - rzekłem przyjaźnie.

Fred musiał już wracać do domu i na pożegnanie podał każdemu z nas rękę. Prosiłem go, żeby przyszedł jutro pobawić się. Mocny Głos odtroczył jedną z kaczek i podał ją chłopcu mówiąc:

–Fred, *wonderjul!* To dla twojej matki, ucieszy się.

Chłopiec z początku nie wiedział, o co chodzi, a pojął dopiero wtedy, gdy powtarzaliśmy słowo „mama” i wtykali mu kaczkę do ręki. Snadź zaopatrywanie matki w żywność było dla niego czymś niezrozumiałym, co nas – prawdę mówiąc – trochę nieprzyjemnie dziwiło, ale w końcu wziął kaczkę. Niósł ją niezręcznie, trzymając za skrzydło, ręką sztywno wyciągniętą przed siebie.

–Mamin synek! – zawyrokował o nim z pogardą Drewniany Nóż.

Gdy wracaliśmy do obozu, a Mocny Głos kroczył obok mnie, szepnąłem do niego dotknięty:

–Czy nie uważasz, że ten Fred jest bardzo dziecinny? Czemu tak źle strzela?

–Nie wiem – odparł brat, również niezadowolony. – Jest bardzo dziwny...

Teraz częściej uwijałem się w pobliżu warowni i w dwa dni później znowu spotkałem się z Fredem na tym samym miejscu. Tym razem nikogo ze mną nie było.

–Fred, *wonderful!* - przywitałem go, dumny, że zapamiętałem to słowo.

W torbie skórzanej, jaką mi matka uszyła umyślnie dla przechowywania książki, miałem ze sobą elementarz od Freda, więc poszliśmy niedaleko w stronę rzeki i siedli tuż nad brzegiem piaszczystego urwiska. Mając stąd rozległy widok na Missouri i jej dolinę, zagłębiliśmy się w przeglądaniu książki. Fred, który był o dwa lata starszy ode mnie, umiał już czytać i wymieniał mi nazwy wielu przedmiotów na rycinach. Ja natomiast wskazałem mu na obydwa rysunki z psami – na psa z chłopcem przy jabłoni i na psa uwiązanego obok budy – i opowiedziałem Fredowi, że mam w obozie wielkiego przyjaciela Po-nonkę i że tego psa Fred powinien koniecznie poznać. Czy chce poznać?

Wtedy posłyszeliśmy szelest kroków za naszymi plecami i ujrzyliśmy matkę Freda. Jak to zwykle matki, była zaniepokojona, że tak siedzieliśmy sami z daleka od warowni, ale widząc, że przeglądamy elementarz, kiwnęła przyjaźnie głową, powiedziała kilka miłych słów i odeszła.

–Mama, *wonderful* - zawołałem za nią.

Odwróciła się, ucieszona, i powiedziała jeszcze więcej miłych słów, a ja uświadomiłem sobie, że „wonderful” to jakiś silny, magiczny wyraz.

Uwagę naszą przykuł zwłaszcza obrazek przedstawiający człowieka łowiącego na wędkę ryby.

–Mam taką samą wędkę – pochwalił się Fred pomagając sobie wymownymi ruchami rąk. – Mam też wiele haczyków. Przyniosę ci je. Czy znasz haczyki na ryby?

–Znam! – odrzekłem. – Mamy w obozie haczyki, bo od dawna dostajemy je od wędrownych handlarzy...

Zjawiła się ta czarna kobieta, którą kiedyś widziałem w osadzie, zapewne/przysłana teraz przez matkę Freda. Było już późno. Kazała'mu wstać i wracać do warowni. Rozstaliśmy się.

10 Mały Bizon

Następnego dnia znowu zobaczyłem przyjaciela. Przyniósł dla mnie kilka małych haczyków, a ja przedstawiłem mu Po-nonkę. Wielki pies, prawie tak wysoki jak ja, bardzo do mnie przywiązany, od razu spodobał się Fredowi. Pononka z początku nie lubił zapachu białego chłopca i warcząc jeżył sierść, ale zapewniłem go, że Fred to morowy przyjaciel i że trzeba być grzecznym dla niego. Pononka był mądrym i pojętym psem.

Potem przyszło kilku chłopców z naszego obozu, a prowadził ich ów zawistny wichrzyłeb, Drewniany Nóż. Nie byli zbyt życzliwie usposobieni do Freda ' zaczęli z niego pokpiwać. My wszyscy mieliśmy długie włosy, zakrywające po części uszy, podczas gdy Fred miał włosy krótko obcięte, przez co uszy dziwnie odstawały mu od głowy. Uderzyło mnie to już przy pierwszym naszym spotkaniu w osadzie i

prawdopodobnie było właściwością białych chłopców. Teraz Drewniany Nóż i jego towarzysze natrzęsali się z Freda, że ma złego ojca, bo niezawodnie targał go za uszy tak długo, aż je wyciągnął.

–Czy bardzo cię bolało? – pytał Drewniany Nóż z udanym współczuciem.

Fred musiał pewnie zrozumieć, o czym mowa, bo zrobił znak przeczenia.

–A jak was, białych chłopców, biją ojcowie? – dopytywał się Drewniany Nóż.

–Tak – i poczciwy Fred uderzył się w siedzenie.

Wszyscy z wyjątkiem mnie buchnęli śmiechem. Pławili się

w rozkoszy podkpiwania sobie z okrucieństwa białych ojców, a tymczasem sami byli nietaktowni wobec Freda. Co prawda, to nas, indiańskie dzieci, rodzice nigdy nie chłostali, gdyż uchodziłoby za obłąd bić własne potomstwo.

Ponieważ nie było na miejscu mego silnego brata Mocnego Głosa, a chłopcy chcieli dalej dokuczać, wziąłem Freda za rękę, razem z Pononka odprowadziłem go do bramy warowni i pożegnałem się.

Następnego dnia była owa niedziela wyścigów. Przez cały dzień z rodziną przypatrywałem się biegom i Freda nie spotkałem, lecz nazajutrz byliśmy znów na starym miejscu. Wtedy

właśnie zdarzył się żaloszny wypadek, brutalnie burzący bez-troskość tych pięknych dla mnie dni, i nie brakowało wiele, by zawiązująca się przyjaźń miała tragiczny koniec.

Jak do tego doszło, sam nie wiem. Byliśmy we trójkę: Fred, Pononka i ja, nad samą Missouri, i ciskaliśmy do rzeki kawałki drewna, a Pononka pędził do wody i przynosił wszystko, co tam rzuciliśmy. Nagle Fred pośliznął się na podmokłym brzegu i wpadł do rzeki. Było tu od razu głęboko i przyjaciel wpadł tak nieszczęśliwie, że natychmiast znalazł się o cztery, pięć kroków od lądu. Szedł tam bystry prąd i zaczął go porywać coraz dalej.

Gdy Fred dał nurka do wody, roześmiałem się. Takie przypadkowe wpadnięcie, dla nas, indiańskich chłopców, było zawsze powodem do hałaśliwej zabawy i żartów, Fred również krzychał, lecz osłupiałem zauważyłem, że krzyczy z przerażenia i że rozpaczliwie i bezładnie uderza rękoma o wodę. Nie umiał pływać. Włosy stanęły mi dęba i bez namysłu rzuciłem się do rzeki. Na szczęście byłem nago, miałem tylko nabiodrnik na sobie.

Dopłynąłem szybko do miejsca, gdzie go widziałem; on tymczasem znikł już pod powierzchnią wody. Dopiero po chwili, trochę niżej, spostrzegłem rękę. Wynurzyła się z wody na okamgnienie i zaraz zniknęła. Jak szalony dałem susa. Freda już znowu nie było. Nagle w ciemnozielonej głębi zamigotało mi coś jaśniejszego. Fred miał białą koszulę. Dałem nurka i uchwyciłem jego ramię. Zacząłem ciągnąć ku górze. Ramię było bardzo ciężkie. Wreszcie dotarłem z chłopcem na powierzchnię. Fred był półprzytomny. Ja też.

Wtedy złapał mnie za szyję i wciągnął przemocą w głąb wody. Znowu otoczyła mnie zielona otchłań. Zacząłem tracić powietrze. Gwałtownie usiłowałem uwolnić się od jego kleszczy, ale nie mogłem. Czułem, że utoniemy oboje.

Nagle posłyszałem, jak gdyby z ogromnej odległości poszczekiwanie psa. Coś mi wpadło do ręki. Kudły Pononki. Po nich wciągnąłem się do góry i znowu byłem na powierzchni. Teraz, mając wciąż uwieszzonego na sobie Freda, ja sam z kolei kurczowo uczepliłem się psa. Ale wielkie, mocne psisko podola-

ło*

to naszemu ciężarowi. Potężnie przebijając łapami pruć wodę i sunęło w dół rzeki, a,my razem z nim.

–Fred, puść szyję! – rzeźbiłem ochryple, ciężko łapiąc po wietrze, ale on oczywiście nie rozumiał mnie.

Byliśmy daleko na środku rzeki. Dobre psisko zwróciło się ku brzegowi i powoli odległość między nami a lądem malała. Trwało to bardzo długo, wydawało się wiekiem i wciąż truchlałem na myśl, że z omdlałych palców wysuną mi się kudły Pononki i nie będzie dla nas ratunku. Pies jak gdyby przeczuwał moje obawy: ruszał się ostrożnie, unikając szarpnięć.

Wszystko to odbywało się poniżej warowni, między warownią a naszym obozem. Prąd unosił nas coraz bliżej namiotów. Indianie mają oko na objawy nieprawidłowości w przyrodzie, więc już z daleka spostrzeżono w obozie naszą dziwną trójkę i kilku pływaków rzuciło się do wody. Szczęśliwie wyciągnięto nas na brzeg.

Jak dalece goniliśmy resztkami sił, okazało się na lądzie. Nawet Pononka nie mógł skakać i wbrew swym zwyczajom, natychmiast położył się nad wodą. Ja zacząłem wymiotować, a Fred był nieprzytomny. Lecz czarownik Kinasy wziął go w obroty i wkrótce chłopiec przyszedł do siebie. Zaprowadzono nas do namiotu mych rodziców i ułożono na skórach. Ach, jak to było przyjemnie leżeć na suchych, ciepłych bizonowych skórach.

Matka dała nam coś do jedzenia i picia i długo nie wyle-żeliśmy. Fred chciał jak najszybciej wrócić do swej matki, która na pewno niepokoiła się nie wiedząc, gdzie tak nagle znikł. Ale moja matka, ku mojemu zdumieniu, nie pozwoliła mu wyjść z namiotu. Zatrzymała go łagodnie, lecz stanowczo.

–Niech Fred wraca do swej matki – krzyknąłem, zgorszony jej zachowaniem.

–Wróci, ale nie teraz – odrzekła matka.

Fred rozplakał się. Po raz pierwszy w życiu ogarnął mnie gniew na matkę tak silny, że aż mnie zamroczył. Zerwałem się, chwyciłem Freda za rękę i chciałem go gwałtem wyprowadzić

z namiotu. Gdy matka mnie powstrzymywała, zacząłem się z nią szarpać.

–Bizonku! – szepnęła z przerażeniem.

Opadłem. Obezwładniło mnie jej przerażenie. Spojrzałem na nią wylękniony. Poprzedni mój gniew nagle stajał.

–Fred – odezwała się matka – Fred nie może wyjść z namiotu. Musi tu na razie pozostać.

–Dlaczego, mamó? – Ledwo wyjąkałem i nagle straszne jakieś domysły i podejrzenia zaczęły cisnąć mi się do głowy.

–Nie wolno go stąd wypuścić – mówiła matka, jak gdyby tając przede mną jakąś prawdę.

–Czemu, czemu, mamó? – nalegałem.

–W obozie odbywa się wielka narada i ona uchwali, co będzie z małym Fredem. A do tego czasu Fred musi tu przebywać.

–Czy chcą go zabić? – ogarnął mnie popłoch.

Wtedy matka na chwilę spojrzała na mnie rozbawiona i tylko powiedziała z odcieniem wyrzutu:

–Bizonku!

Zawstydzony, uspokoiłem się.

Doszły nas z obozu odgłosy szybkich kroków, nawoływań, rozkazów. Narada się skończyła. Ojciec wpadł do namiotu.

–Ruszamy jak najszybciej – zawołał. – Natychmiast zwijać namiot i pakować rzeczy.

–Co stanie się z Fredem? – zapytała matka.

–Zależy to od stanowiska komendanta. Wysłano do niego wiadomość, że chłopiec jest zdrow i znajduje się u nas. Podaliśmy warunki...

–Czy chłopiec wyruszy z nami?

–Kobieto, nie trać czasu. Pakujemy. Lada chwila mogą nas zaatakować.

Wszędzie w obozie wrzał gorączkowy ruch. Już zgoniono

z pastwisk konie i objuczono je. Wojownicy pomagali zwijać namioty i wiązać toboły, lecz broń trzymali w pogotowiu, na wszelki wypadek. Nasz namiot, spieszenie złożony, ładowano na konie. Wszyscy mieli pełne ręce roboty, krzżeli się pilnie, tylko my dwaj, Fred i ja, siedzieliśmy na ziemi jak opuszczone sieroty. Opadły nam ręce. Nic do siebie nie mówiliśmy. Fred cicho pochlipywał, a mnie także chciało się płakać. W pewnej chwili doszła do nas matka i głaskając Freda pocieszała go:

–Nie bój się, nic złego nie stanie się tobie.

–Ja chcę wrócić do mamy! – prosił tak przejmująco, że mi serce się krajało.

–Niedługo ją zobaczysz. Nie płacz, kochanie...

Wkrótce zbliżyło się do naszego namiotu czterech jeźdźców: trzech żołnierzy i czwarta kobieta, matka Freda. W Forcie wiedzano już o wypadku nie tylko z ust naszego wysłańca; znaleźli się świadkowie, którzy z daleka widzieli, jak w rzece dwóch chłopców walczyło o życie, i donieśli o tym komendantowi Whistlerowi. Gdy teraz tych czworo przybywało do obozu, kazano żołnierzom pozostać z daleka, a żonę komendanta przyprowadzono do nas.

Zaledwie Fred zobaczył matkę, wyskoczył uradowany na jej spotkanie. Ona objęła go ramionami i mocno przytulając do siebie stała długo i zanosiła się od płaczu. Osobliwi ci biali ludzie, że nawet dorośli nie wstydzą się pokazywać obcym łez.

Fred musiał swej matce opowiedzieć całe zdarzenie. Dowiedziała się, że skoczyłem za tonącym i wyratowałem go przy pomocy psa Pononki. Podeszła do mnie i również przycisnęła mnie do siebie, nawet psa czule pogłaskała. W tym czasie zebrała się przy nas starszyzna z wodzem Kroczącą Duszą na czele. Był także stryj Huczający Grzmot, ażeby służyć za tłumacza.

Ponieważ czas naglił, obóz zaś był już prawie gotowy do wyruszenia, Krocząca Dusza nie zwlekał.

–Wiemy – odezwał się do matki Freda, a stryj tłumaczy?,
jak umiał – wiemy, że jesteś uczciwą i szlachetną kobietą.

150

Zapewniamy cię, twemu synowi nic złego się nie stanie. Obojętne, jakie nas czekają jeszcze wypadki, choćby były najgorsze, twego syna zawsze szanować będziemy jako syna czcigodnej kobiety.

–Boże, co to znaczy? – zawołała strwożona. – Co złego jeszcze mogłoby się stać Fredowi? O jakich wypadkach wspominasz?

–Posłuchaj spokojnie. Twój mąż, komendant Żelazna Pięść, był zły i niesprawiedliwy dla nas. Twój mąż niesłusznie więzi czterech naszych wojowników i chce im nawet zadać śmierć...

–Nie wtrącam się do tych sporów i nie znam się na nich. To męskie sprawy...

–Jednakże teraz będziesz musiała nimi sama się zająć, dla dobra twego syna. Postanowiliśmy bez pobłażania napiąć łuk do ostateczności. Jeśli będzie potrzeba, wystrzelimy strzałę. Jeśli ma zginąć niewinnie naszych czterech wojowników...

–Czy chcecie się zemścić za nich na tym małym chłopcu? – krzyknęła błędą.

–Źle nas sądzisz, żono Żelaznej Pięści. Nie chcemy się mścić, lecz tylko

wymierzyć sobie sprawiedliwość. I pamiętaj. Cokolwiek się tu stanie w tej sprawie, przysięgam ci na Wielkiego Ducha, że to, co mówię, jest prawdą, a mówię ci dlatego, ażebyś czuła się współodpowiedzialna za przyszłe losy twego syna. Tych czterech więzionych wojowników jest zupełnie niewinnych. To tylko złośliwość Żelaznej Pięści chce zadać im śmierć. Teraz słuchaj, co ci powiem: Fred, twój syn, jest naszym jeńcem. Oddamy ci go, jeśli dzisiaj do zachodu słońca Żelazna Pięść zwolni naszych czterech wojowników. Jeśli nie zechce ich uwolnić, nigdy nie zobaczysz już Freda. Weźmiemy go ze sobą, wcielimy do naszego szczepu i wychowamy na dzielnego wojownika. To wszystko. Zanieś tę wiadomość Żelaznej Pięści, haukl

Był to dla matki Freda bolesny cios. Rzuciła się na syna

i spazmatycznie go całowała. Gdy odchodziła, była wzruszona, lecz panowała nad sobą.

–Zrobię wszystko, co w mej mocy! – rzekła pełna bólu.

–Powiedz Żelaznej Pięści – dodał Krocząca Dusza odprowadzając ją do trzech żołnierzy – że jesteśmy uzbrojeni i będziemy bronili się do ostateczności. Niech namyśli się dobrze, zanim zdecyduje się wysłać przeciw nam swe wojsko. Nam zależy na pokojowym rozejściu się i na przyjaźni, powiedz mu...

–Powie – skinęła głową.

Siadła na konia i odjechała.

Dzień chylił się ku wieczorowi, słońce rzucało już długie cienie. Obóz był gotów do wymarszu. Konie stały objuczone, niektórym przyczepiono nosze „travois”. Wojownicy zbierali się w grupy i uradzali środki obrony cna wypadek ataku. Ich osiodłane konie stały w pobliżu. Do nas, dwóch chłopaków, zbliżyła się moja matka i siadając obok Freda rzekła do mnie, lecz tak, żeby ją również zrozumiał przyjaciel:

–i Za chwilę rozstaniecie się. Rozstaniecie się na długo, może na zawsze.

–To na pewno Fred wróci do swej mamy? – spytałem z błyskiem nadziei.

–Przekonana jestem, że wróci. Zależy to jedynie od jego ojca. Musiałby to być bardzo niedobry ojciec, gdyby nie chciał powrotu swego syna...

Słowa matki nasunęły mi pewną myśl. Podszedłem do mego bułanka, któremu brat Mocny Głos właśnie nakładał siodło, i spośród mych rzeczy wyjąłem łuk Kosmatego Orlątka. Ten najcenniejszy dla mnie przedmiot przechowywałem dotychczas jako drogą pamiątkę po straconym przyjacielu. Zaledwie wróciłem do Freda z łukiem, zjawił się stryj Huczący Grzmot i kazał matce, Fredowi i mnie iść za sobą.

Posępny a równocześnie uroczysty nastrój wisiał nad obozem. Wszyscy jak gdyby sprężyli się do rozstrzygającego sks-ku. Wódz Krocząca Dusza miał słusność: łuk – niewidzialny łuk – był napięty do ostateczności. Czułem wyraźnie to napię-

cie, gdy przechodziliśmy teraz przez obóz. Dzieciom, przytulonym do siedzących matek, odechciało się bawić. Kobiety milczały. Wojownicy stali z bronią w ręku, przygotowani do brzemiennych wydarzeń, jakie lada chwila mogły spaść na obóz. Odprowadzali nas uważnym wzrokiem.

Wyszedszy z obozu udaliśmy się w stronę Fortu Benton w piątkę, bo był także pies Pononka. W połowie drogi między obozem a warownią, o jakie pięćset metrów od Fortu, przystanęliśmy i stryj kazał nam sięść na ziemi. Należało tu czekać na to, co nastąpi. Otaczające nas pole było puste i równe, przyczajona cisza zalegała tak samo Fort Benton jak nasz obóz. Cisza, za którą kryły się rozstrzygające postanowienia.

Czekaliśmy w milczeniu, słońce już prawie dotykało ziemi. Odezwałem się do stryja objaśniając mu sprawę łuku: że to ważny dla mnie łuk, bo dał mi go Kosmate Orlątko, i że chcę ten łuk podarować teraz Fredowi, jeśli przyjdzie między nami do

rozłąki, i życzyłbym sobie, żeby Fred go zawsze dobrze pilnował. Czy stryj zechciałby powiedzieć to wszystko chłopcu?

Stryj spojrzał na mnie zamyślony:

–Toś ty, Bizonku, tak bardzo lubił się z Kosmatym Orlątkiem? Ja tego synka też najbardziej lubiłem...

Stryj nie czekał na moją odpowiedź i wszystko, o co go prosiłem, przetłumaczył Fredowi. Tymczasem ścisnąłem drzewo łuku tak mocno, że mi piąstka zeszywniała. Patrzeliśmy z coraz większym niepokojem na zachód słońca i na bramę warowni. Wreszcie dostrzegliśmy tam jakiś ruch. Z bramy zaczęli wychodzić ludzie. Jeden, dwóch, trzech, czterech, pięciu. Pięciu wyłoniło się i miarowym krokiem szło ku nam. Czterech mężczyzn, Indian, i jedna biała kobieta.

–Ho, ho, ho, ho! – zaśpiewał stryj cichuteńko i zerwał się na nogi. Czuć było w jego głosie cały ogrom radosnego uniesienia. Zalała nas fala radości. Zwycięstwo! Szli ku nam wyzwobodzeni Orle Pióro i jego trzech towarzysze. Pełne zwycięstwo!

–Fred, *won-derful!* - wybuchnąłem, lecz potem wzruszenie odjęło mi mowę.

Wręczyłem mu łuk i zwyczajem dorosłych podaliśmy sobie dłonie.

–Będę go bardzo strzegł! – powiedział Fred zakładając sobie łuk na ramię.

Tamci doszli do nas. Chwila rozstania nie trwała długo. Względy bezpieczeństwa wymagały pośpiechu. Matka Freda podchodziła do nas wszystkich i podawała nam rękę. Gdy podeszła do mnie, wsunęła mi do rąk dwie rzeczy: paczkę i¹ karteczkę papieru z napisem. Wytłumaczyła stryjowi, że na tym papierze jest adres ich domu pod Nowym Jorkiem i gdy Mały Bizon dorośnie, może tam zawsze przyjechać do Freda. Znajdzie tam życzliwych ludzi. Po tych słowach odeszli, wciąż przyjaźnie wymachując rękoma.

Stryj i matka uważnie przyglądali się oswobodzonym wojownikom.

–Do obozu, rażno! – zawołał stryj.

Ruszyliśmy biegiem. Pononka, dotychczas milczący tak samo jak ludzie, teraz wesoło rozszczękał się i harcował dokoła. Orle Pióro chwycił mnie oburącz, posadził sobie na karku i tak niósł przyśpiewując:

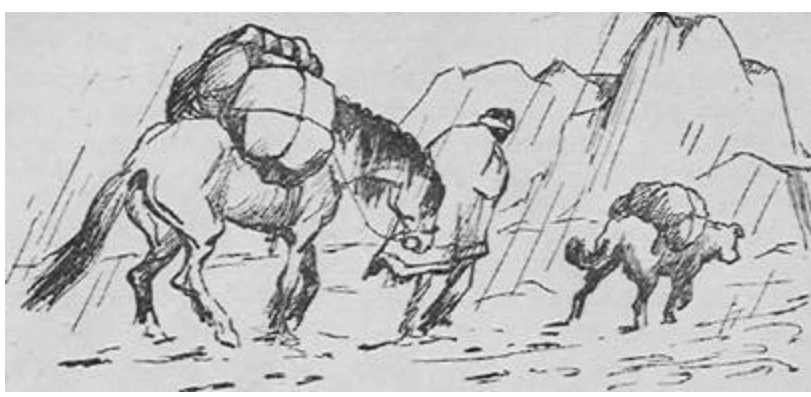
–Wiozę wielkiego zucha, hej ha, Dzielnie się spisał, hej, ho, Będziemy go sławili, hej ha, Tęgiego naszego pływaka, hiii.

Miałem piękną jazdę i szkoda, że nie było dalej do obozu. Po drodze zajrzałem do paczki, otrzymanej od matki Freda. Zawierała dziesięć tabliczek czekolady. Dałem zaraz po tabliczce Orlemu Pióru i jego trzem towarzyszom, niech mają za to więzienie.

Gdy dotarliśmy do obozu, ludzie czekali już na koniach, gotowi do wymarszu. Kto był jeszcze na nogach, doskakiwał do siodła. Ktoś wrzucił mnie na mego bułanka. Rodzina po rodzinie ruszała z miejsca, zaganiając swe juczne konie. Wojownicy trzymali się z boków, inni pilnowali tyłu. Wszystkich przeni-

kała wielka ochoczość, większa aniżeli zwykle przy wymarszach: odzyskaliśmy naszych czterech wojowników," a poza tym pędziliśmy znów na północny zachód, ku ojczystym łowiskom. Słońce już zaszło, gdy opuściliśmy bagna nadmissouryjskie i wdzierali się na prerie. Przed nami wieczorne, czerwone niebo jaśniało jak w gorączce. Rażno patrzyliśmy w przyszłość.





GÓRY, ŚNIEG I BLISKA ŚMIERĆ

Wędrówki nasze, mogące czynić za kimś niewtajemniczonym wrażenie przypadkowych tułaczek, zawsze zmierzały do ściśle określonego celu: głównie chodziło o zaspokojenie potrzeb życiowych. Wędrowaliśmy tam, gdzie można było spodziewać się dobrego palowania.

Pemikanu, suszonego mięsa bizonowego, mieliśmy dostateczne zapasy, wystarczające na zimę, natomiast w Forcie Benton sprzedaliśmy wszystkie nasze skórki futerkowe i także część skór bizonowych. Lato miało się ku końcowi. Postanowiliśmy tej zimy obozować gdzieś w Górach Skalistych, w okolicy obfitującej w zwierzęta futerkowe – i tam zastawiać na nie sidła.

Szły słuchy, że na północy, na płasko wzniesieniach Brytyjskiej Kolumbii, tułały się jeszcze stada dzikich mustangów. Ponieważ brakowało nam koni, zamierzaliśmy wybrać się tam na łowy następnej wiosny albo nawet tej jesieni, gdyby był czas.

Po kilkudniowej wędrówce na zachód dotarliśmy do podnóża Gór Skalistych. Byliśmy w krainie, którą odłam Suksi-sjo-ketuk szczepu Assiniboinów uważał za swe łowiska, i w istocie

156

Indianie ci wkrótce zjawili się u nas. Ich wódz, Walczy-Pod-Wiatr, zapytał nas za pomocą znaków, kim jesteśmy i po co przyszliśmy.

–Jesteśmy wędrującymi Siha-sapa, Czarnymi Stopami z prerii – odrzekł Krocząca Dusza. – Naszym jedynym obecnym wrogiem jest tylko grupa Okotok ze szczepu Wron, poza tym żyjemy ze wszystkimi w zgodzie.

Walczy-Pod-Wiatr marszcząc brwi rzekł z niezadowoleniem w głosie:

–Już nie schodzimy na prerie, by polować na wasze bizony, więc dlaczego wy nachodzicie góry, gdzie żyją nasze kozi ce, owce górskie i łosie?

Na to Krocząca Dusza:

–Spójrz na te worki, są na koniach pod opieką naszych niewiast. Mamy w nich zapasy pemikanu, starczą nam na całą zimę. Jesteśmy dobrze zaopatrzeni w żywność. Nie potrzebujemy uprawiać z głodu kłusownictwa na obcych łowiskach. Nie obawiajcie się o wasze łosie. Szukamy w górach takich ustroni, które do nikogo nie należą. Chcemy tylko przejść przez wasz obszar możliwie szybko, wcale nie chcemy tu polować.

–Ha! *Nina waszty, wasztego! Arriba wasztec, Siha-sapa!*

–O świetnie, bardzo dobrze! Bywajcie nam, Czarne Stopy! – zawołał wódz Assiniboinów.

I poprosił, byśmy zsiadli z koni- i byli jego gośćmi. Podczas gdy kobiety jego oddziału, przy pomocy naszych kobiet, przygotowywały dla nas posiłek, starszyzna obydwóch grup siadła przy wspólnym ognisku i paliła fajkę przyjaźni.

–Złe C2asy nastają – odezwał się Walczy-Pod-Wiatr. – Długie Noże wybili podobno na południowych preriach wszystkie bizony. Czy to prawda?

–Prawda – odpowiedział Krocząca Dusza. – Zwierzęta z południa już nie przybywają do nas, jak w poprzednich wielkich słońcach (latach). Te bizony, któreśmy tego lata upolowali, spotkaliśmy przypadkowo daleko na północy. Tam ich zawsze było mało, a jeszcze mniej jest dzisiaj.

r

–W górach nie tak źle. Mamy tu wiele łośi i jeleni wapiti, są także niedźwiedzie, kozice, owce... Ale mimo to ciężka troska pożera nasze serca...

–Dlaczego?

–Trzy dni drogi stąd, tam, w tym kierunku – i Walczy-Pod-Wiatr wskazał ręką na południowy zachód – zagnieździło się wielu Długich Noży. Przed dwoma wielkimi słońcami było tylko kilku Amerykanów, a dzisiaj jest ich już kilkuset. Zajęli wiele żyznych dolin i okrutnie rozrywają ziemię. Znajdują w niej złoto i inne cenne metale. Są to źli, gwałtowni ludzie. W całej okolicy wytępili już zwierzynę, a każdego Indianina, jaki im się nawinie pod rękę, zabijają bez miłosierdzia. Nie pytają się czy to przyjaciel, czy nie. Kto nam zaręczy, że jutro ci straszni ludzie nie przyjdą tu do nas? Unikajcie tych stron jak złej ospy!

Starszyzna nasza podziękowała za to życzliwe ostrzeżenie, a potem wszyscy zamilkli w bolesnej zadumie, że tak szybko kurczył się nasz piękny świat indiańskich łowisk. Dopiero gdy kobiety przyniosły jedzenie, powiał pogodniejszy nastrój.

Walczy-Pod-Wiatr wskazał ręką na niedalekie wierzchołki gór, pokryte już śniegiem, i rzekł ochoczo:

–Nasz oddział pochodzi z tych oto gór, tam chowaliśmy się, a prerie leżały zawsze przed nami. Indianie prerii mówili o nas, że mamy mądrość przezornych zwierząt, bo pozostajemy zawsze w górzystym ustroniu. Wieje tu zdrowy, orzeźwiający wiatr.

–Nasze strumienie i rzeki są przezrocyste jak niebo – podjął inny Assiniboin – pełno w nich pstrągów. Góry były naszym schronieniem. Ale czy góry ochronią nas jutro od drapieżnych Długich Noży?

–Ho – odezwał się jeszcze inny Assiniboin – my, Indianie z gór, nieraz napędzaliśmy stracha szczepom na preriach, ale nie jesteśmy bynajmniej tak mądrzy i przezorni jak one. Gdy wchodziliśmy na ścieżkę wojenną, chód nasz przypominał kroki człowieka lekkomyślnego, o tak!

I pokazał ruchy niezdarne, przypominające i człapanie niedźwiedzia, i kołysanie się kaczki.

–Natomiast wy, Czarne Stopy – ciągnął – suniecie szybko jak wilki i zmyślnie jak lisy. Zauważycie wszystko, a sami jesteście niewidzialni...

Pokazał, jak zręcznie kroczą Czarne Stopy, zupełnie inaczej niż rzekomo Assiniboinowie. Powstał ogólny śmiech i wesoły nastrój trwał do samego końca.

U tych miłych Assiniboinów obozowaliśmy przez noc, a następnego dnia wódz ich dokładnie nam wyjaśnił, wzdłuż jakich rzek i przez jakie przełęcze należy nam iść, ażeby dojść do upragnionych okolic. Było to na zachód, częściowo z odchyleniem północnym.

Już następnego dnia po opuszczeniu obozu Assiniboinów weszliśmy w wysokie góry, których nagie zbocza i turnie strzelały potężnie, często prostopadle ku niebu. Byłem w takich górach po raz pierwszy i miałem co podziwiać. Śnieg leżał tu nie tylko na szczytach, lecz także na niektórych przełęczach i konie zapadały nam nieraz po

brzuchy w białym puchu. Było dojmująco chłodno. Dopiero gdy przedarliśmy się przez łańcuchy tych gór i wyjechali na płaskowzgórze, w klimacie dały się odczuć raptowne zmiany. Znowu otoczyło nas ciepło i suche lato. Trawa dla koni rosła obficie, co nas najbardziej cieszyło.

Pewnego wieczoru, po przekroczeniu jakiejś rzeki, napotkaliśmy szczep Indian, zupełnie nam nie znany. Podczas gdy mężczyźni Czarnych Stóp byli słusznego wzrostu, tamci sięgali im zaledwie do ramion, przy czym mieli duże głowy i krótkie nogi. Nie nosili żadnych piór ozdobnych, a ich tipi były zbudowane z suchej trawy. Twarze mieli jaśniejsze niż my.

Gdy nas zobaczyli, nie okazywali żadnej nieufności, wbrew zwyczajom innych Indian. Spoglądali na nas przyjaźnie. Dzieci ich nie uciekały spłoszone: odważnie do nas podchodziły i coś wesoło szczebiały. Nasz wódz nie mógł się porozumieć za pomocą znaków. Tamci nie znali tego sposobu, lecz przywołali jakiegoś kalekę o kulawej nodze i z tym jedynie można było

się dogadać. Ów kaleka pochodził ze szczepu Kutenaj, natomiast reszta Indian należała do nielicznego plemienia Szuswapów.

Kutenajowie często z nami walczyli, więc od razu kaleka poznał nas po rodzaju sandałów-mokasynów, którymi różnią się od siebie szczepy. Zauważył także nasz odmienny sposób czesania włosów. Zaczesywaliśmy je prosto do tyłu i splatali po obydwu stronach warkocze. Tym różniliśmy się od Assiniboinów i innych oddziałów Siouxów, którzy na środku głowy robili przedziałek, podobnie jak nasze kobiety.

–Po waszych włosach i mokasynach – oświadczył Kutenaj – widzę, że nie jesteście Assiniboinami. Gdybyście nimi byli, wasze przebywanie w tym obozie Szuswapów byłoby niemożliwe. Szuswapowie nie żyją w przyjaźni z tamtymi.

–A ty, Kutenaj, co robisz w obozie Szuswapów?

–Mieszkam z nimi, gdyż jedna z ich kobiet jest moją żoną... Po co przybyliście do naszego kraju?

Gdy Krocząca Dusza wyjaśnił mu, że chcemy polować jesienią i zimą w górach, Kutenaj po porozumieniu się z wodzem Szuswapów odrzekł:

–Wódz Szuswapów oznajmia wam, że jest sprzymierzeńcem Kutenajów. Obydwa szczepy wspólnie posiadają ziemię, ciągnącą się stąd na południe tak daleko, ile człowiek przebiec może przez piętnaście dni. Prosimy was, byście na tych łowiskach nie polowali. Powiedzcie nam, jakiej zwierzyny szukacie, a wskażemy wam inne miejsca, gdzie znajdziecie jej w bród.

Nie chcieliśmy z nimi zadzierać, więc chętnie ich usłuchaliśmy. Opisali nam drogę do północnych terenów, które zadość uczynią wszystkim naszym życzeniom. Ponieważ nie mieliśmy ze sobą rakiet śniegowych, radzili nam, by zaopatrzyć się w odpowiednią ich ilość: na północy zastaniemy śniegi, które wkrótce pokryją doliny, a bez rakiet nie ruszylibyśmy z miejsca. W zamian więc za kilka koni dostaliśmy od Szuswapów wszystkie rakiety śniegowe, jakie w obozie swym posiadali.

Po jednodniowym wypoczynku ruszyliśmy w kierunku północnym do nie znanych nam, a zachwalanych okolic. Na trzeci

dzień skończyło się ciepłe płaskowzgórze i trzeba było znowu przedzierać się przesmykami przez łańcuchy wysokich gór, a tu nie tylko było zimno, lecz i moc śniegu. Jak dobrze, że zaopatrzyliśmy się u Szuswapów w niezbędne do tej drogi przyrzędy! Na postojach matki pośpiesznie sporządzały rakiety także dla nas, dzieci.

Wędrówka przez te uciążliwe góry trwała siedem dni. Koniom trzeba było odjąć juków i część rzeczy przełożyć na grzbiety naszych psów. Były to silne psiska, przeważnie wilczego pochodzenia, więc dobrze nadawały się do tej ciężkiej roboty. Niestety po trzech, czterech dniach zaczęły chorować na nogi. Twardy śnieg i grudy zmarzniętej ziemi kaleczyły im stopy. Kobiety uszyły im ze skóry rodzaj mokasynów, w których psy wyglądały jak w rękawicach pięściarskich. Sprawiało to zwierzakom znaczną ulgę, ale niektórym wciąż puchły nogi.

. Wszystkie psy, także i mój Pononka, szły w jukach z wyjątkiem jednego,

najmniejszego z całej psiarni. Był to karzełko-waty mizerak i jeśli miał w sobie krew wilczą, to chyba małego kujota, wilczka stepowego. Życie nie płynęło mu na różach. Czy to na skutek wątłego wzrostu, czy z innych przyczyn – psy nie lubiły go, gryzły i prześladowały na każdym kroku. My, chłopcy, stawaliśmy często w jego obronie rzucając na napastników kamieniami lub gałęziami, lecz niewiele to pomagało. Znamienne, że ów lichota do nikogo z nas nie należał i był bez nazwy.

Miał tylko jednego przyjaciela, mego Pononkę. Ów silny, stateczny pies czuł, widać, do malca jakąś osobliwą słabość, bo zawsze pozwalał tarmosić się w baraszkach i gdy byli razem, Pononka bronił go przed napastnikami. Podczas tej pamiętnej wędrówki przez góry chudzielec, uznany za zbyt słabego, nie potrzebował nic nosić i biegał sobie luzem. Pononka, przeciwnie, dostał ciężki toból do dźwigania, prawie ponad jego siły. Mimo to kroczył pełen godności nie rozglądając się na prawo i lewo, jak to czyniły inne, trzpiotowate psy. Przychodziło mi nieraz na myśl, że gdyby Pononka był człowiekiem, na pewno wybiłby się jako wielki wódz. Dzielnie spełniał swój obowiązek,

11 Mały Bizon

tylko coraz częściej potykał się. Zmarznięte nogi zaczęły mu krwawić zostawiając czerwone plamy na śniegu.

–Mamo – mówiłem – Pononka cierpi. Może mu zdjąć rzeczy?

–Nie można, Bizonku! Wszystkie psy muszą nosić. Jutro, pojutrze dojdziemy do celu...

Lecz ścieżka była coraz uciążliwsza. Góry piętrzyły się do-doła, potężne i dzikie. Niezawodnie były wspaniałe i urzekające, pełne – jak to się mówi – majestatu, ale człowiek nie widzi majestatu, gdy cierpi.

Tymczasem mały piesek używał swobody i płatał się wśród nas, chłopców. Nagle przystanął tuż przede mną tak niespodzianie, że niemal przewróciłem się przez niego. Wąchał czerwone ślady, potem płaczkliwie zaszczekał i popędził przed siebie, wprost do Pononki. To, co nastąpiło, przejęło mnie wzruszeniem.

Malec zrozumiał, że jego wielki przyjaciel goni resztkami sił. Dostkoczywszy więc do niego chciał mu pomóc w dźwiganiu ciężaru. Przycisnął się swym małym ciałem do jego boku i tak kroczył podpierając go. Jedna z naszych kobiet podeszła i kopnięciem nogi odpędziła malca. Odczekał, aż ona się odwróci, i znowu przypadł do boku Pononki. Niewiasta wróciła z kijem w ręce, ale teraz piesek uparł się, nie chciał odejść. Patrzył lękliwie w górę okrągłymi ślepiami i nie przestając wspierać swego przyjaciela czekał na uderzenie kija.

–Ciociu, nie bij go! – krzyknąłem. – «On pomaga Ponon-
ce!

Po chwili przypatrywania ciotka, zdumiona, pogłaskała obydwie psy:

–Anhh! On mu rzeczywiście pomaga...

Wówczas wszystkim oznajmiłem, że mam dwa psy, i małego kundla nazwałem Serce. Tak mi poradził brat, Mocny Głos. Po siedmiodniowym przebijaniu się przez zaśnieżone góry dotarliśmy wreszcie w okolice przyjemniejsze. Było tu mniej śniegu i już nie tak zimno. Górskie grzbiety i urwiska złagodniały, doliny się rozszerzyły. Gęsta roślinność, głównie świerki, rosła wszędzie, gdzie było trochę ziemi, na stoki wspinała się

kosodrzewina. A co najważniejsze, natrafiliśmy tu na sporo zwierzyny. Szuswapowie nas nie oszukali.

Wysoko na zboczach, na skalistych krawędziach, trzymały się górskie kozy, najtrudniejsze* do upolowania. Nieco niżej, tam gdzie pokazywały się już łąki, żerowały stada dzikich owiec wielkorożców. Same doliny, szczególnie leśne ustronia błotniste, obfitowały w jelenie, mianowicie łosie i wapiti, a tu i tam, zarówno w dolinach, jak na skalistych zboczach, wałęsały się olbrzymie szare niedźwiedzie grizzly. Można było spotkać wśród skał także rysie i pumy. Niewiele w tym przesady, gdy ustronie to określeń jako raj dla myśliwych.

Tu, w tym odludziu, rozgościliśmy się na dobre i postanowili przezimować, chociaż do właściwej zimy brakowało jeszcze sporo czasu. Mieliśmy zatrzęsienie świeżego mięsa, a także wiele ryb z jezior i potoków. Nieraz zdarzało się nam ubić i

niedźwiedzia. Kobiety nasze wyprawiały już świeże zapasy skór. Zazwyczaj przebywaliśmy przez kilka dni w jakiejś bogatej dolinie i podczas gdy myśliwi rozchodzili się na wszystkie strony, nieraz dość daleko, kobiety pozostawały w obozie, gdzie miały huk pracy przy preparowaniu i suszeniu skór. Po przepłoszeniu zwierzyny w jednym okręgu zwijaliśmy namioty i ruszali do innej doliny.

•My, chłopcy, również nie próżnowaliśmy. W pobliżu obozów żyły świstaki i gofry, które nazwałbym górskimi wiewiórkami ziemnymi, więc namiętnie polowaliśmy na te mniejsze zwierzęta. Niezdarne świstaka można było czasem dopędzić i złapać, natomiast zwinniejsze gofry miały się zawsze na bacności. Zanim, wychodziły z ziemnych kryjówek, ostrożnie wychylały główki oglądając się na wszystkie strony, potem dopiero wyskakiwały. Wypowiedzieliśmy im wojnę za pomocą pętli z cienkich rzemieni, które trzymaliśmy cierpliwie nad jamą, i kto z nas był zręczny, chwycił zwierzaka.

W ten sposób złowiliśmy kiedyś na pół wyrosniętego gofra. Nie zabiłem go, lecz żywego zabrałem sobie do namiotu. Już po kilku dniach zwierzak nie chciał wcale uciekać od nas,

a z moimi dwoma psami, Pononka i Sercem, pokumał się łatwo i żył za pan brat. Ta pierwsza szczęśliwa próba oswojenia dzikiego zwierza wywarła na mnie niezatarte wrażenie. We mnie, małym dzikusie, który 'dotychczas chciał zabijać każde słabsze od siebie stworzenie, zrodził się jak gdyby nowy człowiek, rozumniejszy i lepszy. Zdaje mi się, że każdy człowiek musi przechodzić przez taki przełom, tylko że niektórzy przeżywają go rychlej, inni później, a może są i tacy, którzy, wcale nie dochodzą w życiu do tego.

W tych dniach, obfitych w niezwykle przeżycia, kilku nas, chłopców, doznało niebezpiecznej przygody, która wstrząsnęła nami do głębi i zawsze kojarzyć się będzie z tym górskim okresem naszych wędrówek.

Pewnego poranku, uzbrojeni w łuki i rzemienie, wleźliśmy na górę, wznoszącą się nad naszym obozem. Towarzyszyły nam Pononka, Serce i jeszcze dwa silne psy. Muszę wspomnieć, że Pononka już wyleczył sobie nogi i całkowicie przyszedł do siebie. Gdy osiągnęliśmy szczyt i spojrzeli na drugą stronę góry, oczom naszym przedstawił się niezwykle, piękny widok. Rozciągała się tam, o kilkaset metrów poniżej, urocza, zielona dolina, której wcale jeszcze nie znaleźliśmy. Wśród świerkowych lasów i puszystych, choć pożółkłych łąk błyszczało jezioro, a powierzchnia jego była gładka i nieruchoma jak zwierciadło. Odbijające się w niej drzewa i przeciwległe szczyty górskie widzieliśmy tak ostro, jak gdyby były prawdziwe.

Przejęci tym krajobrazem siedliśmy na brzegu skały i patrzyli w dół jak urzeczeni. Po niedługim czasie ujrzeliśmy w dolinie dwa łosie, spokojnie kroczące przez łąki do jeziora. Zazwyczaj tworzyliśmy hałaśliwe zgraję; tym razem wszyscy zachowywali się cichuteńko jak podczas uroczystego obrzędu.

- Doszły do wody i piją – szepnął mój starszy brat Mocny Głos i westchnął.
- Gdyby mieć tak strzelbę i podkraść się! – marzył półgłosem któryś z towarzyszy.
- Jak tu cicho i ciepło – stwierdził brat. – Jak przyjemnie!

–A jeszcze kilka dni temu ta straszna wędrówka przez góry, brr! Było zimno, szarpał wiatr, uch!... – otrząsnął się inny chłopiec.

–A Fort Benton, czy pamiętacie? – przypomniał Mocny Głos. – Ten piekielny ruch i ci oszuści handlarze? A tu cisza i uczciwość. Taką zaciszną dolinę lubię. Cisza i nic jej nie zmaci...

Zmaciło. Psy nasze, wałęsające się w pobliżu, wywęszyły jakąś niezwykłą jamę w ziemi: Wyglądała na lisią, ale właściwie była nieco większa. Prowadziły do niej świeże ślady, więc nad otworem założyliśmy rzemienie i zaczęliśmy się. Po chwili ukazał się w dziurze wielki, brązowy, kudłaty łeb. Zaciągnęliśmy pętle, gdy wtem rozległ się straszliwy ryk zwierza, ryk zadziwiająco podobny do krzyku rozgniewanego człowieka.

Na widok bestii, jaką nieopatrznie chcieliśmy wyciągnąć z jamy, niemal padliśmy z przerażenia. Takiego potwora jeszcze nie widzieliśmy. Miał szkaradne kły, okropne

pazury, i dzikie, rozjuszony ślepie. Wskoczył jak błyskawica i rzucił się prosto ku nam. Na nasze szczęście były przy nas wszystkie cztery psy, które natychmiast go opadły. Bestia porwała się-na nie. Była raczej niewielka, nie większa niż mój kundel Ser-se. ale o nieprawdopodobnej, upiornej sile i szatańskiej zwinności. Poczciwe Serce pierwsze na nią natarło. W mgnieniu oka wżarła się w jego gardziel z taką dzikością, że mu prawie odgryzła głowę od ciała.

Reszta [psów równocześnie runęła na wroga. Skamieniali z przerażenia, widzieliśmy przez sobą tylko skotłowaną masę szalonych cielsk, miotanych nienawiścią. Dziki zwierz, chociaż o połowę mniejszy niż każdy z psów, bronił się z zaciekłością dziesięciu potworów. Nie bronił się. lecz atakował. Wydawał przy tym wciąż owe ludzkie, wojownicze krzyki, które nas równie przerażały jak ta wściekła walka. Krew tryskała na wszystkie strony.

Po śmierci Serca trochę oprzytomnieliśmy i wycofali się na pobliską skałę, każdej chwili gotowi do ucieczki. Losy wal-

ki rozstrzygały się z błyskawiczną szybkością. Już nie było trzech psów dokoła bestii; jeden gdzieś przepadł nam z oczu. Walczyły tylko dwa.– Nagle jeden z nich ostro zawył i z rozszarpanymi wnętrznościami legł nieprzytomny. Pozostał ostatni pies. Pononka.

–Uciekajmy! – wrzasnął któryś z towarzyszy pełen grozy-

Lecz wtedy usłyszeliśmy jak gdyby ludzkie rżenie. Był to prawie głos konającego człowieka. Pononka wpił się kłami w gardło zwierza i targał nim na wszystkie strony. Bił jego cielskiem o ziemię, sam się zataczał, ale puścił dopiero, wtedy, gdy tamtemu zaczęły gasnąć oczy. Wówczas rzucił wroga na ziemię i bacznie pilnował, czy nie pozostał w nim ślad życia. Zwierz nie ruszał się. Pononka na znak zwycięstwa rozdarł mu cały brzuch.

Pies miał rany i kulał. Pokuśtykał do swych dwóch nieżywych przyjaciół, Serca i tego drugiego psa, obwąchał ich,, zawył żałośnie, potem zabrał się do lizania swych ran i znowu wył. Wtedy doszedł nas odgłos stłumionego charkotu. Pononka zerwał się i skoczył tak szybko, jak mógł. Pobiegliśmy za nim. Na dnie niewielkiego wąwozu leżał nasz czwarty pies, dogorywający. Dziki zwierz zgryzł mu głowę. Biedaczysko miało ją tak szkaradnie spłaszczoną, że wyglądała jak głowa węża grzechotnika. Psisko jeszcze żyło, lecz odeszło od zmysłów. Gdy zbliżył się Pononka, myślało, że to wróg, i chciało go

gryźć. Po chwili skonało.

Nie żyła bestia, która nas tyle strachu nabawiła i tyle szkody nam wyrządziła, ale mimo to nikt nie śmiał jej dotknąć. Wyręczył nas Pononka. Chwycił ją kłami za grzbiet i choć z trudem, zawlókł triumfalnie do obozu.

W obozie – dopiero krzyk i zgroza! Był to brązowy rosomak, okrutny władca Gór Skalistych, najdziksze u nas stworzenie, postrach – pomimo niewielkiej postaci – nie tylko baranów i łosi, ale nawet pum i niedźwiedzi.

–Rosomak – mówili myśliwi – swą siłą i zwinnością pokona niedźwiedzia!

Ojcowie postąpili z nami. chłopcami, wręcz bezprzykładnie: zagrozili, że sprawią nam baty, jeśli będziemy polowali zbyt daleko od obozu. Taka groźba dopiero uprzytomniła nam niebezpieczeństwo gór.



„NIGDY NIE ZABIJĘ WILKA'

. [Nadchodziła zima. Coraz częściej zrywały się w górach wichry i spadały na doliny łamiąc drzewa i zdzierając nam namioty. Zaczęły się śnieżyce, czas było szukać miejsca na zimowe legowisko. Wkrótce znaleźliśmy odpowiednią kotlinę, otoczoną ze wszystkich stron górami i dającą ochronę od mroźnych wiatrów. Z tego miejsca myśliwi nasi odbywali samotnie lub we dwójkę wyprawy w dalsze doliny i zakładali tam sidła. Po wielu dniach, a nieraz tygodniach, wracali do głównego obozu i przynosili bogatą zdobycz: skórki gronostajów, kun, bobrów, wydr, wilków i rysi i innych zwierząt.

Ową zimę nazwaliśmy w naszym kalendarzu szczepowym „Zimą Orlego Pióra”,, gdyż najważniejszym zdarzeniem była niezwykła przygoda tego wojownika. Warto opisać pamiętne wypadki już choćby dlatego, że rzucają ciekawe światło na stosunki małżeńskie wśród Czarnych Stóp i pozwalają wnikać w ukrytą na ogół dziedzinę ich tkliwszych uczuć.

Orle Pióro, ów dzielny wojownik, którego komendant Whistler niesłusznie więził z trzema towarzyszami w Forcie

168

Benton, należał do najlepszych naszych myśliwych. Jak wielu wybitnych łowców, Orle Pióro lubił polować w pojedynkę. Także i tej zimy w górach skalistych często wyruszał w knieję i zawsze wracał ciężko obciążony skórkami.

W tych czasach wśród Indian preryjnych jeszcze panował zwyczaj wielożeństwa. Orle Pióro miał tylko jedną żonę. Jako zdrowy, dzielny mężczyzna w sile wieku, zawsze zdobywał tyle żywności, że ognisko jego opływało w dostatek, a jednak myśliwy nie chciał mieć więcej żon niż tę jedną. Była to ładna, gospodarna kobieta, którą kochał szczerym uczuciem. Odznaczała się pogodnym umysłem i pilnością, dobrze przyrządzała pokarm, umiejętnie garbowała skórki, jakie znosił myśliwy – słowem, sumiennie spełniała wszystkie obowiązki Indianki – tylko w jednym zawiodła: nie miała dziecka.

Indianie, jak wszystkie pierwotne narody, bardzo lubili dzieci – powiedziałbym, że więcej je lubili aniżeli wiele ludzi cywilizowanych – i posiadanie dziecka uważali za wielkie szczęście. Jeśli jaka żona nie miała u nas potomstwa, mąż mógł łatwo przeprowadzić rozwód lub – co najczęściej bywało – przybrać sobie drugą i trzecią żonę w sposób uświęcony tradycją. Orle Pióro w swym strapieniu czasem bił się z myślami o powiększeniu rodziny, lecz był tak przywiązany do żony, że swego zamiaru nie mógł i nie chciał urzeczywistnić. Odmiennego usposobienia niż większość mężczyzn naszego szczepu, chciał mieć tylko jedną żonę.

Cały obóz znał troskę tego małżeństwa i matki nasze często posyłały nas, dzieciarnię, do namiotu Orlego Pióra, abyśmy się tam bawili. Wiedziano, że tych dwoje lubi nawet obce dzieci, i w istocie Orle Pióro i jego żona okazywali nam serdeczność, jakie nie zawsze doznawaliśmy w rodzinnym namiocie.

Minęły już trzaskające mrozy, zima miała się ku schyłkowi. Orle Pióro odbywał jedną ze swych wypraw w dzikiej okolicy na północy od obozu. Owego dnia już

zbudował sobie szałas na noc, gdy w pobliskim gąszczu przemknął wielki, leśny wilk i przeciągle zawył. Zwierz,, ciekawy jak wszystkie wilki, śle-

dził bacznie ruchy Orlego Pióra, zanim oddalił się bez pośpiechu. W półmroku szkoda było strzelać do niego.

–Idź sobie, szary bracie! – rzekł myśliwy. – Jutro przyjdę do ciebie i ściągnę ci kożuszek...

Nazajutrz, skoro świt, Orle Pióro, uzbrojony w strzelbę i rakiety śniegowe, puścił się za zwierzem. W śniegu ostro rysowały się jego tropy i musiało to być niebywale potężne wilczysko, jak wynikało ze śladów jego stóp. Wyraźnie odróżniały się od innych, mniejszych śladów. Z początku wiodły wzdłuż długiej, stromej doliny, potem skręciły w bok, w góry silnie zalesione, niezbyt wysokie.

Kilka godzin trwał już pościg i przerzucał się od stoku do stoku, od doliny do doliny. Orle Pióro był wytrwałym i rączym biegaczem, a przy tym upartym. Nie dał się zwieść z tropu. Około południa poznał po śladach, że wilk, zapadając się w śniegu, zdradzał objawy znużenia. Ujrzał zwierza w oddali, oglądającego się na obnażonym zboczu za swym prześladowcą.

–Jesteś, bracie! – uradował się myśliwy. – Rakiety człowieka są skuteczniejszym środkiem czarodziejskim niż twe wilcze łapy...

Dzień był wyjątkowo piękny i pogodny, choć mroźny. Po południu pogoda zaczęła się psuć. Na niebie wyrastały niepokojące chmurki. Wówczas Orle Pióro odkrył ze zdumieniem ślady dwóch ludzi, idących w tym samym, co on, wschodnim kierunku. Siady były z dnia poprzedniego. Lecz co go najbardziej zastanawiało, to nieomylnie znaki, że ludzie musieli być chorzy lub śmiertelnie znużeni. Ledwie włożyli nogami i co kilkaset metrów padali bezwładnie na ziemię. Łatwo przyszło myśliwemu wyczytać w śniegu, że to były dwie kobiety, Indianki.

Wilk również zauważył ich ślady i w dalszym biegu już ich nie odstępował. Może wilczym instynktem wyczuł słabość kobiet i knuł przeciw nim coś złego? Orle Pióro z każdej mijanej wyżyny wyteżał wzrok badając doliny przed sobą w na-

dziei odkrycia tam kobiet, lecz jeszcze były zbyt daleko przed nim. Zamiast kobiet powtórnie ujrzał wilka.

Myśliwy przyśpieszył biegu. Z oczu nie spuszczał już zwierza ani ludzkich śladów. Na godzinę przed zachodem słońca gwałtowne, urywane podmuchy wiatru i małe trąby śnieżne nad ziemią zwiastowały zbliżający się huragan. Uderzenia wichru z każdą minutą przybierały na sile.

Wpadli między skaliste wzgórza, skąpo zalesione. Wilk biegł z coraz większym trudem, widać było, jak się chwiał od czasu do czasu. Niestety, lada chwila należało oczekiwać rozpętania się śnieżnej burzy. Orle Pióro pędził na wyścigi ze zbliżającą się nawałnicą. Wiedział, że gdy zacznie padać śnieg, straci ślady i wilka, i kobiet.

Wilk biegł kilkaset metrów przed nim. Zmierzał wprost do małego lasku świerkowego, wyrastającego w oddali. Było to jedyne schronienie w całej okolicy i wyglądało jak ciemna wyspa w morzu śnieżnej bieli. Do tego lasku wiodły również ślady kobiet. Właśnie zachodziło słońce z dwoma złowieszczymi kręgami dokoła swej

tarczy. Orle Pióro starał się dostać wilka jeszcze przed laskiem, lecz nie zdążył. Zwierz wpadł przed nim do zarośli i znikł z oczu.

Lasek nie był rozległy, miał może pięćdziesiąt – sto kroków średnicy. Myśliwy obiegł go dokoła. Wilk z gąszczu nie wyszedł, nie było jego śladów wyjściowych. Lecz co ciekawsze, myśliwy nie znalazł także śladów wyjściowych i' dwóch Indianek. Weszły do lasu i nie wyszły. Musiały być gdzieś w środku razem z wilkiem.

Orle Pióro odwiódł kurek od strzelby i wszedł w gęstwinę. Zaczął wołać. Nikt nie odpowiadał. Wicher rozszumiał się w konarach na dobre, targał je na wszystkie strony. Śnieg zaczął padać, szybko ciemniało. Myśliwy przechodził z miejsca na miejsce i wciąż wołał, lecz daremnie. Kobiety albo nie słyszały go, albo bały się odpowiedzieć.

Burza srożyła się coraz groźniejsza, wszystko dokoła trzeszczało, trzęsło się, huczało, wyło. Nawet w lasu trudno było ustać na nogach. Orle Pióro wyszukał kotlinkę dogodną na

obóz, narąbał gałęzi d suchego drewna; Nagle zauważył wilka, śledzącego go spod niedalekiego krzewu. Sięgnął ostrożnie po strzelbę, wymierzył między błyszczące w półmroku ślepią i pociągnął za spust. Trzask kapiszonu – więcej nic. Żadnego strzału. Niewypał.

Zębami otworzył róg i nasypał suchego prochu na panewkę. Tymczasem wilk nie ruszał się z miejsca. Doprowadzając strzelbę do porządku myśliwy mruczał do zwierza zwyczajem Indian:

–Zaczekaj, szary bracie, niedługo będę gotów. Zaraz nasadzę świeży kapiszon i pošlę ci małego posłańca z ołowiu. Bądź cierpliwy...

Gdy ponownie się zmierzył, wilk, stojący dotychczas jak urzeczony, zniecierpliwiony dał susa i przepadł. Nie było dane Orle-mu Pióru, by zdobyć jego skórę.

Podjął na nowo budowę szałasu. Podczas przerwy między jednym uderzeniem wichru a drugim usłyszał osobliwy dźwięk. Nadstawił uszu i gdy odgłos doleciał go po raz drugi, zerwał się na nogi. Było to jakby kwilenie dziecka.

Otuliwszy się w koc poszedł w kierunku głosu. Ściemniało już zupełnie, śnieg sypał w oczy. Myśliwy macał przed sobą rękoma. Wtem o coś potracił nogą i prawie upadł. Myślał, że to pień. Przypadkiem dotknął przedmiotu, zrozumiał. Leżał tam martwy człowiek: Indianka.

Wciąż rozchodził się stłumiony płacz dziecka. Orle Piór® okrążył kilka razy zwłoki. Odgłos załamywał się w wichurze i dochodził to z tej, to z tamtej strony, czasem nawet z góry. Myśliwy nie był wolny od zabobonów i zaczął myśleć o złych duchach, zwodzących go na jego zgubę.

W końcu oparł się o pień drzewa. Zawodzenie usłyszał nad sobą. Spojrzał w górę i jakiś kształt zamajaczał mu między gałęziami. Sięgnął. Był to koszyk, w jakim Indianki zwykle noszą dzieci. Koszyk wisiał wysoko, ażeby nie dosięgły go z ziemi dzikie zwierzęta, a w środku leżało zawinięte w skóry żywe dziecko. Miało kilka miesięcy.

Myśliwemu serce zabiło młotem, zalała go fala radości i lę-

ku. Lęku o życie dziecka. Rozniecił wielkie ognisko, chociaż wśród burzy nie było to łatwo. Dziecko opatulił w swój koc i przez całą noc ogrzewał je swym ciałem. Pemikanu, suszonego mięsa, nie chciał mu dać w obawie, że nieodpowiedni pokarm zaszkodzi niemowlęciu.

O świcie porwał się z posłania i wyszedł na skraj zarośli. Nocna burza minęła. Od jego zręczności, jako myśliwego i od szczęśliwego przypadku zależało teraz życie dziecka. Następną godziną musiała rozstrzygnąć. Rozstrzygnęła na korzyść życia. Orle Pióro założył sidła i wkrótce schwycił: żywego zająca, innego zastrzelił. Co tchu wrócił do szałasów i z upolowanego zwierzęcia wycisnął do ust głodnego dziecka tyle krwi, ile się dało.

Następnie związał z kilku drzewek proste sanki, umieścił na nich zwłoki kobiety, koszyk z dzieckiem przypiął sobie do pleców i pędem ruszył w drogę powrotną. Szukał chwilę w lasku, lecz drugiej kobiety nie znalazł. Około południa dał dziecku do picia krwi z drugiego zająca, którego dotychczas trzymał żywego, a wieczorem po

szalonym biegu dobrnął do celu: przybył do obozu naszej grupy z dzieckiem żywym i zdrowym.

Wręczając chłopczyka swej żonie rzekł radośnie:

–Oto nasze dziecko. Już nie będzie trosk w naszym namiocie. Będziemy szczęśliwi!

Jeszcze tej nocy zebrała się starszyczna w namiocie Orlego Pióra i przy wesołym ognisku z uwagą słuchała barwnej opowieści o jego przygodzie. Pochwaliła zamiar usynowienia dziecka. Ponieważ wszyscy lubili i cenili Orle Pióro, dzielili jego radość.

–To wesoła nowina! – i mówił wódz Krocząca Duszo. – Lecz nie wiem, czy zauważyłeś coś na zwłokach kobiety, która niezawodnie była matką chłopczyka?

–Dokładnie jej się nie przyglądałem – odrzekł Orle Pióro.

–To przyjrzyj się. Po jej mokasynach i jej naszyjniku przekonasz się, że należała do szczepu Wron, i to właśnie do grupy Okotok, naszych najzawziętszych wrogów.

–Hauk! – przeszło zdumienie po obecnych. Orle Pióro był zaskoczony, lecz zachnął się:

–Mimo to nie wyrzeknę się dziecka!...

–Nikt tego nie wymaga od ciebie! – oświadczył wódz. – Przeciwnie, cieszymy się! Stwierdzam tylko, że po raz pierwszy szczep nasz zetknął się z Wronami Okotok na polu przyjaźni, a nie walki.

–To dziwne, to dziwne! – rozległy się głosy w namiocie.

–To dziwny i znamienny przypadek! – odezwał się czarownik Kinasy. – Wchodzą nowe czasy na nasze prerie i góry.

Wtem doleciało nas z pobliskiego wzgórza wycie wilka. W namiocie zapadła cisza.

–*Mokuji!* - zawołał Orle Pióro. – To on, to ten sam wilk! Ten sam, który wskazał mi drogę do dziecka!

–Ech tam, nie wierzę w takie cuda! – bąknął stryj Huczący Grzmot, biorący wszystko na rozum.

Orle Pióro podniósł rękę i rzekł uroczyście:

–Nigdy odtąd nie zabiję wilka! Wilki – to moi bracia!

Następnie zwrócił się do dziecka i nadał mu nazwę Mokuji

Oskon, co znaczy Brat Wilka.

Mokuji Oskon wyrósł na dzielnego człowieka i życie swe poświęcił szlachetnej pracy nad zacieśnianiem węzłów przyjaźni między szczepami Indian. Lecz zanim wypłynął na szersze wody, spełnił jako dziecko równie piękne zadanie: zacieśnił węzły małżeńskie i wniósł słońce do namiotu Orlego Pióra.



DZIKIE MUSTANGI

Za pierwszym tchnieniem wiosny zwinęliśmy obóz i ruszyli w kierunku zachodnim. Po przekroczeniu wielkiego skrętu rzeki Kolumbii zapuściliśmy się na płaskowzgórze, łączące Góry Kaskady z Górami Skalistymi. Tam od wielu pokoleń uwijały się liczne stada dzikich koni. Nawet do dnia dzisiejszego, w XX wieku, w mniej przystępnych zakątkach przeżyło kilkaset mustangów w zupełnie dzikim stanie pomimo napływu białej ludności i corocznych obław, urządzanych z polecenia rządu Brytyjskiej Kolumbii. Otóż upatrzyliśmy sobie owe bezpańskie mustangi i nasi myśliwi chcieli na nich popróbować szczęścia.

Wczesna wiosna była najodpowiedniejszą porą na łowy. Wskutek zmiany pokarmu, spożycia świeżej trawy, konie chorowały na zaburzenia żołądkowe, co czyniło je mniej rącymi i mniej czujnymi. Zresztą i w tym osłabieniu byłyby nieosiągalne, gdyby nie przemyślność ludzka i ich własna ciekawość. Mianowicie, spłoszone, często kołowały wracając na to samo miejsce, by przekonać się, kto im naruszał spokój.

W podobny sposób zachowywały się leśne wilki. Podczas naszych wędrówek na północy prawie zawsze szło* za nami niepożądane towarzystwo drapieżników, nie opuszczające nas dniem i nocą. Gdziekolwiek się zatrzymywałyśmy, Stawały i wilki, ukradkiem śledząc nas z oddali. Przepłaszanie krzykiem niewiele pomagało. Uskakiwały w bok i spod krzaków dalej na nas spozierały.

My, dzieci, baliśmy się wilków jak złego ducha.

–Nic ci nie zrobią – uspokajał mnie ojciec. – W pobliżu obozu rzadko napadają na ludzi, i to tylko zimą, jeśli są bardzo głodne.

–To czemu za nami wciąż kroczą? – pytałem.

–Szare wilki przepadają za jednym przysmakiem. Psim mięsem.

Pomyślałem z niepokojem o kochanym Pononce. Po prawdzie mocne to psisko nawet rosomaka zagryzło po ciężkiej walce, ale czy dałoby radę kilku leśnym wilkom?

Podczas naszej wędrówki ku żerowiskom dzikich mustangów coraz więcej spotykaliśmy tych drapieżników. Bezczelne i natrętne, nocami podchodziły pod obóz na rzut kamienia. Ich wycie rozlegało się często tuż za naszym namiotem. Było w tym okresie kilka krwawych starć w ciemnościach. Słyszeliśmy przeraźliwe użeranie, trzask gałęzi, nagłe skowyty i jęki. Myśliwi zrywali się z namiotów, strzelali w powietrze. Rano były tylko ślady krwi i brakowało jednego lub dwóch psów.

–Głupie, lekkomyślne kundle! – mówił brat Mocny Głos o tych, co zginęły.

–Co gadasz?! – przeczyłem mu zaperzony. – Walczyły z wilkami o nasz obóz.

Broniły nas...

–Broniły, ale jak? To nie sztuka dać się pożreć przez wilki. Sztuka – zwyciężyć!

Ojciec jak zwykle rozstrzygał spór. Przyznawał słuszność każdemu z nas, tylko kazał nam połączyć obydwie poglądy. Nierozważny zuch budził równą pogardę, jak tchórzliwy filut. Natomiast kto umiał pogodzić odwagę z roztropnością, stawał

się wielkim wojownikiem zarówno w szczepach ludzkich, jak wśród psów.

–Psy, które zginęły – kończył ojciec naukę – były śmiałe, lecz z pewnością zbywało im na rozumie.

–Czy wojownik, który ginie w walce, nie ma rozumu? – pytałem.

Na to ojciec dość zawile tłumaczył, że tak nie jest, że śmierć może dogonić każdego wojownika, nawet roztropnego, a roztropność jest tylko jak dobra tarcza. Ale ja myślami wybiegałem do mego Pomonki.

–Czy Pononka może zginąć? – nasuwało mi się pytanie.

Pononka sypiał zwykle razem ze mną. Teraz nie chciał. Natarczywość wilków wywabiała go spod namiotu i pies co noc wrywał się do walki. Nad ranem dopiero wracał do mnie, mocno potargany. Miał często krew na sobie.

–Nie obawiaj się o niego – zapewniał mnie ojciec. –

Pononka posiada cechy prawdziwego wojownika. Nie brak mu

**przezorności. Wiele w nim krwi wilczej. Nie zapędzi się tam,
gdzie nie trzeba.**

Mimo to lękałem się. Dobry brat Mocny Głos chcąc mnie uspokoić czuwał kilka nocy przed namiotem z łukiem w ręku. Z tego łuku ubił ostatniego lata jałówkę bizona, teraz chciał upolować wilka. Kilka razy widział podejrzane cienie, lecz nie zdobył się na strzał w obawie trafienia psa. Tymczasem dokoła nas zaczęły dziać się inne, ważniejsze wypadki i przykuwać naszą uwagę. Sprawa wilków schodziła na dalszy plan.

Zwiadowcy nasi znaleźli świeże tropy dzikich koni. Zwierzęta ciągnęły daleko przed nami. Chociaż niewidoczne dla nas, wcześniej odkryły nasz obóz: dwukrotnie zataczając koło nawracały i podchodziły do nas od tyłu. Wyczytywaliśmy to wszystko ze śladów. Dopiero na piąty dzień tej gry w ciuciubabkę zobaczyliśmy samo stado. Było okazałe, liczyło jakieś pięćset sztuk. Pasło się na zboczu niewysokiej góry. Widać, ogniste zwierzęta; ich żywe, sprężyste ruchy upodobniały je raczej do jeleni niż koni. Wodziliśmy za nimi pożądlivym

12 Mały Bizon

wzrokiem, świadomi, że lada drobnostka, a spłoszone stado pomknie jak wichur i przepadnie hen, za widnokrzem.

Na uboczu skubał trawę wspaniały sinostalowy ogier. Raz po raz okręcał całą gromadę. Łatwo poznaliśmy, że to władca stada. Jego przede wszystkim nasi myśliwi mieli na oku, od niego bowiem zależało zachowanie się reszty.

Natychmiast łowcy przystąpili do wykonania dobrze przemyślanego planu. Działanie swe opierali na głębokiej znajomości zwyczajów dzikich koni i w pierwszym rzędzie zmierzali do tego, by płochę zwierzęta różnymi sztuczkami oswoić z widokiem ludzkich postaci. Przebiegłość szła w parze z cierpliwością. Więc obóz ciągnął dalej w dotychczasowym kierunku, bynajmniej nie ukrywając się, a tylko kilkunastu łowców, również całkiem otwarcie, zwróciło się w stronę stada. Byli częściowo na koniach, częściowo pieszo. Chcieli przede wszystkim ściągnąć na siebie uwagę mustangów. Już z wielkiej odległości myśliwi zaczęli nawoływać łagodnym głosem:

–Ho ho! Ho ho!

Stalowy ogier zarżał. Wszystkie konie zadarły głowy i stanęły nieruchomo. Chrapy miały rozdęte, płonące ślepia wlepiły w zbliżającą się gromadę ludzką. Stado nie drgnęło przez kilka minut. Potem ogier zerwał się i popędził ku bliższym się łowcom. Parskając wojowniczo, chciał odstraszyć natrętów.

Całe stado runęło za nim, rzekłbyś, wojenny napad rozjuszonych hordy. Wśród ogłuszającego łomotu kopyt rozlegało się zajadłe prychanie zwierząt. Szeroko stawiane nogi twardo biły o ziemię. Zanim -mustangi dosięgły łowców, zaryły się kopytami w ziemię i utknęły w tumanie kurzu. Przyglądały się ludziom z bliska, następnie zawróciły uchodząc bez pośpiechu. Zniknęły nam z oczu za wzgórzem.

Tylko szary ogier pozostał. Wyraźnie rzucał myśliwym wyzwanie do walki. Z nieukrywaną wściekłością potrząsał głową stając dęba. To gwałtownie odbijał się od ziemi wszystkimi kopytami; na Taz, to zwinnie okręcał się dokoła siebie jak pies w pogoni za swym ogonem. W końcu wyciągnął łeb, jak mógł najwyżej, srebrzysty ogon zaś odsądził wojowniczo i w tej po-

stawie, wyrażającej pogardę zapewne dla myśliwych, sypał na nich pociskami piorunujących oczu. Chciał widocznie okazać wrogowi swą odwagę i siłę. Spełniwszy to zawrócił i kłusem oddalił się. Stał lekko, jak gdyby leciał w powietrzu.

–Ach, *Ponokamita!* - wołali nasi łowcy. – Jesteś dzielny wojownik. Bądź spokojny. Wnet popędzimy na twym grzbiecie przeciw Wronom Okotok!

Pięć dni trwało cierpliwe ściganie mustangów. Poruszaliśmy się powoli, licząc na to, że zwierzęta, wiedzione końską ciekawością, będą do nas wracały. I w istocie kilka razy nawróciły. A gdy okazywały chęć opuszczenia nas na dobre, nasi jeźdźcy doganiali stado i dokonywali swych śmiesznych a chytrych zabiegów. Osiągnęli pełne powodzenie. Konie z każdym dniem stawały się mniej pierzchliwe. W końcu myśliwi mogli głośno wołać do siebie i tańczyć w pobliżu stada, a mustangi SKubały dalej trawkę. Dopiero z odległości mniejszej niż sta kroków powoli ustępowały ludziom. Przekonały się, że owe dwunożne istoty nie były groźne: wiele czyniły hałasu, lecz żadnej nie wyrządzały krzywdy.

Nic tak nie przerażało mustangów jak cichy, niewidzialny wróg. Stałe niebezpieczeństwo groziło im od czyhającego jaguara lub skradającego się wilka czy niedźwiedzia. Toteż lekki szelest myszki w trawie mógł wywołać obłędny popłoch i ucieczkę całego stada na łeb na szyję. Natomiast za nic miały pędzące stado bizonów, nawet turkot pociągu w biegu. Mustangi wiedziały, skąd pochodziły te odgłosy, i umiały uchronić się przed każdym otwartym przeciwnikiem. Dlatego łatwo przyzwyczyły – się do hałasujących ludzi. Istoty tak jawnie postępujące nie knuły – w doświadczeniu mustangów – złych zamiarów. Podstępu ludzkiego stado nie znało.

Cała nasza grupa gorączkowo przygotowywała się do końcowej obławy i sprawiała wrażenie prawdziwego obozu wojennego. Wielu myśliwych wraz z kobietami opuściło nas na kilka dni przed ostatecznym uderzeniem i gdzieś daleko budowało zasieki na matnię. W tym kierunku pozostali łowcy popędzali stado. Trzeba było wiele dowcipu i czujności, by dzikie zwie-?

rzęta nie pokrzyżowały w ostatniej chwili zabiegów. Jako naturalną pułapkę wybrano niezbyt szeroką dolinę-wąwóz o stromych, skalistych brzegach. W najwęższym jej miejscu przecięto ją ogrodzeniem ze ściętych drzew i z kamieni, u wejścia zaś do doliny utworzono z zasieków rodzaj olbrzymiego leja. Przez tę szeroką gardziel zamierzano wpędzić stado do wąwozu. Ażeby mustangi zbyt wcześnie nie wyśledziły zasadzki, wszelkie ogrodzenia pokryto gałęziami rosnących tu licznie świerków.

W dziesiątą noc pościgu wszystko było gotowe. Stado szczęśliwie doprowadzono w pobliże wylotu pułapki. Nikt nie kładł się do snu. Krótco po zachodzie słońca połowa naszych wojowników wybiegła z obozu, by zawczasu ustawić się na stanowiskach, przedłużających wejściowy lej do matni. Przez całą noc słyszeliśmy wycie wilków, pohukiwanie sów i płaczliwe jęki pum – to porozumiewawcze znaki łowców. Obława wymagała sprawnej organizacji i zupełnego zgrania, drobne niedopatrzenie groziło rozbięciem całego przedsięwzięcia. Cała grupa brała w nim udział. Po północy również nas, dzieci, wyprowadzono z obozu.

Starszy brat Mocny Głos nie chciał iść razem z nami, młodymi, lecz uparł się, by towarzyszyć dorosłym myśliwym i być tam, gdzie dokonywano najważniejszej pracy. W ostatnich dniach brał udział w odpowiedzialnym zadaniu oswojania dzikich koni i dobrze się zasłużył, więc teraz, pozwolono mu pójść z -ojcem w oddziale naganiaczy, przeznaczonych do pędzenia stada w pułapkę.

My, młodzi chłopcy, udaliśmy się razem z kobietami do wylotu zasadzki. Tam ustawiono nas pod zasieka i kazano czekać w największej ciszy. Zabroniono nawet szeptać. Niezmacony spokój zalegał całą przegrodę dokoła nas. Z jednej strony majaczyły zarysy doliny, przeznaczonej do obławy, z drugiej strony w ciemnościach rozplýwał się step, na którym gdzieś niedaleko spoczywało stado, nieświadome swego losu. Wilcze i sowie okrzyki wywiadowców dawno ustały, myśliwi zajęli posterunki i wyczekiwali końca nocy. Panował przejmujący chłód wczes-

nowiosenny. Skuleni na ziemi, drżeliśmy z zimna i pewnie jeszcze więcej z podniecenia.

Jaśniejsza smuga na wschodnim nieboskłonie zaostrzyła naszą czujność. Zaczynał się świt rozstrzygającego dnia. Natężaliśmy słuch. Przebudził się w pobliżu jakiś ptaszek stepowy, raz sennie zaświergotał i znowu zapadł w milczenie. Wtem – co to? Czy to inny ptak?

–Ho hoo! – szło z oddali cichuteńko niby tchnienie muskającego wietrzyka.

–Ho hoo! – znowu po chwili rozległ się odgłos, przytłumiony, lecz już wyraźniejszy.

Poznaliśmy głosy naszych naganiaczy, łagodnie budzących mustangi. Między nimi był ojciec z bratem Mocnym Głosem. Niebo na wschodzie przybladło, najbliższe krzaki wyłoniły się z mroku. Nagle doleciał nas inny dźwięk. Zrazu tylko szmer. Szmer zbliżał się szybko, potężniało głuche dudnienie kopyt. Mustangi pędziły prosto na nasze stanowisko. Równocześnie dały się słyszeć z różnych stron skowyty wilków; to zaczajeni myśliwi przesyłali sobie znaki, ażeby stado utrzymać we właściwym kierunku. Wśród odgłosów odróżnialiśmy lęklive rżenie kobył, zaniepokojonych o swe żrebaki.

Coraz donośniej tętniła ziemia od uderzeń kopyt. Stado było już w popłochu. Konie rżały z przerażenia. Ponad tym zamętem różnych głosów rozpoznawaliśmy donośne, głębokie trąbienie, ni to ryk lwa, ni to sapanie rozjątrzonego byka. Tak okazywał swą wściekłość olbrzymi szary ogier, władca stada.

Pędził na czele mustangów wyprzedzając je o spory kawał. Ujrzelśmy go. Furia złości i siły. Głową rzucał w prawo i w lewo, wypatrując wroga. Gdy przebiegał obok nas, wyskoczyliśmy na pnie ogrodzenia, krzyczeli co sił i machali rękoma. Inni czynili to samo za stadem. Mustangi, gnane z tyłu ludzkim wrzaskiem, odchodziły od zmysłów i ślepo waliły w gardziel swego przeznaczenia. Gładkie grzbiety koni płynęły, obok nas jak rozkołysane fale morskie.

Naraz ogier wrył się w ziemię i zatrzymał. Niezawodnie spostrzegł przed sobą coś podejrzanego. Usiłował powstrzymać

również i stado, lecz było to ponad jego siły. Po raz pierwszy masa okazała się nieposłuszną jego woli. Niepohamowany jej rozpęd popychał go naprzód.

W ogiera jak gdyby piorun trząsał. Nigdy władca nie doznał takiej klęski ani upokorzenia. Wykonał szalony skok w górę i zarżał przeraźliwie. Myślałem, że pęknie z pasji. On nie rżał: przeklinał. Złorzeczył stadu, ziemi, światu całemu. Chciał rzucić się na wszystkich. Gryzł dokoła wszystkich sąsiadów. Piekielne kwiki przeszywały powietrze. Lecz stada nie powstrzymał. Panika była silniejsza niż on. Nikt go nie słuchał. Ulegając przemocy sam porwał się na nogi i mknął znowu przed siebie, w samą paszczę pułapki.

Nigdy nie widziałem tylu koni w jednym zbitym stadzie. Biegły i biegły. Na samym końcu człapały kulejące żrebaki, które w zamęcie pogubiły swe matki. Gdy ostatnie z nich wpadły do doliny, wszyscy podążyliśmy za nimi i przerzucili zasieki od jednego

brzegu wąwozu od drugiego. Konie były w matni. Ludzie odnieśli zwycięstwo nad siłami przyrody. Nie posiadaliśmy się z radości. Słońce właśnie wschodziło.

Kilku myśliwych chciało zaraz pochwycić stalowego ogiera na linę-lasso i poznało jego wojowniczość na własnej skórze. Koń nie tylko skutecznie się bronił, lecz sam napastował. Ciężko poranił i potłukł czterech łowców. Byłby ich na śmierć zdeptał, gdyby nie szybka pomoc towarzyszy.

–Ponokomita akai makape! - To bardzo zły koń! – wołali ludzie.

Stanowił rzadkie wśród mustangów zjawisko, był zabójcą. Równie skory do kopania, jak kąsania zębami, zagryzał przeciwnika na śmierć. Po przepędzeniu łowców rzucił się w swym zapamiętaniu na dwa młode ogiery swego stada i zabił je przegryzając im gardła.

Pouczeni doświadczeniem myśliwi mieli się na baczności. Nie zeskakując z ogrodzenia starali się z góry zarzucić pętlę na głowę ogiera. Byli to mistrze rzucania lassem, jednak tym razem nic nie działali. Bestia posiadała przebiegłość szatana i udaremniała wszystkie ich wysiłki. Ogier nie spuszczał z oczu

lecącego ku niemu lassa. Gdy miało już opaść na jego głowę, w ostatniej chwili uskakiwał w bok za zwinnością kuny i rzemień padał w próżnię. Nie było na szaleńca sposobu. Czekał z rozkraczonymi nogami i zdawał się urągać myśliwym. Nikt z najstarszych ludzi obozu nie widział jeszcze podobnego zwierza.

Ażeby dostać się do stada, trzeba było odgradzić go od reszty. Udało się to dopiero przy pomocy licznych pochodni. Zapędzono go w kąt i tam zamknięto w małym, zbudowanym naprędce częstokole. Po takim unieszkodliwieniu złośliwca nasi myśliwi przystąpili do wychwytywania ze stada co lepszych koni. Do wieczora wybrano ich około dwustu, resztę puszczono na wolność. Tak zdobyliśmy najlepsze wierzchowce północnego zachodu i stali się najzamożniejszą grupą w całym szczepie Czarnych Stóp.

Następnego dnia zaczęła się żmudna praca osvajania koni. Czterech mężczyzn trzymało mustanga rzemieniem za szyję, piąty nakładał mu uzdę. Zanim jednak do tego doszło, należało konia uspokajać „końską mową”, czyli głębokim pomrukiem, wywierającym na zwierzęciu dziwnie łagodzący wpływ. Następnie machano przed jego głową kocem dotykając palcem, jego nozdrzy i innych części pyska. Po nałożeniu uzdy i opanowaniu głowy przystępowaliśmy do stopniowego obmacywania reszty jego ciała, potem do nałożenia mu koca na grzbiet i w końcu – jako ukoronowanie wielotygodniowych nieraz zabiegów – można go było dosiąść. Następowало pilne ujeżdżanie konia, a po kilku tygodniach pierwotny idzikus zaczął powoli przeobrażać się w owo czułe i doskonale narzędzie, jakim był wierzchowiec w rękach Indian preryjnych.

Tymczasem, trzymany w małym ogrodzeniu, stalowy ogier nie dawał się pochwycić na lasso, więc postanowiono oswajać go przez kilka dni po prostu samą obecnością krzątających się w pobliżu ludzi.

W nocy zaszło nieprawdopodobne wydarzenie. Ogier uciekł. Wdrapał się na pierwsze zasieki i przelazł przez nie, a drugie ogrodzenie z ciężkich pni rozwalił swą pierśią rzucając się na

przeszkodę z wielkim rozpędem. Uciekł na wschód. Gdy po pewnym czasie zwinęliśmy obóz na tym szczęśliwym dla nas płaskowzgórzu, dążąc ku preriom, szliśmy przez pierwsze dni śladem niesfornego ogiera. Po drodze znaleźliśmy trupy siedmiu koni, zarówno ogierów, jak kobył, uśmierconych przez bestię. Doświadczeni wojownicy mówili, że ogier dostał obłądu w chwili, gdy stracił panowanie nad swym stadem. Jego duma władcy nie zniosła klęski. Szaleniec przeobraził się w bezwzględnego zabójcę swych współbraci i szerzył dokoła siebie zniszczenie.

Przez kilka lat wiódł niespokojny żywot na preriach Montany i Alberty. Nikt nie widział go za dnia. Tylko nocą przebiegał wielkie przestrzenie pojawiając się niespodziewanie to tu, to tam, zawsze w złych zamiarach. W księżycowe noce często widywano go na wzgórzach w pobliżu obozów indiańskich i farm osadniczych. Z rozwianą grzywą Stał nad doliną jak pomnik wspaniały, zły, legendarny władca prerii. Indianie przezwali go Koniem-Widmem – *Szunkatonka Wakan*.

CHMURY NAD PRERIAMI

1 ej wiosny wracaliśmy ku ukochanym prერიom zadowoleni z życia jak nigdy. Oprócz koni zdobyliśmy podczas zimowych łowów pokaźny zapas skórek futerkowych. Nie było nam spieszno; w dolinach Gór Skalistych polowaliśmy po drodze na jelenie. Ubiliśmy niejednego szarego niedźwiedzia grizzly. Żyw- ności mieliśmy pod dostatkiem. Spotykaliśmy tu i ówdzie Indian i rozgłos naszego powodzenia wyprzedzał nas szeroką falą w górach i na preriach. Bujne, piękne kwiaty wiosenne

pokrywały niektóre doliny i tak samo słońce i kwiaty – żeby użyć starej indiańskiej przenośni – były w naszych sercach.

W górach południowej Alberty, już niedaleko naszych ojczystych stron, natknęliśmy się na oddział białych ludzi. Było ich kilkunastu. Należeli do Królewskiej Konnej Policji, słynnej w całej zachodniej i północnej Kanadzie pod nazwą „Royal Mounted”. Ich jaskrawoczerwone mundury były tak wspaniałe, że nie mogliśmy oderwać od nich oczu. Na czele tego oddziału stał człowiek w zwykłym stroju białych myśliwych, a obok

185

niego ujrzeliśmy ku naszemu zdumieniu dwóch naszych ziomeków, Indian Czarnych Stóp z północnego odłamu Siksikau. Jak się okazało, ów człowiek w cywilnym stroju był wysłannikiem rządu kanadyjskiego. Wyjechał w te góry umyślnie na nasze spotkanie. Dwaj Czarne Stopy, obydwaj podwodzowie, służyli mu za tłumaczy.

Od samego początku spotkanie to przybrało nastrój uroczysty. Agent kanadyjskiego rządu kazał nam zatrzymać się i zaprosił naszego wodza do swego ogniska na wypalenie fajki przyjaźni i na rozmowę. Zanim Krocząca Dusza wybrał się do niego, miał z naszą starszyzną krótką naradę. Z obecności dwóch Siksikau domyślaliśmy się, o co Kanadyjczykom chodziło: obydwaj podwodzowie znani byli jako ugodowcy, 'którzy zaprzędali się interesom białego człowieka, więc należało przypuszczać, że będzie to jeszcze jedno wezwanie do zupełnego poddania się pod władzę i wolę białych przybyszów. Nam, bogatym w konie, w skóry i w żywność, ani się śniło właśnie teraz wyrzekać się wolności. Krocząca Dusza polecił ludziom trzymanie broni w pogotowiu, sam zaś w towarzystwie czarownika Kinasy i kilku poważniejszych wojowników poszedł do agenta.

Zaledwie nasi siedm przy ognisku i wypalili obrzędowe fajki, jeden z podwodzów Siksikau w imieniu własnym i kanadyjskiego agenta powinszował nam szczęśliwych łowów, o których już wszyscy wiedzieli. Następnie zapytał się, czy dotarły do naszych uszu wieści o wielkich zmianach, jakie w ostatnich miesiącach nastąpiły na preriach i wciąż, co dzień, nastają.

Po chwili milczenia Krocząca Dusza odrzekł z miną bardzo poważną:

–Wiemy o tych zmianach: słońce co dzień coraz silniej przygrzewa i trawa coraz piękniej wyrasta.

–To są drwiny – stwierdził Kanadyjczyk – świadczące o tym, że dzielny wódz nie

jest świadomy rzeczy, dziejących się na preriach. Prerie napełniają się białymi osadnikami.

–Od wielu lat wysłannicy rządowi nic innego nie powtarzają nam w kółko, jak to samo – odparł Krocząca Dusza.

–Ale tym razem jest inaczej – zapewnił agent. – Musi-

cie mi wierzyć na słowo. Ludzie we wschodnich miastach naszego kraju dowiedzieli się o urodzajności gleby na zachodnich preriach i rozpoczęli się wielki pęd w te strony. Okres polowań raz na zawsze się skończył.

Z niedowierzaniem słuchała nasza starszyzna tych słów.

–Wszystkie szczepy – prawil Kanadyjczyk – na południe i wschód od was pozawierały umowy z rządami Stanów Zjednoczonych lub Kanady i znajdują się obecnie w rezerwach, gdzie im dobrze. Także wiele grup waszego szczepu Czarnych Stóp już zgodziło się zaniechać swych wędrówek. Idźcie za ich przykładem.

Agent porozkładał na ziemi wiele banknotów dolarowych tworząc z nich barwny kobierzec. Dał wietrzyk, więc trzeba było przycisnąć je grudkami ziemi, żeby nie rozleciały się.

–Oto pierwsza rata dolarów, jeśli podpiszecie umowę i odstąpicie rządowi wasze ziemie. Co rok dostaniecie tę samą ilość...

–Czemu swe pieniądze pokryłeś ziemią? – szydził Krocząca Dusza. – Czy są takie płocze? Czy tak szybko się rozlaną?

–Siouxowie – odpowiedział agent – nazywają te papierowe banknoty „masa ska”, co znaczy biały metal, bo każdy banknot zamienić można na dzwięczące, srebrne moniety. Łatwo za nie nabyć wszystko, co posiada biały człowiek. Pieniądze te – to wielka wartość i siła.

Wódz nasz wziął jeden z banknotów do ręki. Widniała na nim łysa głowa człowieka.

–*Stiki kiki nasy!* - zawołał zdziwiony do swych wojowników. Słowa te odpowiadają pojęciu: łysa gowa. Odtąd przez pewien czas u Czarnych Stóp przyjęła się „łysa głowa” jako nazwa kanadyjskich dolarów.

To wielka wartość i siła! – powtórzył Kanadyjczyk z oznakami niecierpliwości.

Krocząca Dusza zgarnął trochę gliny, ulepił z niej kulę i włożył do ogniska. Kula rozgrzała się, lecz nie pękła. Wódz zwrócił się do agenta:

–A teraz daj mi garść twoich pieniędzy. Wsadzimy je do ognia obok glinianej kuli. To, co prędzej ulegnie płomieniom, okaże się mniej wartościowe.

Agent potrząsnął głową:

–Moje pieniądze prędzej się spalą, bo są z papieru. To ni czego nie dowodzi...

–Zatem zróbmy inaczej – poddał Krocząca Dusza.

Wyjął z pasa skórzany woreczek wypełniony suchym piaskiem i wręczył go Kanadyjczykowi:

–Wysyp piasek na swoją dłoń, licz ziarenka. Ty mi daj twoje pieniądze, będę je również liczył. To, co szybciej da się

policzyć, przedstawia mniejszą wartość.

Agent spojrzął do woreczka i szybko zwrócił go wodzowi:

–Bawisz się w dowcipnisia! Nie policzyłbym ziarenek piasku i do końca życia.

Rozumie się, że szybciej policzysz moje pieniądze.

–W takim razie – oświadczył Krocząca Dusza – nasza ziemia ma większą wartość niż wasze dolary. Ziemia nasza trwać będzie wiecznie. Od niezliczonych pokoleń żyją na niej ludzie * i zwierzęta. Nie możemy sprzedawać życia ludzi ani zwierząt. Wielki Duch stworzył dla nas tę krainę. Wam łatwo policzyć wasze pieniądze i obrócić je w popiół, ale tylko Wielki Duch zdolny policzyć ziarna piasku i źdźbła trawy na naszych preriach...

Agent przyjął odmowę bez widocznego gniewu. Nie chcąc zapewne palić mostów za sobą oznajmił spokojnym, ba, życzliwym głosem:

–Przysłała mnie tutaj Wielka Biała Matka ¹, panująca nad tym olbrzymim krajem począwszy od Kewatinu, Krainy Północnego Wiatru, poprzez Kisisaskatchewan, Bystrą Rzekę, aż do samego Morza Zachodniego. Wielka Biała Matka życzy sobie, aże byście zawarli z nami umowę i żyli w pokoju pod naszą opieką. Wy nigdy nie dojdziecie do ładu z „niebieskimi mundurami”, Angielska królowa Wiktorja.

z Amerykanami. Więc jeśli was będą prześladowali, przyjdźcie ufnie do nas. Zawsze spoglądajcie ku północy i wiedźcie, że tu kraj waszych przyjaciół „czerwonych mundurów”, Królewskiej Konnej Policji. Dobrze wam będzie u nas wśród waszych braci, północnych Siksikau.

Na pożegnanie Kanadyjczyk obrzucił naszą starszyznę wymownym, przenikliwym spojrzeniem i wygrażając palcem, ostrzegł:

–Pamiętajcie, że prerie nie są już te same, jakie opuściliście zeszłej jesieni. Przybyło wielu farmerów ze wschodu i osiedliło się. Nie wolno ich krzywdzić. Ich życie i mienie jest pod specjalną opieką „czerwonych mundurów”. Kto zawini przeciw farmerom, tego Royal Mounted ścigać będzie choćby do samego morza.

–Więc biali osadnicy usadowili się na naszych łowiskach, powiadasz?

–Częściowo tak.

–Jakim prawem? Przecież ongiś rząd kanadyjski zawarł z nami uroczystą umowę i uznał nasze odwieczne prawa do łowisk.

–Słusznie. Ale rząd nasz jest bezsilny wobec żywiołowego pędu farmerów na prerie. Co się obecnie dzieje, dzieje się bez jego zgody.

–Dzieje się bez zgody rządu to, że biali farmerzy odbierają nam łowiska?

–Tak jest.

–To czemu Konna Policja tych przestępców nie przepędzi? Czemu, przeciwnie, bierze ich jeszcze w obronę? Ścigać będzie, jak powiadasz, nas, prawych właścicieli tej ziemi. Za co? Za to, że bronić chcemy naszej własności przeciw tym, którzy ją nam bezprawnie odbierają? Czy to masz na myśli?

Agent nie wiedział, jak uczciwie odpowiedzieć na to pytanie. Wzruszył ramionami i tłumaczył:

–Dlatego właśnie do was tu przyjechałem. Gdybyście zgodzili się na sprzedaż waszej ziemi...

–Nie ma mowy!

W ciągu następnego dnia po rozstaniu się z Kanadyjczykami wyjechaliśmy z wysokich pasm Gór Skalistych. Lesiste podgórze, wznoszące się dokoła nas, stanowiły już granicę naszych łowisk, uznaną przez inne szczepy. Jeszcze dzień jazdy, a zbliżyliśmy się do uroczych dolin, które były właściwym jądrem naszej ojczyzny: w jednej z tych dolin rokrocznie od wielu lat zakładaliśmy nasze zimowe obozy chroniąc się przez kilka najgorszych miesięcy od dojmujących mrozów.

Była to nad wyraz piękna okolica. Piękna w znaczeniu naszym, indiańskim, obfitowała bowiem w żywność. W bród było zwierzyny i zwierząt futerkowych w kniei, ryb w jeziorach. W żartobliwych gawędach nieraz mówiło się, że Wieczne Łowiska po śmierci nie będą piękniejsze, a można było tak mówić, bo także i bujna uroda krajobrazu napawała tu oko i serce rozkoszą nie byle jaką.

Rozmowa z kanadyjskim agentem wywołała w naszym obozie zrozumiałe zaniepokojenie. Postanowiliśmy szybko minąć miejsce zimowych obozów i na północnych preriach odszukać, inne grupy Czarnych Stóp, ażeby dowiedzieć się od

nich czegoś dokładniejszego. Nie opuściliśmy jeszcze podgórzy, gdy zatrważające odkrycie powstrzymało nasze kroki. Znaleźliśmy ślady, świeże ślady białych ludzi, nie tych, z którymi rozstaliśmy się poprzednio. Musieli być w znacznej liczbie i obozowali gdzieś niedaleko. Nie starali się wcale ukrywać śladów i łatwo było naszym zwiadowcom wyśledzić ich obóz.

Wstrząs. Dręczące przeczucia sprawdziły się. W rozległej dolinie, niedaleko naszego miejsca zimowych obozowisk, usadowiło się dwudziestu kilku białych osadników, i to na stałe, jak wynikało z różnych szczegółów. Mieli rodziny i dobytek ze sobą, wznieśli już pierwsze chaty z pni z grubsza ociosanych, a w ogrodzeniach trzymali bydło i konie.

Mając nad nimi liczebną przewagę nie obawialiśmy się spotkania. O jakiś kilometr od osady stanęliśmy obozem na wzgórzu, łatwym do obrony. Wódz Krocząca Dusza i mój stryj Huczący.Grzmot, jako tłumacz, natychmiast udali się w stronę osiedla. Tamci, już przedtem ostrzeżeni, podnieśli alarm. Wszyscy osad-

nicy z bronią w ręku schronili się w największej chacie, przypominającej małą fortecę. Położona nieco z ubocza na wzniesieniu, panowała nad całą doliną.

–Halo! Halo! – wołał do nich wódz z pewnej odległości.

Dopiero po kilku nawoływaniach wyszło z chaty dwóch mężczyzn i zaczęło zbliżać się do wodza i stryja. Strzelby nieśli w ręku, więc nasi pokazali im z daleka, że sami nie mają broni, i głośno krzyczeli:

–*No arms! No arms!* - Bez broni!

Dwaj osadnicy po namyśle złożyli strzelby przed wielką chatą i przybyli do naszych. Jeden z nich, w sile wieku, miał gęsty, ciemny zarost na twarzy, drugi był znacznie młodszy. Były to jakieś nieokrzesane i zarozumiałe osobniki, z góry patrzące na dwóch Indian.

–Czego chcecie? – opryskliwie zapytał brodaty osadnik wykrzywiając znacząco usta.

–Czego wy chcecie? – odezwał się Krocząca Dusza tym samym głosem.

–Jesteś chyba ślepy, że nie widzisz! – i osadnik zatoczył ręką półkole w stronę chat.

–Widzę – odparł wódz – że rządzą się, jak gdyby dolina ta należała od was.

–Ta dolina należy do nas, czerwony bracie!

–Jakim prawem?

–Tym!

Brodacz zniecka podniósł zaciśniętą pięść ku twarzy Kroczącej Duszy sądząc, że go przestraszy gwałtownym ruchem. Wódz ani drgnął.

–Gdzie wkracza cywilizacja białego człowieka – rzekł wyniośle osadnik – tam ustępować muszą dzikie zwierzęta, węże grzechotniki i Indianie. To chcecie zrozumieć!

–Na twoją pięść znajdzie się inna pięść. Jesteśmy dobrze wyposażeni w broń.

–A my posiadamy najnowsze karabiny dwudziestozręczalowe i stanowimy zgraną paczkę pionierów. Przybyłem z połud-

nia, z Colorado, i tam niejednego czerwonoskórego mam na rozkładzie.

–Jesteś tęgi w gębie i odwalasz zucha, ale przychodzisz na naszą ziemię jak tchórzliwy złodziej.

–Mylisz się! To już nie wasza ziemia! Tę ziemię zakupił od was rząd kanadyjski.

–Jeszcze nie kupił, jeszcze nie! A trzy dni temu agent rządu kanadyjskiego namawiał nas, byśmy sprzedali rządowi nasze łowiska. Jeśli tak prosił, to znaczy, że ziemia jest wciąż nasza, czy rozumiesz?

–To chyba wariat.

–Ów agent powiedział jeszcze więcej. Powiedział, że wdzieracie się tu na prerie prawem kaduka, bez zgody rządu. Prawem pięści,, jak przedtem pokazałeś..

–Agent kłamał.

–A ty nie kłamiesz?

•Na tym urwała się rozmowa i nasi wysłannicy wrócili do obozu. Zwołana

natychmiast narada wszystkich wojowników miała burzliwy przebieg. Wielu młodych zapaleńców żądało niezwłocznego uderzenia na bezczelnych najeźdźców i zniszczenia ich osady. Rząd kanadyjski – mówili – musi uszanować swe dotychczasowe traktaty i stanie po stronie Indian. Doświadczeń-si wojownicy byli przeciwnego zdania i żądali, żeby porozumieć się w pierw z innymi grupami Czarnych Stóp, zanim przedsię-weźmiemy wrogie kroki przeciw osadzie. Ci rozważniejsi byli w większości. Ich zapatrywanie zwyciężyło.

Oddaliliśmy się o kilkanaście kilometrów i rozbili obóz w małej, ukrytej dolinie. Za sobą skrzętnie zacieraaliśmy wszelkie ślady, ażeby osadnicy nie wiedzieli, gdzie byliśmy. Liczni wysłańcy popędzili od nas na najlepszych koniach na południe, wschód i północ z zapytaniem do szczepów, co czynić, i z żądaniem posiłków.

W tym czasie wywiadowcy stale pilnowali osady. Trudno było utrzymać naszych młodych wojowników w korbach. Palili się do walki. Starszyna miała w tych dniach wiele z nimi kło-

potu, jednak na ogół karność zwyciężyła. Niektórzy tylko szli na wzgórza w pobliżu osady i pokazując się z daleka z bronią w ręku niepokoiли mieszkańców.

Obecność białych osadników w tej pięknej, podgórskiej okolicy zwała się na nas jak bolesny cios. Doliny te uważaliśmy za nasze święte miejsca. Uosabiały nam wszystko co najmiłsze i ojczyście. Tu chroniliśmy się od niebezpieczeństw zimy i wrogich szczepów. A oto brutalni, napastnicy zburzyli spokój i obcymi butami deptali nasze uroczne łąki. Nie tylko wydzielali nam ziemię, lecz na domiar grozili tępieniem nas na równi z dzikimi zwierzętami.

Po kilku 'dniach zaczęły napływać wiadomości od innych oddziałów szczepu. Brzmiały niepomyślnie, wręcz przygnębiająco. W wielu okolicach było to samo. Pojawiali się biali osadnicy i nikogo nie pytając zakładali osady w na jżyźniej szych dolinach. Wystąpienie przeciw nim z bronią w ręku w obecnych warunkach byłoby samobójczym szaleństwem. Wszyscy wodzowie nakazywali nam roztropność tym większą, że nasz wpływowy wódz Niokskatos wszczął rozmowy z przedstawicielami rządu kanadyjskiego.

Wobec najazdu farmerów na prerie Alberty nie warto nam było wędrować tam na północ. Postanowiliśmy iść na południe, do Montany, nic złego nie czyniąc osadzie w naszej dolinie. W ostatnich dniach osadnicy okazywali wyraźną chęć wejścia z nami w przyjaźniejsze stosunki. Gdy pewnego razu zetknęli się oko w oko z oddziałem naszych myśliwych, dali im do poznania, że chcieliby jeszcze raz pomówić z naszym wodzem. Krocząca Dusza zgodził się.

Spotkanie odbyło się w tym samym miejscu, co za pierwszym razem. Teraz przyszło kilku osadników. W ich imieniu mówił inny mężczyzna, również brodaty. Od samego początku starał się wywołać korzystne wrażenie:

–Prerie są rozległe i jest w nich dosyć miejsca dla was i dla nas. Przyszliśmy tutaj na skutek zapewnienia rządu, że dał wam za waszą ziemię należyte odszkodowanie. Chcemy z wami żyć w najlepszej zgodzie. Na dowód tego gotowi jesteśmy

13 Mały Bizon

zapłacić wam hojną cenę ze te grunty, które leżą dokoła naszego osiedla.

–Nie ma takiej ceny – odrzekł Krocząca Dusza.

–Każda rzecz ma swoją cenę – podkreślił osadnik z ożywieniem. – Chętnie odstąpimy wam to, co uważamy za najcenniejsze, nasz żywy inwentarz. Damy wam pięć sztuk naszego bydła za ziemię, którą można przejechać kłusem w ciągu jednego letniego dnia od wschodu słońca do zachodu.

Była to śmiesznie niska cena za taki kawał ziemi. Ze słów osadnika przebijała bezczelność albo ukryte szyderstwo.

–Nie! – krótko odparł Krocząca Dusza i zabierał się do odejścia.

–Zastanów się dobrze, wodzu! Korzystaj z okazji tak długo, dopóki jesteśmy w dobrym humorze. Źle będzie z wami, kiedy stracimy cierpliwość... Przeznaczone dla was bydło umieścimy tam oto, w tym korralu ¹ w dolinie z dala od osady. Możecie je stamtąd każdej chwili zabrać, oczywiście za odpowiednim pokwitowaniem, że legalnie kupiliście od was tę ziemię.

Osadnicy chcieli nabyć „legalnie” za bezcen olbrzymi szmat ziemi, rozleglejszy niż niejeden powiat w Europie. Widocznie już przewidywali przyszłą spekulację ziemią wobec spodziewanego napływu nowych przybyszów ze wschodu.

–Nie! – powtórzył wódz- i to było jego ostatnie słowo do osadników.

W okolicy przebywaliśmy jeszcze przez kilka dni nie ukrywając się zbyt przed mieszkańcami osady. Jak zapowiedział ich rzecznik, wyprowadzili pięć sztuk bydła i zamknęli je w małym ogrodzeniu w pobliżu rzeczki. Niektórzy z naszych, zdjęci ciekawością, szli tam, by z bliska przyjrzeć się „naszym krowom”. Wracali przepelnieni obrzydzeniem. Śmierdziały.

Starszy brat, Mocny Głos, dał mi tajny znak ręką. Wyszedłem za nim z namiotu.

•- Czy pójdziesz ze mną? – zapytał, gdy byliśmy sami.

–Dokąd?

¹ Korral – ogrodzenie.

–Do krów w dolinie.

–Pójdę.

Starsi surowo zakazali nam, chłopcom, przebywania bez opieki w pobliżu osady. Osadnikom nie można było ufać. Dla niepoznaki wyszliśmy z obozu w zupełnie innym kierunku, poza wzgórzami zatoczyli koło i znaleźli się przy krowach w dogodnej chwili, kiedy nikogo z Czarnych Stóp nie było w dolinie. Podeszedłszy pod samo ogrodzenie byliśmy o kilkanaście kroków od bydła. Staliśmy z wiatrem. Paskudny słodkawy zapach doprowadzał nas do mdłości i szybko pobiegliśmy na drugą stronę, od wiatru.

. Były to dwie krowy, dwa woły i byk. Zdechłaki, najwidoczniej chore sztuki. Poznaliśmy to na pierwszy rzut oka po ich chudości i zwieszonych łbach. Nawet tutaj

osadnicy chcieli nas oszukać. Jedynie byk okazywał 'trochę życia i ujrzawszy nas smętnie zaryczał raz i drugi.

–Nie lubi nas! – zachichotał Mocny Głos.

–My go też nie! – robiłem ze siebie junaka. Mieliśmy przy sobie nasze łuki, brat większy, ja mały łuk.

–Może by tak wpakować mu strzałę w śmierdzące cielsko? Mocny Głos spojrzał na mnie pytająco.

–Oj, nie! – przeraziłem się. – Nie zabijaj go!

–Nie myślę o zabijaniu! Ale jedną strzałę w chudy zadek, co? Jak myślisz, podskoczy byk czy nie?

Nie wiedziałem, czy podskoczy. Zagadnienie, jak zachowa się byk, dręczyło nas okropnie. Coraz silniej brała nas pokusa, długo nie podobna było się jej opierać. Postanowiliśmy posłać bykowi strzałę, ale z mniejszego, mojego łuku. Mniejsza strzała nie wyrządzi zbytnej szkody, a zadośćuczyni nam, sprawi należytą przyjemność.

Brat strzelił trafiając w sam środek szynki. Strzała wbiła się na długość palca. Ku naszemu zdumieniu byk podskoczył gwałtownie i głośno zaryczał. Czynił rozpaczliwe wysiłki, by pochwycić pyskiem wbitą strzałę. Na taki widok ogarnęło nas wielkie zadowolenie, porwał nas chłopięcy zachwył. Poczuliśmy

się, szlachetnymi mścicielami poniesionych krzywd. Byk uosabiał w naszych oczach zachłannych osadników. Dorosłym mieliśmy za złe, że „stchórzyli”, więc wygarnięcie bykowi strzały ratowało nasz honor. Ze śpiewem zwycięstwa na ustach wracaliśmy do obozu postanawiając nic nikomu na razie nie mówić.

Następnego dnia o świcie ruszyliśmy na południe. Faliste prerie i zaciszne doliny Montany wydawały nam się rajskim schronieniem wobec przykrości, jakie spotykaliśmy na północy, w Kanadzie. Naszym myśliwym powiodło się zaskoczyć stado antylop i ubić kilkanaście sztuk. Dobry początek ożywił nasze nadzieje i dodał nam otuchy. Koniec wiosny upływał wśród pięknej pogody. Świat ciepłego słońca zdawał się od nowa uśmiechać.

W odległości około dwóch dni jazdy od rzeki Missouri tumany kurzu na wschodnim widnokręgu ściągnęły na siebie naszą uwagę.

–Bizony!! – ktoś pochopny nie mógł opanować swej radości.

Po chwili wyjaśniło się, że to nie bizony, lecz długi łańcuch wozów emigranckich. Ze wschodnich stanów ciągnęli osadnicy. Jechali w naszym kierunku. Zatrzymaliśmy się na wzgórzu, by przepuścić ich obok siebie. Więc i tu, w Montanie, to samo co na północy: biali ludzie wpychali się na nasze prerie.

Powoli wlokło się kilkadziesiąt wozów. W każdym zaprzęgu szło po kilka lub kilkanaście wołów. Dokoła wozów uwijali się liczni jeźdźcy. Spostrzegłszy nas zawahali się, lecz potem podjęli na nowo jazdę nie zbaczając z dotychczasowego kierunku. Utworzyli szyk bojowy, broń trzymali w pogotowiu. Mijali nas o niespełna trzysta kroków. Staliśmy nieruchomi jak ze skały, w zupełnej ciszy. Osadnicy przejeżdżali obok nas również w milczeniu, w nerwowym napięciu bacząc, co zrobimy. Zgrzyt skrzypiących osi szarpał powietrze. Szarpał po raz pierwszy w tych stronach.

Kilkunastu jeźdźców pilnowało ostatnich wozów

–Hauk! – rozległ się przytłumiony okrzyk wodza, Kroczącej Duszy. – Ten trzeci jeździec od końca! Widzicie go?

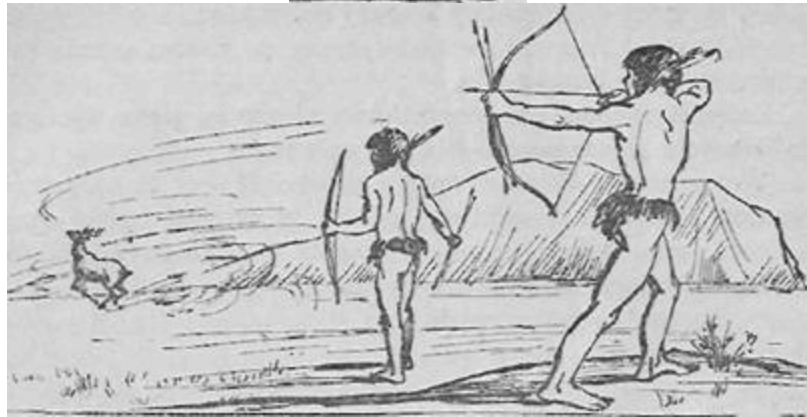
–Ruxton! – zdumiony szepnął moj ojciec.

–Ruxton! Ruxton! – (rozniosło się po naszej grupie jak groźny pomruk burzy.

Żadnym ruchem nie zdradziliśmy wrażenia, jakie wywołało odkrycie złowieszczonego dla nas człowieka.

Wozy minęły. Wódz chciał się przekonać[^] czy to na pewno Ruxton. Posłał za wozami wojownika, który miał bystre oczy, a dobrze znał Amerykanina. Wojownik pocwałował niedaleko tylnego oddziału osadników i szybko wrócił.

–Ruxton! – potwierdził.



DWIE NOCE

Obecność na preriach Ruxtona, złodzieja indiańskich koni, nie wróżyła nic dobrego i zbudziła na nowo naszą czujność. Posiadanie wielkiej ilości mustangów przysparzało nam chwały i zamożności, lecz niestety i dodatkowych kłopotów strzeżenia stada. Dla pewności wódz Krocząca Dusza pchnął za osadnikami dwóch wywiadowców. Był ciekawy, dokąd wychodźcy zmierzają i co knuje Ruxton.

Już pod wieczór następnego dnia wrócił jeden z wysłańców z wiadomością, że poprzedniej nocy Ruxton i trzech innych odłączyło się od osadników, i pojechało z powrotem, jak gdyby ku miejscu naszego spotkania się z nimi. Wychodźcy dążyli dalej na zachód. Wywiadowca początkowo widział ślady Ruxtona w trawie. Potem spadł silny deszcz i zatarł ślady.

Natychmiast Krocząca Dusza rozesłał na zwiady w kilku kierunkach patrole wojowników, ażeby przetrząsnęły okolicę naszego obozu. Przedpołudniowy deszcz zamazał co prawda wszystkie ślady uprzednie, lecz tym wyraźniej zaznaczały się

198

ślady wyciśnięte po południu po deszczu. Patrole nasze łatwo wyszperały, co się działo w tym czasie: Ruxton w istocie przybliżył się do naszego obozu, przez pewien czas śledził go z daleka, następnie z towarzyszami odjechał w południowym kierunku. Na południu rozciągała się kraina Wron. Czyżby do nich jechał?

Zależało nam na tym, żeby być jak najdalej od białych wychodźców i od Ruxtona. Poszliśmy na wschód. Przez kilka tygodni wędrowaliśmy między rzekami Missouri i Mleczną a podgórzami Gór Skalistych. Bizonów nie było tam wcale, innej zwierzyny mniej niż w poprzednich latach. Koni naszych pilnowaliśmy jak oka w głowie i nocami wystawiali dokoła nich liczne straże.

W tym okresie nas, chłopców, ogarniała niezwałczona chęć włóczenia się samopas. Wycieczki nasze trwały nieraz po kilka dni. Polowaliśmy na preriach z łuków i strzelby, jaką jeden z towarzyszy po kryjomu zabrał swemu ojcu. Żyliśmy z drobnej zwierzyny i marzyli o wielkich przygodach.

Pewnego dnia znaleźliśmy się w piątkę i kilkanaście kilometrów od naszego obozu. Ustrzeliliśmy sobie kilka przepiórek stepowych i piekli je na ogniu, ukryci w krzakach niedaleko brzegów jakiejś rzeczki.

Nagle usłyszeliśmy po drugiej stronie wody głosy chłopięce w języku obcego szczepu. Chwyciwszy za broń pośpieszyliśmy na miejsce, gdzie łatwo było przejść rzekę w bród. Nie omyliliśmy się. Przybysze zmierzali w tę stronę. Wesoło gwarząc, po drodze zbierali do skórzanych wiader jagody saskatunu. Naliczyliśmy ich czterech. Byli w naszym wieku.

Skoro tylko przeszli przez rzekę na nasz brzeg, wyskoczyliśmy z ukrycia i wtykając im pod nosy broń wrzasnęliśmy groźnie:

–Stać, szczeniaki! Jesteśmy Czarne Stopy, zabijemy was!

Skutek był piorunujący. Napadnięci krzyknęli z przerażenia i nie mając czym się bronić zasypali nam twarze jagodami saskatunu ze swych wiader. Wobec niespodziewanego deszczu, nas

z kolei ogarnęło zmieszanie i odskoczyliśmy o kilka kroków. Nie wiedzieliśmy, co czynić dalej. Gapiliśmy się na siebie z otwartymi ustami, jak gdybyśmy spadli z obłoków. Naraz, jednocześnie, wszyscy buchnęli wesołym śmiechem. Za pomocą znaków zapytaliśmy ich, kto oni, z jakiego szczepu

–Wrony – odpowiedzieli ruchami.

–Z jakiej grupy Wron?

–Okotok.

Jak cień złego ducha stanęło mi przed oczyma wspomnienie wypadków sprzed roku: napad Wron Okotok na obóz stryja Huczącego Grzmota i śmierć kuzyna Kosmatego Orlątka.

–To jesteście naszymi wrogami! – zawołaliśmy.

–Tak jest – przyznali nieśmiało.

Brat Mocny Głos wszedł z nimi w układy:

–A umiecie bawić się?

–W co?

–Bieganie na wyścigi.

–Nie ma lepszych nóg niż nasze – pochwalili się.

–A urządzenie wyścigi konne?

–Na każdym postoju.

–A zawody strzelania z łuku? :- Codziennie.

–A lubicie pływać.

–I jak jeszcze!

To rozstrzygnęło. Uznaliśmy ich za przyjaciół i zaprosili do naszego ogniska na przepiórki. Przepiórki tymczasem przypaliły się, ale i tak nam smakowały. Szybko zapomnieliśmy o nie-pirzyjaźni, dzielącej naszych ojców. Było nam dobrze z nimi. Postanowiliśmy wspólnie przenocować. Ile mieliśmy sobie do opowiadania! Z niedowierzaniem odkrywaliśmy, że oni o wielu sprawach tak samo myśleli i tak samo je odczuwali jak my.

–Czy to nie dziwne? – pytał nas Mocny Głos na boku.

–Bardzo dziwne – odrzekliśmy.

–Jak się nazywasz? – zapytał brat najstarszego Okotok.

–Czarny Mokasyn. A ty?

–Mocny Głos.

Chcieliśmy obejrzeć ich łuki. Mieli tylko jeden. • – Co, tylko jeden łuk? I tak opuszczacie obóz, z jednym łukiem.

–Wyszliśmy zbierać jagody.

Zbadaliśmy ich łuk. Był niezły. Jeden z naszych oświadczył:

–U nas nikt nie wychodzi bez broni. Patrzcie, mamy na wet strzelbę.

–Kto z was umie z niej strzelać?

–Wszyscy – skłamáliśmy, ale szybko przyszło opamiętanie: – Prawie wszyscy. My jesteśmy myśliwi! Saskatuny zbierają u nas tylko kobiety i dziewczynki.

–Ja też zbierałem – wysnęło mi się, za co starsi towarzysze zgromili mnie karcącym spojrzeniem...

–Dzieci u nas zbierają, owszem! – zdruzgotał mnie do cna ton lekceważenia.

Musiałem przywrócić sobie poważanie. Miałem do opowiedzenia historię dość podniecającą, by zaciekawić nią Wrony. Zapytałem ich:

–Kto z was ubił bizona? Okazało się, że nikt.

–A mój brat, Mocny Głos, ubił zeszłego roku bizona z łuku.

–Naprawdę? – zdumieni się Wrony.

–Taki tam bizon! – skromnie machnął brat ręką, ale widać, był bardzo zadowolony.

–Bizon był potężny jak niedźwiedź grizzly! – zapewniałem.

–E? przesadzasz. Nie był większy niż czarny niedźwiedź!

–tłumaczył brat. – Wsadziłem w niego tylko sześć 'Strzał. On

–brat wskazał na mnie – wpakował siódmą strzałę, wtedy bizon przestał żyć. Miał twarde życie.

–Hauk, hauk! – Wrony nie przestawali się dziwić.

Wodzili po nas życzliwym spojrzeniem. Czarny Mokasyn ubolewał:

–Szkoda, że nie mamy fajki. Wypalilibyśmy na wieczną naszą przyjaźń.

201

–Pozostaniemy przyjaciółmi i bez fajki! – zaręczył Mocny Głos.

Jeden z Wron chcąc się poszczycić podał nam do wiadomości:

–A w naszym obozie mamy teraz czterech Amerykanów.

–Wiemy o tym! – pochwalił się Mocny Głos wydymając wargę. – To Ruxton i jego trzech towarzysze.

Na twarzach Wron malował się niekłamany podziw:

–Przed wami nic się nie ukryje!

–Nic – odparł brat skromnie. – Ruxton to bardzo zły człowiek. Ale wy, Wrony, go lubicie.

–Nie wszyscy! – sprzeciwił się jeden z Wron. – Mój ojciec gniewa się na niego.

–Mój też! – przyznał inny.

Rozmowa przeszła na temat naszego zeszłorocznego napadu na obóz Ruxtona i Wron, kiedyśmy odebrali im czterdzieści koni. Chłopcy znajdowali się wtedy w ostrzeliwanych namiotach w dolinie. Teraz z niedowierzaniem przyjęli nasze opowiadanie, że my, chłopcy Czarne Stopy, braliśmy czynny udział w napadzie.

–Czy przypominacie sobie waszą zagrodę z końmi? – nalegaliśmy.

–Tak, przypominamy sobie – mówili Wrony.

–Mieście konie tuż obok rzeki, a my czailiśmy się_ na drugim brzegu rzeki.

–Tak blisko? I nie baliście się?

–Nie było czasu na bojaźń – godnie odparł Mocny Głos. – W bitewnej wrzawie, wśród gradu kul hartowały się nasze serca.

Po tych wzniosłych słowach brata nastąpiło na chwilę 'milczenie. Przerwałem je:

–A wy, Wrony, baliście się wtedy? Powiedzcie prawdę?

–Trochę.

To szczere przyznanie się bardzo nas ujęło. Powiedzieliśmy sobie, że nie będzie lepszych przyjaciół niż Czarne Stopy i Wrony Okotok. Z tym uczuciem ułożyliśmy się do snu i spali blisko

siebie, jeden obok drugiego, wzajemnie się ogrzewając. Rano następnego dnia pożegnaliśmy się. Każda grupa poszła do swego obozu.

W miarę zbliżania się do naszych rodziców zaczęły niepokoić nas wątpliwości i nieczyste sumienie. Od wielu tygodni nasi ojcowie o niczym innym nie mówili przy ogniskach, jak o niebezpieczeństwie ze strony Wron Okotok. Czy teraz mieliśmy się przyznać, że spotkaliśmy ich chłopców i że było nam z nimi tak dobrze? Nie i jeszcze raz nie! Chłopięcy honor nakazywał nam zachowanie tajemnicy i obronę za wszelką cenę naszej przyjaźni z chłopcami Okotok. Na widok namiotów obozowych nas pięciu podało sobie dłonie i przysięgło milczenie.

W obozie zastaliśmy wszystko w porządku. Nikt nie zwracał szczególnej uwagi na nasz powrót. Niejeden raz urządzaliśmy takie wycieczki. Matka, jak zwykle, przywitała mnie pytaniem:

–No, jak tam było? Dobrze?

–Dobrze, mamo.

–Przeżywaliście coś ciekawego?

–O, tak!... Nie, nie, właściwie nie!

Matka uważniej spójrzała na mnie, a ja odwróciłem od niej twarz. Nic nie mówiąc dała mi obficie jeść. Z tych samodzielnych wypraw człowiek zawsze wracał wygłodniały jak wilk. Zjadłem potężny kawał pieczeni z jelenia i popadłem w błogie rozmarzenie. Rodzinny namiot był przytulny, bliskość matki kojąca.

–Mamo! – odezwałem się. – Czy to jest coś złego, gdy ma się wielu przyjaciół?

–Przeciwnie, Bizonku! Im więcej przyjaciół, tym lepiej dla człowieka.

–Ja też tak myślę... To nic złego.

Ogromnie świerzbiał mnie język. Matka była taka dobra, godna nieograniczonego zaufania. Lecz ani na chwilę nie zapomniałem o podaniu towarzyszom ręki i o przysiędze milczenia. Nie, ja ich nie zdradzę! Z matką, nie domyślającą się niczego,

203

można było prowadzić niewinnie chytrą, zamaskowaną rozmowę śmiejąc się w duchu, że matka nic nie wie.

–Czy wszyscy Wrony Okotok są złymi ludźmi? – zapytałem.

–Wojowaliśmy z nimi przez wiele pokoleń – odrzekła matka. – Oni zabijali Czarne Stopy, (my zabijaliśmy Wrony. Oni mówią, że jesteśmy, złymi ludźmi, my mówimy, że oni są złymi ludźmi. Czy ja wiem, gdzie leży prawda?

–Może nigdzie? – podchwyciłem. – Może oni są dobrzy tak samo jak my?

–,To bardzo możliwe...

Matka krzątała się w namiocie robiąc porządki i wcale na mnie nie patrzyła. Coś* mnie ciągnęło za język.

–Mamo – powiedziałem – a gdybym przypadkiem, tak zupełnie przypadkiem, zaprzyjaźnił się z kilku chłopcami Okotok, czy bardzo byś się gniewała?

Matka przerwała pracę i patrząc na mnie zaciekawiona, podeszła blisko.

**–Pytam się tylko, mamó, tak sobie. Pytam się! – truchle
jąc sadziłem się na niewymuszony ton.**

**Matka stanęła nade mną i badawczym, przenikliwym wzrokiem wpiła się w moje
oczy.**

–Bizonku – rzekła powoli – z kim spotkaliście się na ostatniej wycieczce?

**–Z nikim, mamó, z nikim. Polowaliśmy na przepiórki, zbieraliśmy jagody saskatun,
opowiadaliśmy sobie przy ognisku, gawędziliśmy.**

–Bizonku, gdzie spotkaliście się z chłopcami Okotok?

Moje okropne przerażenie:

**–Mamó, czy ja coś mówiłem o chłopcach Okotok? Przecież
nic...**

**Matka zerwała się i wypadła z namiotu. Pędziła niedaleko, gdzie siedział ojciec z
'kilkoma wojownikami. Coś szybko im prawiała wskazując w modm kierunku. Tamci
porwali się na równe nogi. Jedna przeszyła mnie myśl: uciekać! Wymknąłem**

się z namiotu i jak antylopa popędziłem w głąb obozu. Jakiś namiot stał otwarty. Wbiegłem do środka. Na szczęście nikogo w nim nie było. Obok ściany leżało kilka skór bizonowych. Wtłoczyłem się pod nie i tak ukryty ległem cicho jak mysz. Słyszałem, jak mnie wołano na dworze. Nie ruszyłem się.

Leżałem sporo czasu. Potem przybyli ludzie do namiotu. Przerzucali skóry i odkryli mnie.

–Chodź – rozkazali krótko.

Prowadzili mnie w stronę głównego namiotu. Już z daleka zauważyłem, że stało tam moc ludzi: zebrali się chyba wszyscy z obozu. Na ich widok próbowałem od nowa ucieczki, ale szybko mnie przytrzymało i dalej prowadzono za rękę.

–Co ze mną chcecie zrobić? – jęknąłem płacząco.

–Nie bój się! Głowy ci nie urwiemy!...

Gdy przybyliśmy do głównego namiotu, ludzie rozstąpili się przed nami. Weszliśmy do środka. Ujrzałem tam siedzącą na ziemi starszyznę z wodzem Kroczącą Duszą i czarownikiem Kinasy na czele. Był także ojciec i stryj Huczący Grzmot, a przed nimi stało moich czterech towarzyszy z ostatniej wycieczki. Kazano mi przyłączyć się do nich. Mieliśmy znękaną minę, jak gdyby prowadzono nas na śmierć. Właśnie przesłuchiowano starszego brata.

–Złożyliśmy przysięgę – ponuro zeznawał Mocny Głos – i nic nie powiemy. Nie wolno mi łamać przysięgi.

–Komu złożyliście przysięgę? – wypytywał się Krocząca Dusza.

–Sobie wzajemnie.

–Jako wasz wódz zwalniam was od przysięgi. Mocny Głos zawahał się na chwilę, potem rzekł twardo:

–Nie, nie zdradzę!

Czarownik Kinasy zabrał głos zwracając się do nas pięciu:

–Smarkacze! Bawicie się w przysięgi, a tymczasem bliskie niebezpieczeństwo zawisło nad nami wszystkimi! Chodzi o byt całego obozu. Smarkacze! Natychmiast zaniechajcie opo-

ru, bo inaczej przysięgać będziecie na „Wielki Róg!” Czym to grozi, dobrze wiecie!

Oj, wiedziałem. Ile strachu najadłem się wówczas, gdy z mej winy Płaski Śnieg musiał przysięgać na „Wielki Róg”. Wierzyliśmy ślepo, że krzywoprzysięstwo mści się pewną i rychłą śmiercią.

Nas pięciu spojrzęło po sobie bez słowa... Gdy oczy brata i moje się spotkały, błagalnie kiwnąłem głową. Odpowiedział skinieniem.

–Spotkaliśmy się -' rzekł do starszyny Mocny Głos – z chłopcami... Okotok.

Obecni domyślali się czegoś podobnego, mimo to słowa brata wywarły na nich wielkie wrażenie. Teraz dopiero zaczynało mi świtać w głowie, ile wagi przywiązywano do tej wiado-mości.

–Daleko stąd? – zapytał wódz.

–Dwie godziny konnej jazdy.

Znowu ogólne poruszenie^ że Okotok byli tak blisko naszego obozu.

–Coście z nimi zrobili? Ilu ich było?

–Czterech.*... Nic nie robiliśmy. Rozmawialiśmy, razem nocowaliśmy, mówiliśmy sobie, że...

Mocny Głos ociągał się. Miał wątpliwości, czy powiedzieć.

–Co mówiliście sobie? – nalegał wódz surowo.

–Że... jesteśmy teraz... przyjaciółmi – wyszło drżąco z ust brata.

Starszyzna przyjęła wiadomość dziwnie spokojnie, bez spodziewanego wybuchu oburzenia. Stryj Huczący Grzmot przechylił się do ojca i coś mu szeptał do ucha, po czym wyraźnie widziałem, jak obydwaj, ojciec i stryj, uśmiechali się. Co to miało znaczyć?!

–Czy widziałeś, Mocny Głosie, w jakim kierunku chłopcy

Okotok odeszli od was? – pytał wódz.

–Widziałem. Na południe, a my na północ.

–Czy pamiętasz drogę do miejsca, gdzieście ich spotkali?

–Pamiętam.

–Bądź gotów. Zaraz tam wyruszysz z wywiadowcami.

Żądano jeszcze wyjaśnień w sprawie Ruxtona. Wódz wydał rozkazy i wszyscy rozeszli się do swych namiotów. Mocny Głos z wywiadowcami opuścił obóz, inni wojownicy wzmocnili strażę pilnującą naszych koni na pastwisku. Poza tym życie w obozie toczyło się zwykłym trybem. Nikt. mi wymówek nie czynił. Przeciwnie, rówieśnicy obiegli mnie i musiałem im opowiadać o chłopcach Okotok. Mimo woli poczułem się znowu ważny.

Wywiadowcy potwierdzili bliskość obozu Wron. Zanim noc nastąpiła, spędziliśmy konie do małego ogrodzenia, wzniesionego w bezpośredniej bliskości naszego obozu, a najlepsze wierzchowce każdy uwiązał tuż przed swoim namiotem. Przed naszym stały trzy konie, ojca, brata i mój bułany. Mocny Głos i ja mieliśmy ich pilnować przez noc, podczas gdy ojciec poszedł z wojownikami, sprawującymi strażę poza obozem.

Czuwaliśmy na zmianę, pierwszą połowę nocy ja, drugą połowę brat Mocny Głos. Trzymając w ręku łuk stałem przed namiotem. Pyski koni miałem tak blisko, że mogłem je chwycić. Razem ze mną pilnował -pies Pononka leżąc u moich stóp. Nic osobliwego nie zaszło. Gdy minęła połowa nocy, co poznałem po gwiazdach, zbudziłem brata i sam ułożyłem się do spoczynku.

Spąłem w najlepsze. Przebudziło mnie szarpnięcie za rękę. Natychmiast otrzeźwiałem.

–Wstań szybko! – szepnął brat.

–Co się stało?

–Nie zapomnij łuku i strza! – dodał i już go nie było. Przywołałem po cichu Pononkę i wyszedłem przed namiot.

Gwiazdy zmieniły swe położenie. Było nad ranem, chociaż jeszcze ciemno.

–Nadstaw ucha! – powiedział brat cichuteńko.

W obozie, jak to zwykle, słychać było znane odgłosy. To jakiś pies zaszczekał, pomimo że wszystkie kazano uwiązać w namiotach, to konie się ruszały. Po chwili doszło gdzieś z dalekich wzgórz przytłumione, przewlekłe wycie wilka kujota.

.-2Q.7

–Nie ma księżycy, a tak przeciągle wyje – pouczał mnie Mocny Głos. – To dziwaczne.

Podobne wycie rozległo się na wzgórzu po przeciwnej stronie obozu.

–To nienaturalne – mruknął brat.

Nasi mieli inne znaki porozumiewawcze. Niezwykłe wycie kujotów pochodziło zatem od kogoś innego. Byłem podniecony.

–Może by pobiec do koni i ostrzec nasze warty? – poddałem myśl.

–Po co? – sprzeciwił się brat. – Słyszeli tak samo dobrze jak my. Pilnujmy namiotu, bo tamci mogą wdrzeć się do samego obozu.

Nie bałem się, ale było mi nieswojo na duszy. Pogłaskałem łeb Pononki. Pies niezawodnie poczułby obecność kogoś obcego w pobliżu i zaszczekałby na alarm. Namacaliśmy komę, wzrokiem staraliśmy się przedrzeć ciemności. Tymczasem wycie

kujotów ustało i zapanowała niezmacona -cisza. Może to jednak były prawdziwe zwierzęta?

Nagle – huk wystrzału od strony, gdzie było ogrodzenie z koźmi. Wzdrygnąłem się porażony. Wszystkie psy w obozie zaszczekały gwałtownie. Jeszcze echo nie przebrzmiało w dolinie, a już rozległ się tam huk wystrzałów. Kanonada nie trwała długo. Padło kilkanaście strzałów, potem łomot urwał się i nastąpiła znów cisza, aż w uszach dzwoniło. * – Co to było? – zapytałem brata.

–To nasi strzelali. Widocznie Okotok chcieli się zbliżyć do koni. Uważajmy, bo i tutaj mogą przyjść.

Odgłos strzałów zbudził cały obóz. W namiotach ożywiło się. Zaniepokojona matka wyszła do nas i stała razem z nami. Wschodnia część nieba nasiąkała już szarością świtu. Jutrzenka nadchodziła w spokoju.

Gdy się rozwidniło, wódz rozesłał najzdolniejszych wywiadowców dokoła obozu, a wszystkim innym zakazał na razie wyjścia. Wkrótce wiedzieliśmy ze śladów, co zaszło w nocy. Byli to w istocie Wrony Okotok. Liczny ich oddział podkrał się pod ogrodzenie z koźmi, lecz przepłoszony ogniem naszych

wart, uciekł. W tym czasie inny, mniejszy oddział Wron zbliżył się do obozu z drugiej strony. Strzały przy koniach przestrzegły go o naszej czujności. Tak samo jak tamten poniechał napaści i zawrócił.

Tego dnia wczesnie zwinęliśmy obóz i wyruszyli na północ. Okolica była zbyt niepewna, sąsiedztwo zbyt niebezpieczne.

Przeżywałem straszną rozterkę. Dwie ostatnie noce nie mogły pomieścić się obok siebie w moich chłopięcych pojęciach. Zrodzona jednej nocy szczera przyjaźń z chłopcami Okotok, których ojcowie następnej nocy chcieli nas okradać i zabijać – to brutalnie rozrywało wszystkie nici mego doświadczenia o ludziach. To wywracało cały mój świat uczuć. Jedyne szczęście, że w tej niepewności mogłem uciec się pod ochronę drogich istnień, otaczających mnie dokoła niby tarcze, i widokiem ich krzepić serce: oto mój bułany koń i wierny pies Pononka, oto brat Mocny Głos, oto ojciec i matka, oto stryj Huczący Grzmot, w tej chwili zbliżający się do rodziców; oto długi łańcuch naszej ojczystej grupy, w niezachwianym porządku wędrującej ku północnym prერიom.

14 Mały Bizon



POWRÓT NOCNEGO ORŁA

Po szybkiej jeździe dotarliśmy pod wieczór tego dnia do Rzeki Mlecznej i przeszedłszy ją założyli obóz na jej północnym, lewym brzegu. Podczas gdy ogół rozbijał namioty i wznosił ogrodzenia dla koni, kilkunastu myśliwych, bądź to konno, bądź pieszo, rozproszyło się po okolicy, by zapolować w kniejach nad rzeką. Wnet usłyszeliśmy z oddali odgłosy strzałów.

O zachodzie słońca w obozie powstało wielkie poruszenie. Łowiłem właśnie ryby na skrócie rzeki. Rozległ się okrzyk od strony prerii. Tam na wzgórzu, w ostatnich promieniach słońca, ujrzałem zbliżających się z wysiłkiem dwóch ludzi. Jeden z naszych myśliwych wspierał kogoś drugiego, utykającego na nogę. Kulawy Indianin był bardzo wynędzniały; nawet z daleka rzucało się to w oczy.

Nie dosłyszałem, co nasz myśliwy krzyknął do ludzi w obozie, ale musiało to być coś ważnego. Rzuciłem wędkę i pobiegłem do naszego namiotu. U jego wejścia zastałem matkę, pilnie wsłuchującą się w dalekie odgłosy.

–Co się stało? – zapytałem zaniepokojony.

–Nie wiem, nie wiem – odpowiedziała matka przyciszonym głosem. Była przejęta.

Wtem gwałtownie zadudnił bęben w obozie. Uderzył na alarm. Od razu poznaliśmy po głębokim brzmieniu, że był to wielki bęben czarownika Kinasego. Odzywał się tylko w ważnych wypadkach i przy wielkich uroczystościach. A równocześnie z głębi obozu dochodziły nas rozkazujące wołania:

–Do namiotu wodza! Wszyscy do namiotu wodza! Wszyscy! Przybiegł do nas ojciec z nowiną:

–Nocny Orzeł wrócił!

–Nocny... Orzeł... wrócił? – powtórzyła matka zakrywając ręką otwarte ze zdumienia usta.

–Czy żywy? – dodała z trwogą

–A jakby miał wrócić, kobieto?! Żywy. Dalej, do namiotu wodza!

Powrót Nocnego Orła wzruszył mnie równie silnie jak do-^xrosłych. Jaskrawo stanęła mi w pamięci owa bogata w zdarzenia, noc sprzed roku: po udanym napadzie na obóz Ruxtona i Wron Okotok oczekiwaliśmy powrotu wszystkich wojowników i nie doczekali się jednego, Nocnego Orła. Wtedy to wpadłem na nieszczęsny pomysł przebicia strzałami zwłok czterech poległych wrogów. Z powodu nieprzybycia Nocnego Orła wojownicy zrobili awanturę czarownikowi Białemu Wilkowi.

Przed namiotem wodza paliło się wielkie ognisko. Zastaliśmy tam tłum ludzi, prawie wszystkich z obozu. Nocnego Orła nie było nigdzie widać. Natomiast myśliwy, który go przyprowadził, stał przy ognisku i opowiadał, jak i gdzie go znalazł. •Spotkał go nad rzeką o godzinę drogi od obozu. Nocny Orzeł przykuśtykał przed kilkoma tygodniami nad Mleczną Rzekę, wiedząc, że tu najczęściej przebywaliśmy. Przypadek chciał, że przywędrowaliśmy dziś właśnie w tę okolicę i że nasz myśliwy odkrył jego kryjówkę. Zastał Nocnego Orła wycieńczonego z głodu i kalectwa i tak go przywłókł do obozu.

14*

211

Skończył opowiadanie. Dwóch wojowników wyprowadziło z namiotu mizeraka, chudego jak szkielet. Widmo, nie człowiek, Ostrożnie posadzili go niedaleko ogniska na stosie skór bizono-wych.

Szturchnąłem matkę w bok.

–Mamo – zapytałem – czy to Nocny Orzeł?

–Tak, to on.

–To nie jego duch?

–Nie, to on sam. Bądź cicho!

Przyniesiono mu lekki posiłek z jeleniej pieczeni. Wszyscy przyglądali się w uroczystej ciszy, jak Nocny Orzeł jadł.

–Czy widzisz? – szepnęła do mnie matka. – Duch by nie jadł.

Potem podano mu fajkę, którą Nocny Orzeł długo palił w milczeniu. Wreszcie

ocknął się i usiłował wyprostować grzbiet.

–*Hau ni tuki* - jak się czujesz? – zapytał go wódz Krocząca Dusza.

–*Nit achkse* - bardzo dobrze! – odrzekł Nocny Orzeł.

Powiódł wzrokiem dokoła i chciał się uśmiechnąć, ale wyszło tylko słabe skrzywienie twarzy.

–Bracia – przemówił. – Patrzę na was, jestem znowu

wśród bliskich, serce się weseli... Chcecie znać moje przejścia.

Są dziwne. Słuchajcie.

I zaczął swą opowieść, często przerywając ją na skutek osłabienia. Owej nocy napadu na Ruxtona i Wrony, Nocny Orzeł należał do oddziałów wojowników strzelających ze wzgórza w dół na obóz nieprzyjaciela. Potem z kilkoma innymi zgłosił się na ochotnika do podpalania namiotów, ale wróg miał się na baczności i przepędził ich. Musieli umykać w stronę rzeki. Wtedy dostał kulę, która zraniła mu nogę. Padając zgubił w ciemnościach strzelbę. Upadku jego nikt z towarzyszy nie zauważył, a wołać nie śmiał, bo w pobliżu kręcili się Wrony. Do-czołgał się do rzeki. Walka już ustała. Nie odkryty przez wro-

ga, wsunął się do wody, prąd szczęśliwie go porwał. Płynął spory kawał, potem wypełził na brzeg i chciał zacząć się do nas, do obozu. W rzece wiele utracił krwi, ból szarpał jego kolano. Na łądzie padł nieprzytomny. Gdy przyszedł do siebie, słońce stało już wysoko na 'niebie. Musiał zaniechać myśli dotarcia do swoich. Obawiał się pościgu Wron, więc przeleżał dzień w krzakach nadrzecznych. Wieczorem powlókł się w drogę. Wspierał się na kij. Bezwładna noga dokuczała mu coraz więcej, kilkakrotnie tracił przytomność. Na trzeci dzień nie pozostało mu wiele sił, wszystko dwoiło się w oczach. Nagle usłyszał głosy. Znalazło go dwóch handlarzy, Metysów. Wsadzili go na konia i zawieźli do swego obozu. Dobrzy ludzie opiekowali się nim, jak mogli. Gdy ruszyli na wschód, zabrali go ze sobą. Rana dopiero po długich miesiącach zasklepiła się. Noga była sztywna, skrzywiona w kolanie. Wczesną wiosną obecnego roku wielu amerykańskich górników wędrowało w góry zachodniej Montany, gdzie znaleziono w ziemi złoto. Nocny Orzeł przyłączył się do nich, bo między górnikami spotkał dobrych ludzi, którzy nie szczędzili mu braterskiej pomocy...

–Jak to może być?! – przerwał opowiadanie któryś ze słuchaczy. – Amerykanie – i mimo to dobrzy ludzie? To się jakoś nie klei! I nawet nie szczędzili braterskiej pomocy, tobie, Indianinowi?

–Tak jest. Nie szczędzili mi pomocy.

–To nie byli Amerykanie!

–Byli! Ale masz rację, trochę inni Amerykanie. Co prawda górnicy jak wszyscy inni, tylko widać, bardzo biedni, bo wynajęci przez bossa ¹, byli na jego usługach i dla niego pracowali. Ci biedni górnicy okazywali mi wiele serca...

–To dziwne! To dziwne! – rozlegały się zewsząd głosy i wojownicy nasi po raz pierwszy zaczęli rozumieć, że obok „złych Amerykanów”, z którymi się zazwyczaj spotykali, byli także i dobrzy Amerykanie, właśnie owi „biedni górnicy”.

¹ Boss – przedsiębiorca, pracodawca, przełożony.

Tymczasem Nocny Orzeł opowiadał dalej:

Wśród tych górników było mu dobrze podczas wędrówki na zachód, ale w tej samej karawanie jechał także i pewien lekarz. Gorliwiec ten uparł się, by mu odciąć nogę. Tego Nocny Orzeł nie chciał za nic w świecie. Uciekł od górników i po tygodniach mordercy doczłapał się do Mlecznej Rzeki. Rana na kolanie znowu zaogniła się, trudno mu było polować, głodował. Dziś wieczorem posłyszał nad rzeką skradające się kroki naszego myśliwego. Był ocalony.

Nocny Orzeł skończył opowiadanie. Wzniósł się na swej zdrowej nodze i rzekł podniesionym głosem:

–Niechaj Wielki Duch będzie dla was taki dobry, jaki był dla mnie.

Po tych słowach powstał wódz Krocząca Dusza i odpowiedział:

–Nasz wielki czarownik Biały Wilk nie mylił się. Utajo

ne potęgi udzielały mu słusznych rad. To my byliśmy winni, byliśmy głusi i ślepi, nie rozumieliśmy jego słów. Biały Wilk zapewniał nas, że ty, Nocny Orle, żyjesz. My, nierozumni, nie wierzyliśmy mu. Biały Wilk odszedł od nas na Wieczne Łowiska, ale duch jego unosi się między nami. Raduje się tak samo jak my z twego przybycia. Przynieście mi jego bęben.

Rozpakowano wielki czarodziejski bęben, należący ongiś do Białego Wilka i schowany przez niego własnoręcznie. Po raz pierwszy od roku bęben odezwał się, sam wódz w niego uderzał. Słuchaliśmy w skupieniu, tylko wdowa po Białym Wilku nuciła urywki pieśni, którą czarownik śpiewał przed śmiercią. Noc dawno już zapadła, wiatr pędził po preriach i targał nasze ognisko, psy zanosły się od wycia.

Po chwili do odgłosów przyłączył się drugi bęben obecnego czarownika Kinasego. W ten sposób Kinasy oddawał należną cześć swemu poprzednikowi i może chciał jednocześnie zwrócić uwagę na to, że on jest teraz czarownikiem naszej grupy. Kinasy nie był wolny od zazdrości.

Gdy bicie bębnow ucichło, wódz powiedział:

–Czuję, że Biały Wilk jest dziś tutaj. Otacza nas swa opieką.

Wszyscy obecni czuli to samo. Ja wtedy mógłbym przysiąc, że słyszę Białego Wilka.

Zjawienie się Nocnego Orła było dla nas wydarzeniem szczególnie doniosłym. Jako prymitywni ludzie, ślepo wierzyliśmy w niewidzialne siły i ich przepotężny wpływ na nasze życie. Zdarzenie sprzed roku, rzekoma pomyłka w uroczystej przepowiedni Białego Wilka nie tylko rzucała cień na wiarogodność czarownika, lecz pozostawiała nas w niepewności, czy niewidzialne siły nie odwróciły od nas życzliwego oka. A oto powrócił Nocny Orzeł, dowód namacalny tego, że Biały Wilk przepowiadał zgodnie z prawdą i że duchy były jemu i nam przychylnie; wszystko to było oczywiście przypadkowym zbiegiem okoliczności, składającym się na korzyść Białego Wilka.

Powszechna radość w obozie, wywołana powrotem Nocnego Orła, zrodziła wielkoduszny pomysł. Po szybkim uzgodnieniu poglądów między wodzem Kroczącą Duszą a czarownikiem Kinasy zwołano jeszcze tej samej nocy wszystkich 'mężczyzn na wielką naradę. W pośrodku rozniecono olbrzymie ognisko. Ci wojownicy, którzy przykucnęli nieco dalej od światła, zlewali się całkowicie z ciemnością nocy, tylko w ich oczach błyszczało odbicie blasku ognia.

–Wielki dzień – rozpoczął wódz – wymaga odpowiedniego uczczenia. Wrony Okotok nie zabiły Nocnego Orła..W taki dzień trzeba mieć serce na właściwym miejscu. Czym najlepiej uczcimy pamięć Białego Wilka? Podaniem Wronom Okotok ręki do zgody...

–Zeszłej nocy chcieli nas napaść – rozległ się ostrzegawczy głos z boku.

–W taki dzień należy rozproszyć swą nienawiść, rozbroić gniew. Spotykały nas od nich krzywdy, ale cięższe porażki my im zadawaliśmy...

–A Ruxton? On siedzi u nich.

–Jeśli dwa szczepy chcą uczciwie zgody, nie ma siły, która by temu stała na zawadzie. Pokój unieszkodliwi Ruxtona... Czy jest kto przeciw temu?

Nikt się nie zgłosił.

–Wszyscy są za pokojem?

–Tak, tak, wszyscy – odpowiedziano hurmem.

O świcie Krocząca Dusza wysłał posła w kierunku południowym z poleceniem, by odnalazł obóz Wron Okotok, przedłożył ich wodzowi, naszą wolę zawarcia pokoju i wręczył mu symboliczny dar w postaci tytoniu kinikinik. Pozostaliśmy na tym samym miejscu, nad Rzeką Mleczną, za to tym pilniej zachowywaliśmy środki ostrożności. Trudno było przewidzieć, co odpowiedzą Wrony,

Odpowiedzieli jak najprzychylniej. Na piąty dzień wrócił wysłannik i przywiózł od ich wodza, jako zapowiedź przymierza, paczkę „wschodnio-indyjskiego tytoniu”, to jest tytoniu białego człowieka. Wysłannik, zdając naszej starszyźnie sprawę, szczegółowo jej opisał, co zastał w obozie Wron.

-Znam trochę ich język – mówił. – Widziałem, wielu chce z nami pokoju.

-Czy był u nich Ruxton?

-Był. Ale Wrony bardzo go nie lubią. Rozpija ich i namawia do kradzieży koni jak zeszłego roku. Przynosi im wielkie zyski.

-To może ulegną mu.

-Już nie. Kraść konie coraz trudniej. Przed pięciu dniami przekonali się o naszej czujności. To była pożyteczna nauka. Przestrzegła ich.

-Więc co zrobią z Ruxtonem?

-Chcą go przepędzić. Na pewno go przepędzą. Z nami pragną zejść się w połowie drogi, nad wielkim skrzyżowaniem Rzeki Muszlowej, i tam wypalić fajkę pokoju.

**–Czy miałeś czujne zmysły? – Wódz przeszył wystannika przenikliwym wzrokiem.
– Czyś uważał na wszystko, czyś bacznie śledził wyraz ich oczu i nadstawiał ucha na każdy szept, a nie dałeś się omamić? Czy możesz zaręczyć, że Wrony nie gotują postępu, lecz szczerze chcą pokoju?**

–Miałem czujne zmysły. Nadstawiałem ucha. Wrony chcą pokoju.

–Hauk, hauk! – Wojownicy nasi wyrażali swe zadowolenie.

Do wielkiego skrętu Rzeczeki Muszlowej było półtora dnia drogi. Przybyliśmy tam pod wieczór następnego dnia. Wron jeszcze nie było. Wybraliśmy nad rzeczką łączkę tak rozległą, że mogła pomieścić dwa ludne obozy w należyтым od siebie odstępie. Tym razem mniej zważaliśmy na względy bezpieczeństwa, natomiast więcej na dogodną bliskość wody, opału i paszy dla koni.

Nazajutrz rano straż na południowym wzgórzu zawiadomiła nas o zbliżaniu się licznej grupy ludzi. Wrony Okotok podjeżdżali w zwykłym porządku i w wielkim spokoju, jak gdyby nas, ich dotychczasowych wrogów, wcale nie było w pobliżu. Jednak wśród tych pozorów powszedniości uderzył nas znamieny szczegół; wszyscy Wrony, zarówno mężczyźni, jak kobiety i nawet dzieci, byli odświętnie ubrani. Mężczyźni mieli twarze pomalowane na różne barwy i wspaniale wyglądali w swych orlich piórach na głowach, a niektórzy wybitniejsi wojownicy nałożyli długie pióropusze. Wykwintnym strojem Wrony zamierzali uwydatnić uroczystość chwili, okazać swe poważanie dla nas; tak wyraźne objawy grzeczności ze strony niedawnych wrogów bardzo nas ucieszyły i napełniały dumą.

Wódz Krocząca Dusza wysłał naprzeciw Wronom powitalne poselstwo wojowników, mające im wskazać miejsce obozowe na końcu łąki, nieoficjalnie zaś polecił kilku wywiadowcom, by wysłedzili, czy w gronie przybyszów znajduje się Ruxton i jego zgraja. Wkrótce Wrony rozłożyli się obozem, a wywiad stwierdził nieobecność Ruxtona, co nas uspokoiło.

Na łące, między obozami, rozniecono po południu kilka

ognisk. Tutaj zeszła się starszyzna obydwóch szczepów w otoczeniu wszystkich wojowników. Nasi przyodziali się również w swe najlepsze stroje i gdy jedni i drudzy siedli na ziemi naprzeciw siebie, stworzyli najpiękniejsze zjawisko, tak barwne, że jeszcze po wielu latach wspomniano ten niezwykły widok ze wzruszeniem i zachwytem.

Nam, chłopcom, pozwolono z bliska przyglądać się naradom. We mnie ścierały się sprzeczne wrażenia. Wron Okotok, od wielu pokoleń naszych zaciętych wrogów, nie wyobrażaliśmy sobie inaczej niż jako znenawidzonych potworów, pozbawionych ludzkich uczuć, o odrażających gębach straszyleł. Z ich istnieniem kojarzyły się nasze pojęcia stałej grozy, gwałtownej śmierci, skalpów-czupryn odciętych z naszych głów lub z ich głów. A teraz widziałem ich przed sobą o kilkanaście kroków jakże innych: godnych, strojnych, przyjaznych, takich samych ludzi jak my. Doprawdy trudno było uwierzyć, że to straszni Okotok.

Narady nie przeciągały się długo i miały ustalony tradycją przebieg. Przemawiali obydwaj wodzowie. Najpierw głos zabrał wódz Wron. Potem Krocząca Dusza przemówił tymi słowami:

–Byliśmy nierozumni, my, Czarne Stopy, i wy, Wrony. Zwalczaliśmy się przez całe nasze życie i życie naszych przodków. Z jakiego powodu? Czy dlatego, że jesteśmy tego samego koloru skóry? Dziś przetarły się nasze oczy, okres wojny należy pogrzebać. Mamy tylko jeden wspólny front – to front przeciwko zaborczości białego człowieka. Póki wschodzić będzie słońce na niebie, a trawa na ziemi, póki kroczyć będziemy na dwóch nogach, tak długo nic nie zamąci naszego pokoju z Wronami Okotok. Gdybyście nie byli tak waleczni, szczep nasz dalej wojowałby z wami. Ale szkoda was zabijać. Ceniemy was jak własnych wojowników. Zapalmy wspólną fajkę.

Czarownik Kinasy przygotował wielką obrzędową fajkę, ulepioną z czerwonej gliny, i zapaloną podał Kroczącej Du-

szy. Wódz pociągnął i podał ją wodzowi Wron, i tak kolejno z tej fajki palili na przemian wszyscy wojownicy Czarnych Stóp i Wron.

Podczas tej długiej ceremonii końcowej nam, chłopcom, nudziło się. Brat Mocny Głos pociągnął mnie za rękę i poszliśmy w stronę obozu Wron. Szukaliśmy naszego przyjaciela sprzed tygodnia, Czarnego Mokasy. Spotkaliśmy go na łące przed ich obozem. Chłopiec ucieszył się naszym widokiem i zaraz zaczął o nas opowiadać dorosłym, stojącym dokoła. Musiało to być coś pochlebnego, bo wojownicy Okotok z uznaniem podawali bratu i mnie rękę i tęgo potrząsali.

–Co oni w nas widzą? – zapytałem brata na uboczu.

–Widocznie Czarny Mokasyn powiedział im, że ubiłem zeszłego roku bizona – wytłumaczył mi brat pełen dumy.

–Aa, tak – przyznałem mu w zupełności słusność.

Mocny Głos już chciał obcym wojownikom opisać za pomocą znaków całą tę przygodę z bizonem, lecz nie zdążył, bo wojowników odwołano do ognisk. Mieliśmy teraz więcej czasu * i zapytaliśmy Czarnego Mokasy o przyczynę tych

serdecznych uścisków dłoni.

–Pewnie wygadałeś im się o moim bizonie? – rzucił brat pobłażliwie.

–Nie* - zaprzeczył Czarny Mokasyn. – Oni ściskali was, bo przed tygodniem spotkaliśmy się na preriach. Wtedy zaczęła się przyjaźń naszych szczepów.

–To tylko?! – odparł Mocny Głos zgaszony, a na twarzy jego zabawnie malowało się rozczarowanie.

Nie była to wielka chmura, szybko się rozwiąła. Śmiejąc się wesoło, poszliśmy z Czarnym Mokasynem i innymi chłopcami Okotok do naszej matki. Kobiety już przygotowywały wiele jedzenia. Po ceremonii palenia fajki miała odbyć się wspólna uczta z tańcami wojowników. Po drodze do naszego

obożu zapytaliśmy się chłopców, co Wrony zrobili z Ruxto-nem i jego trzema towarzyszami.

–Nasz wódz przegonił go – wyjaśnił Czarny Mokasyn. – Powiedział mu, że wojownicy nasi zastrzelą go, jeśli zjawi się jeszcze raz w naszym obozie.

–Dobrze powiedział wasz wódz – stwierdziliśmy.

Do końca tego szczęśliwego dnia oddawaliśmy się radości, jedli do syta, przysłuchiwali się ciekawym opowiadaniom, przyglądali się tańcom. Wchłanialiśmy cały urok wolnego życia na preriach.



NA SKRĘCIE ŚCIEŻKI

Wesoły nastrój uroczystości trwał do późnej nocy, mimo to następnego dnia byliśmy już o wschodzie słońca na nogach. Kąpiel w rzece, spieszny posiłek przed namiotem i w te pędy, brat Mocny Głos i ja, do obozu Wron, gdzie nas oczekiwał Czarny Mokasyn. Przyjaciel oprowadzał nas po obozie, potem zawiódł do namiotu swych rodziców i pokazywał ciekawe rzeczy. Wrony byli bogatsi niż rny, Czarne Stopy. Częściej przybywali do nich biali handlarze i zaopatrywali ich w towary z dalekich miast. Ojciec Czarnego Mokasyna był zwykłym wojownikiem, a przecież posiadał drogi dziesięciostrzałowy karabin i błyszczący sześciostrażowy rewolwer bębnekowy. Piękną broń braliśmy do ręki i próbowaliśmy celowania.

Wypadło i nam się poszczycić czymśkolwiek. Szepnąłem do brata;

–Pokażmy im książkę od Freda.

Mocny Głos natychmiast zaprosił chłopców Okotok do naszego obożu zapowiadając, że zobaczą coś, czego na pewno jeszcze nie widzieli. Po przyjeździe do namiotu z wielkim szacunkiem

wyjąłem ze skórzanej pochwy elementarz i otworzyłem pierwszą stronicę z obrazkiem. Wywołało to wrażenie, jakiego się spodziewaliśmy; gościom załśniły oczy ze zdumienia. Na przemian z bratem zacząłem im wyjaśniać różne sceny z życia

Amerykanów popisując się wiedzą zaczerpniętą od stryja Huczącego Grzmota. Wronom wszystko to bardzo się podobało. Opowiedziałem im także o mej przyjaźni z Fredem, że kiedyś do niego pojedę, i że zobaczę miasta białych ludzi, i że mój pies Pononka jest wielkim bohaterem, bo wyratował Freda i mnie z rzeki Missouri. Wszyscy głaskali Pononkę po głowie i wierne psisko zachowywało się godnie, jak gdyby rozumiało naszą rozmowę.

Dosyć długo siedzieliśmy na jednym miejscu i wypadało pohasać. Chłopcy Okotok chcieli się pochwalić, jak dobrze umieją strzelać z łuku. Pobiegli do swego obozu i przynieśli łuki i strzały. Wtedy rzuciliśmy pomysł wspólnej wycieczki myśliwskiej do parowu, wrzynającego się w prerie o kilometr od obozu. Rosły tam drzewa i gęste krzewy, w których mógł trzymać się jeżozwierz lub inna pomniejsza zwierzyna. Wrony z ochotą na to przystali.

Ruszyliśmy w towarzystwie Pononki i dwóch innych psów, naprędce zwołanych. Droga do wąwozu prowadziła przez łąkę, na której pasły się nasze konie. Ich ilość wzbudziła podziw chłopców Okotok.

–My tylu nie posiadamy – stwierdzili bez zazdrości.

–Od wiosny jesteście tak bogaci – powiedział Mocny Głos. – Były to piękne łowy w Górach Skalistych. Każdy z nas ma po kilka koni.

–I ja mam bułanka – oznajmiłem.

Polowanie rozpoczęliśmy od strony rzeki, do której wąwóz przylegał. Podczas przedzierania się przez gąszcz, psy węsząc biegały przed nami. Gdy odeszliśmy od rzeki spory kawał, rozległo się silne ujadanie psów.

–Mają coś! – zawołałem uradowany.

Pędziliśmy co tchu naprzód, ja 'między bratem a Czarnym

Mokasynem. Psy wciąż szcekały. Nagle Mocny Głos zatrzymał nas w biegu i kazał nasłuchiwać.

–Pononka dziwnie szceka – zauważył. – Znalazł coś niezwykłego. Może niedźwiedzia?...

W istocie Pononka penił się z wściekłości o kilkadziesiąt kroków przed nami. Dwa inne psy wtórowały mu. Przez gęstwinę nic nie widzieliśmy, chociaż dokładnie słyhać było trzask gałęzi.

–Zbliżajmy się ostrożnie! – ostrzegł brat.

Skradaliśmy się od krzaku do krzaku. Wtem stanęliśmy jak wryci. Niedaleko przed nami rozległ się okrzyk człowieka. Po chwili dobiegł nas ponownie i pomimo hałasu psów poznaliśmy: ktoś krzyknął po angielsku.

–Ruxton! – odgadł Czarny Mokasyn z przerażeniem.

–Uciekać! – wrzasnął brat.

Jak opętani zawróciliśmy ku rzece. Zaledwie wykonaliśmy kilka susów, huknął za nami strzał, a zaraz po nim jeszcze kilka strzałów. W wąwozie grzmot dudnił z ogłuszającą siłą. Nagle Czarny Mokasyn wydał jęk i padł na ziemię.

–Trafili go! – usłyszałem szloch brata.

Doskoczył do Czarnego Mokasyna. Uniósł go i z wielkim wysiłkiem przerzucił bezwładne ciało przez plecy. Nie mógł biec szybko, zataczał się.

Spojrzawszy w tył dostrzegłem pędzącego za nami białego człowieka z karabinem w ręku. Chłopcy zmykali wciąż w dół wąwozu, w stronę rzeki. Ja zmieniłem kierunek ucieczki. Skoczyłem w bok. Ukrywając się wśród krzewów dopadłem do brzegu wąwozu i zacząłem wspinać się na zbocze. Było dość strome, ale pomagając sobie rękoma szybko wdzierałem się na górę. Chroniących krzaków rosło tu niewiele. Z dołu padły od nowa strzały. Tuż przede mną kula zaryła się w suchą ziemię wzbijając chmurkę kurzu. Jeszcze kilka kroków i byłem na szczycie.

Stąd ujrzałem nasz obóz. Zacząłem wrzeszczeć na całe gardło, ażeby zaalarmować ludzi. Poprzednie strzały w wąwozie już ich zaniepokoiły. Wśród namiotów widziałem gorączkowy

ruch. Więc nie uciekając krzychałem dalej wniebogłosy nad brzegiem wąwozu.

–Go baćkl - słyhać było w głębi parowu nawoływania.

–Go back! Wracaj! – Poznałem głos Ruxtona.

Potem głucha cisza zaległa wądół.

Tętent kopyt końskich od strony naszego obozu. Zbliżali się wojownicy. Wybiegłem na wzgórze, żeby mnie dobrze widzieli, i zacząłem machać do nich rękoma.

–Tam, tam! – krzychałem wskazując kierunek, w którym uchodzili napastnicy.

–Kto tam? – zapytał najbliższy wojownik nie zsiadając z konia.

–On, on!,

–Jaki on?

–Ruxton!

–Gdzie reszta chłopaków?

–Uciekali w stronę rzeki. Czarny Mokasyn zabity...

Wojownicy zjechali w dół parowu i jedni zwrócili się ku

rzece, inni w przeciwnym kierunku, pędząc za Ruxtonem. Przybywało ich coraz więcej. Już nawet od obozu Wron pojawiali się jeźdźcy. Na łące i wyżej, na preriach, roilo się od pędzących oddziałów. Niektórzy nie zbliżali się wcale do parowu, lecz walili wprost na prerie, by Ruxtonowi odciąć drogę ucieczki.

Zeszedłem z powrotem do wąwozu. Kilkunastu jeźdźców przeszukiwało tam gąszcz. Jeden z nich widząc mnie przywołał do siebie.

–Patrz – wskazał z daleka ręką na jakiś przedmiot na ziemi i odjechał za innymi.

Leżał tam kochany Pononka z przestrzeloną głową. Nie żył. Zrobiło mi się bardzo słabo. Siadłem na ziemi. Objąłem zakrwawiony łeb i płakałem, płakałem. Szklane oczy psa były szeroko otwarte. Za życia Pononka w tych dobrych ślepiach wyrażał całą wierność i przywiązanie do mnie. Teraz niewielką pociechę przynosiła świadomość, że waleczny pies zginął śmier-

cią bohaterską w obronie nas, chłopców. Po kuzynie Kosmatym Orlątku traciłem drugiego przyjaciela z ręki tych samych ludzi.

Potem poszedłem parowem do rzeki. Zastałem nad jej brzegiem Mocnego Głosa, rodziców i wielu innych ludzi z obydwóch obozów. Na ziemi leżał Czarny Mokasyn, bez ruchu, ale oczy miał przytomne. Kula przeszła mu prawy bok. Czarownik Kinasy zalewał rany wywarem z ziół. Po obwiązaniu ułożono chłopca na noszach i przeniesiono do obozu. Ludzie mówili, że wyzdrowieje.

Po kilku godzinach wojownicy wrócili z pościgu. Tylko w wyjątkowych okolicznościach Ruxton i jego trzej towarzysze mogli liczyć na powodzenie w ucieczce. Mieli co prawda niezłe wierzchowce, lecz w obozach były bardziej ręczne konie. To przesądziło o wyniku pościgu. Na preriach łatwo ich dogoniono. Osaczeni, bronili się z za grzbietów swych zabitych koni. Zawzięci wojownicy nie zważali na ich ogień i przypuścili wściekły atak. Kilku naszych odniosło rany, ale żaden na szczęście nie poległ. Ruxtona i jego ludzi, przeszytych wielu kulami, spotkał zasłużony los.

Czterech jeźdźców przywlokło na lassach zwłoki zabitych i złożyło je na łące między obydwoma obozami w miejscu, na którym poprzedniego dnia odbywały się uroczystości pokojowe. Zaraz tam z bratem pobiegłem. Od wleczenia po ziemi złoczyńcy mieli poszarpane ubrania i błotem zbrukane ciała. Ze wstrętem przyglądałem się twarzy Ruxtona porośniętej gęstym zarostem. Wyglądał tak samo, jak owej odległej nocy, kiedy pijany podniósł rewolwer na mego ojca. Przez długie lata nie mogłem uwolnić się od uczucia wstrętu i grozy na widok takiej brody.

Na naradzie, zwołanej przez starszyznę obydwóch szczepów, stwierdzono, że Ruxton i jego ludzie nosili się ze złymi zamiarami. Widocznie chcieli nam ukraść konie, a przypadkiem odkryci w wąwozie, zaczęli strzelać do nas, chłopców. Zabicie koniokradów było słusznym aktem obrony i sprawiedliwej kary i należało uczcić je tańcem zwycięstwa. Obydwa szczepy posta-

15 Mały Bizon

nowiły tańczyć tego wieczoru, lecz każdy szczep osobno, ażeby zapobiec możliwości bójki między roznamiętnioną młodzieżą.

Był to w 'dziejach naszej grupy ostatni wielki taniec zwycięstwa. Liczne ogniska oświetlały łąkę, a dokoła nich uwijali się na pół nędzy wojownicy, pomalowani barwami wojny. Bicie bębnow rozchodziło się po całej dolinie i przyspieszało tętno nie tylko tancerzy – ale nas wszystkich.

Niektórzy pili wódkę. Ale i reszta, która nie piła, była upojona. Kilkunastu nas, chłopców, wyszło nad wzgórze nad łąką i siadło w trawie. Oczarowani wchłanialiśmy z daleka urok widowiska. Z jednej strony światła ognisk, urzekający rytm bębnow, tańczące postacie wojowników i śpiew zwycięstwa – z drugiej strony pogrążone w ciemności prerie, ciche, bezpieczne, przyjazne prerie w których nie było już żadnego wroga, skąd już nic nam nie groziło – oto jak powabnie przedstawiał się tej nocy moim towarzyszom nasz indiański świat. Nawet ja odczuwałem jego piękno, pomimo

że w sercu nosiłem żal po utracie Pononki.

Następnego dnia przyjechało kilku rodaków z północnej grupy szczepu Czarnych Stóp z pilnymi wiadomościami od Niokskatos, którego od pewnego czasu uważaliśmy za naszego naczelnego wodza. Niokskatos w imieniu całego szczepu podpisał z rządem kanadyjskim umowę, w której odstąpił mu nasze tereny i zgodził się na pójsie do rezerwatów. Naczelnny wódz polecił nam przybyć na północ i poddać się rozporządzeniom władz kanadyjskich. Taniec z poprzedniego wieczoru i śpiewy zwycięstwa wciąż tkwiły nam w krwi i w kościach. Pierwszym naszym odruchem na wstrząsającą wiadomość były oburzenie i chęć buntu, bo w istocie Niokskatos nie miał prawa rozporządzania naszymi łowiskami bez naszej zgody. Nie usłuchamy, nie wyrzekniemy się wolnego życia na preriach. Ale zaraz nasuwały się wątpliwości i przychodziło opamiętanie: z czego będziemy żyli, gdzie znajdziemy pożywienie? Od roku nie widzieliśmy żadnego bizona ani jego świeżych śladów, a jeleni w gęszczu szybko ubywało.

Starszyzna nasza poprosiła starszyznę Wron do wspólnego

ogniska na rozmowę. Gdy się zeszli, w milczeniu wypalili fajki, potem nasz wódz Krocząca Dusza opowiedział o poleceniu Niokskatosa i zapytał Wrony, co sądzą o tym. Wódz Wron nie zwlekał z odpowiedzią:

–Nasz szczep już od szeregu wielkich słońc poddał się władzom amerykańskim i żyje w rezerwacie. Tylko nasza niepowściągliwa grupa Okotok dotychczas wędrowała swobodnie po preriach. Były do niedawna bizona. A teraz – gdzie są bizona? Pozostały po nich tylko wyblakłe czaszki i rozsypane kości. Myśleliśmy, że u was na północy jest jeszcze zwierzyna.

–Od roku nie widzieliśmy bizona.

–Na jesień – oświadczył Wrona – zgłaszamy się do rezerwatu. Nie mamy innego wyjścia. Dzieci zaczynają odczuwać głód. Biali ludzie weszli na nasze łowiska. A na wasze nie wchodzi?

–Wchodzą.

–Moi myśliwi wrócili dziś rano z polowania. O pół dnia drogi stąd widzieli wiele białych ludzi. Znowu ciągnie na prerie wielka karawana osadników.

–Więc skończyły się dni naszych łowów i naszej wolności?

Na ten okrzyk Kroczącej Duszy nikt nie odpowiedział.

Wszyscy w milczeniu wlepili sztywny wzrok w płomienie ogniska. Ognisko, wierny przyjaciel Indian, świadek ich radości i trosk – ognisko nie mogło wyjaśnić, jaka będzie przyszłość.

Następnego dnia powoli ruszyliśmy na północ, posłuszni wezwaniu Niokskatosa.



ŚMIERĆ BRATA MOCNEGO GLOSA

1 o była smutna wędrówka. Wódz Krocząca Dusza miał słuszność: skończyły się dni polowań i wolności. Szarańcza białych osadników obsiadała nasze łowiska niemal z miesiąca na miesiąc. W naszej wędrówce na północ mijaliśmy przepiękne doliny rodzimych strumieni, lecz zamiast doznać tam jak dawniej odpoczynku nocnego, zastawaliśmy brzegi rzek zajęte przez hardych kolonistów. Ludzie ci przeciągali przez najżyźniejsze obszary naszych ziem druty kolczaste, a widząc nas

zbliżających się chwyтали za karabiny.

Popędliwa młodzież chciała wyrzucić na nich zemstę i rozpocząć wojnę. Starsi wojownicy z trudem ją powstrzymywali, przekonani, że nic nie zdoła odmienić biegu wydarzeń na preriach, a uciekanie się do broni tylko groziło zupełnym wytępieniem szczepu.

Podczas marszu starsi zbierali się co wieczór przy ogniskach, roztrząsali sprawy pokoju i wojny, wolności i życia w rezerwatach. My, chłopcy, wchodziliśmy o tej samej porze na pobliskie wzgórza i dumali nad naszym losem. Z nastaniem nocy chłód

dawał nam się we znaki. Siadaliśmy blisko siebie i wzajemnie ogrzewaliśmy się ciałami.

–Rodzice wychowywali nas na wojowników, wpajali nam cnoty naszych przodków – mówili starsi chłopcy. – Czy to wszystko ma pójść teraz na marne? Czy mamy zostać jeńcami białego człowieka?

Wróciwszy z pagórków do obozu pytaliśmy się ojców, czy będzie wojna.

–Nie! – odpowiadali nam zaciekle. – Będziemy jedli krowy.

Jesienią tego roku władze kanadyjskie wyznaczyły nam na północ od Rzeki Mlecznej rezerwat, do którego musieliśmy pójść na warunkach zwierza w klatce: nie wolno nam było przekraczać zakreślonych granic. Głód zmusił nas do przyjęcia tych warunków. Podczas lata mało upolowaliśmy zwierzyny, przepłoszonej najściem osadników, w rezerwacie zaś mieliśmy otrzymywać żywność, mięso w postaci bydła.

Z doświadczenia innych szczepów rodzice nasi już mniej więcej wiedzieli, czego oczekiwać od życia w rezerwacie, mimo to nie przypuszczali, że tak straszną zmorą może stać się przymusowa bezczynność. Dotychczasowy żywot wolnego Indianina był jednym pasmem podniecających przygód, stałych niespodzianek, zwycięskiego wysiłku o byt, a tu nagle odpadły wszystkie źródła życiodajnych podniet. Na całe lata przytłoczyła czerwonego człowieka męka gnuśności i zabójczej nudy. Świat jego pojęć rozdarł się na strzępy, wszystko się zachwiało, zasnuło złowrogą mgłą.

Natarczywe zapędzanie nas na „ścieżkę białego człowieka" jeszcze potęgowało naszą nędzę. Misjonarze nie szczędzili nam bezustannego prawienia o Bogu białych i zohydzenia nie tylko naszej wiary, ale wszystkich drogich nawyknień i zwyczajów, tak nieodłącznie związanych z naszym życiem. Ranili nas na każdym kroku, a z doświadczonymi wojownikami, których wielką mądrość życiową dobrze znaliśmy, postępowali jak z niedowarzonymi dziećmi.

Nasz Bóg żył na, preriach i w lasach, które znaliśmy na

wylot. Wierzyliśmy, że wszędzie nas otaczał i że był duszą drzew, zwierząt, jezior, rzek, gór. Kto z nas chciał zbliżyć się do Wielkiego Ducha, wychodził na prerie albo nad rzekę i był już w jego bezpośredniej obecności. Teraz zaczęli nam mówić o nowym Bogu, ale nie mogli oznaczyć, gdzie był. Nowy Bóg rzekomo nakazywał odplacać dobrym za złe. Czy to znaczyło, że mieliśmy kochać osadników za to, że wyrzucali nas z ziemi?

Że mieliśmy dzielić się z nimi naszym prochem i kulami, gdy spoza płotów kolczastych strzelali do nas?

Nie szczędzono nam upokorzeń. Kazano ścinać długie włosy, tak drogie naszym wojownikom. Kazano przyodziać się w ubrania europejskie, w których Indianie wyglądali śmiesznie jak dziwolągi. Zakazano nam malować twarze.

Niemal od samego początku powstała w rezerwacie szkoła. Ponieważ uchodziła za

symbol białego najeźdźcy, niechętnie do niej się odnosili zarówno rodzice, jak dzieci. Był to silny, lecz wyłącznie uczuciowy odruch, ale niektórzy w szczepie wcześniej zaczęli rozumieć konieczność zdobycia oświaty.

Wśród 'rówieśników stanowiłem wyjątek: nie mogłem doczekać się pójścia do szkoły. Szkoła nie przejmowała mnie wstrętem; przeciwnie, wzbudzała radosne podniecenie. Przyczyny tego łatwo było się domyślić. Elementarz, darowany mi przez Freda, działał jak twórczy bakcył na moją wyobraźnię. Często zaglądałem do barwnych obrazków z życia białego człowieka i coraz silniej opanowywała mnie żądza, by dowiedzieć się więcej o dalekim świecie. Przez długie lata żyłem pod wpływem czarującej książki.

W szkółce misyjnej rezerwatu wiodło mi się dobrze. Byłem pojętnym uczniem, nauczycielka mnie wyróżniała. Po kilku miesiącach umiałem już po angielsku, czytałem jako tako, a elementarz Freda znałem na pamięć. Oprócz czytania, pisania i liczenia uczono nas, chłopców, uprawy roli. Mężczyźni naszego szczepu nigdy nie grzebali w ziemi, była to wyłącznie praca kobiet. Teraz jakże wstydziliśmy się machania łopata! Gdy obok ogródka szkolnego przechodził starszy wojownik i widział

nas przy pracy na roli, najchętniej schowalibyśmy się pod ziemię.

Po dwóch latach tej nauki przygotowawczej przyszło do agenta rezerwatu wezwanie, by dwóch zdolnych uczni wysłał do Carlisle w Pensylwanii, gdzie był internat ze szkołą, wyższego niż nasza typu, dla dzieci indiańskich wszystkich szczepów. Wybór padł na mnie. Drugiego chłopca jeszcze nie wyznaczono.

–Czy chcesz jechać na dalszą naukę? – zapytał mnie agent w obecności mych rodziców.

Wyjazd do Carlisle oznaczał nieobecność wśród swoich przez kilka może lat.

–Chciałbym – odpowiedziałem – ale z bratem Mocnym Głosem...

To było niemożliwe już choćby dlatego, że Mocny Głos nie chciał opuszczać rodzinnych stron. Brat wyrastał na tęgiego junaka. Mało było w szczepie tak doskonałych jeźdźców i strzelców jak on, lecz do nauki nie ciągnęło go.

Pojechałem z innym chłopcem. Oddalony o kilka tysięcy kilometrów od swego szczepu, trawiony silną tęsknotą, straciłem na długi czas łączność ze swoimi. Podczas mej nieobecności grupa nasza doświadczała ciężkich kolei losu i dopiero znacznie później dowiedziałem się od ludzi o wypadkach, których tragicznym bohaterem stał się brat Mocny Głos. W tym czasie przeszedłem celująco przez 'kilka klas i miałem już jedenaście lat.

Królewski Konny Korpus Policji w Kanadzie – sławny Royal Mounted – aresztował brata za przywłaszczenie sobie i zabicie wołu. Zwierzę było własnością władz, o czym nie wiedział Mocny Głos, przekonany, że należało do sztuk, przydzielonych jego rodzinie na spożycie.

Skutego w kajdany Mocnego Głosa przyprowadzono na posterunek policji w Duck Lakę w dzisiejszej prowincji Saska-tchewan. Komendant posterunku, kapral Dickson, chcąc nabawić więźnia strachu, oświadczył mu, że „za zabicie wołu zostanie powieszony”. Młody Indianin przeraził się do głębi, lecz był mężnego serca i postanowił bronić swej skóry do upadłego.

Na noc przykuto więźnia do ciężkiej kuli żelaznej i umieszczono go w izbie służbowej. Brat położył się na podłodze i zupełnie zakryty swym kocem udawał, że śpi. W tej samej izbie czuwał do północy kapral Dickson, potem zluzował go jego zastępca. Senny policjant kiępstko pilnował. Już po kwadransie zmorzył go sen. Mocny Głos śledził go spod koca, a gdy strażnik osunął się głową na stół, chłopak cichutko wstał, podniósł kulę żelazną, podszedł do stołu i znalezionym kluczem otworzył kłódkę, zamykającą kajdany. Wyśliznął się z posterunku, przesadził palisadę, był wolny.

Biegając bez przestanku przeszło dwadzieścia kilometrów dotarł przez świtem do ojczystego obozu i wpadł do namiotu rodziców.

–Konna policja mówiła mi wczoraj – oznajmił Mocny

Głos – że chce mnie powiesić za zabicie wołu. Nigdy 'mnie nie powieszają! Będę walczył, zanim zginę!

Dostał od rodziców dwa konie oraz karabin z wielkim zapasem kul i zabierając ze sobą swą piętnastoletnią żonę popędził na północ.

W niespełną godzinę po nim zjawiał się pościg z Duck Lake. Do znamiennych cech kanadyjskiej policji konnej należy zawziętość w ściganiu swych ofiar, uznanych za przestępców. Wachmistrz Colebrook i pewien Metys-wywiadowca na usługach policji odkryli ślady zbiega i przyczepili się do nich jak pijawki.

Po kilku dniach pościgu w dzikiej, bezludnej okolicy usłyszeli odgłos odległego strzału. Przyspieszając biegu ujrzeli na polanie Indianina, podnoszącego z trawy zastrzeloną kurę leśną. Opodal młoda kobieta trzymała dwa konie. Colebrook zarechotał uszczęśliwiony, że zwierzyna wpadła mu w potrzask: Mocny Głos prędzej niż doskoczyłby do koni, miałby kulę w karku. Wachmistrz i jego towarzysz, pewni siebie, wyjechali na polanę. Mocny Głos w mig zrozumiał położenie i nie uciekał. Oczekiwał ich z 'karabinem w ręku. Zbliżyli się na trzydzieści kroków.

–Stójcie, bo strzelę! – ostrzegł.

–Zobaczymy, bratku! – odparł Colebrook i zuchwale je chał 'dalej.

–Ani kroku bliżej! – krzyknął Mocny Głos.

Nie usłuchali. Młodzieniec błyskawicznie podniósł broń i bez celowania wypalił. Z przestreloną głową wachmistrz spadł z konia.

–Ciebie tylko zaznaczę! – rzekł Mocny Głos do Metysa i zanim przeciwnik zdołał się odwrócić, kula pogruchotała mu łokieć.

–Jeśli mi się jeszcze raz nawiniesz, zastrzelę! – zawołał brat do wywiadowcy, który uciekał jak szalony na swym koniu.

Mocny Głos służył jako pierwszy strzelec w naszej grupie, a karabin posiadał wielostrzałcy. Śmierć wachmistrza Colebrook'a wzburzyła umysły całego zachodu. Policja konna zerwała się i urządziła obławę na niebezpiecznego młodzieńca. Lecz młodzieniec był przebieglejszy niż wszyscy wachmistrze po społu z ich wywiadowcami. Pomimo wyznaczenia na jego głowę poważnej nagrody, polowanie nie odniosło żadnego skutku, ślad Mocnego Głosa (przepadł w bezmiernych lasach północy jak kamień w wodzie.

Naszego ojca aresztowano i dopiero po dłuższym czasie puszczono na wolność. Gdy bezpośrednie łowy okazały się daremne, obstawiono potajemnie rodzicielski namiot obcymi szpiegami licząc na to, że Mocny Głos, wiedziony miłością synowską, kiedyś zajrzy do rodziców. Rachuby nie zawiodły. Po dwóch latach bezskutecznych poszukiwań policja konna otrzymała poufną wiadomość o pojawieniu się zbiega w pobliżu ojczystego obozu. Było to wtedy, kiedy brat przyprowadził do rodziców swą żonę z dzieckiem, urodzonym w puszczy.

Gdy o tym dowiedział się komendant w Duck Lake, wysłał natychmiast dwóch policjantów i Metysa-wywiadowcę nazwiskiem Venne do obozu Czarnych Stóp. Podczas szperania w okolicy zatrzymali się w pobliżu jakiegoś gąszczu, by skrócić sobie papierosa. Koń Venne'a rozdzymając niespokojnie nozdrza stawał dęba i trudno było go uspokoić. Wtem z krzaków doszedł

podejrzany szelest i zaraz huknął strzał. Venne, ugodzony w pierś, zachwiał się na koniu, ale towarzysze skoczyli mu na pomoc i zabierając go z sobą, umknęli galopem w stronę Duck Lake.

Z gąszczu wyszło trzech młodych Indian: Mocny Głos z dwoma młodzikami, którzy indiańskim obyczajem przyłączyli się do swego przyjaciela, by w rozpaczliwej walce nie opuścić go aż do samej śmierci. Do Metysa strzelał jeden z tych młodych, niedobrze wycelował i tylko zranił. Mocny Głos zapowiedział w obozie, że Metys jako zdrajca ludu indiańskiego poniesie zasłużoną karę. Venne tak się przestraszył tej groźby, że spakował rodzinę i na łeb na szyję znikł z okolicy uciekając ponoć aż na Alaskę.

Po tej potyczce Mocny Głos wrócił na chwilę do obozu, by pożegnać się z rodzicami i z żoną. Miał już dość tułaczki po lasach. Nie chciał się ukrywać i oświadczył swoim, że postanowił stoczyć ostateczną walkę z prześladowcami.

Zjawienie się Mocnego Głos-a wywołało wielkie podniecenie w kraju. Następnej nocy z Prince Albert, okręgowej siedziby Komendy Royal Mounted, wyruszył w pogoń oddział dwunastu policjantów konnych pod dowództwem rotmistrza Allana. Sprzyjało mu niezwykle szczęście. Już wkrótce odkryli w górach Minnechina trzy ciemne punkty, poruszające się na stoku wzgórza. Z początku sądzili, że to antylopy. Po zbliżeniu się rozpoznali trzech poszukiwanych Indian. Młodzieńcy byli pieszo. Wytropieni, nie uciekali. Byli gotowi do walki, czekali na przybycie wroga.

Oddział jeszcze nie zbliżył się na odległość pewnego strzału, gdy Mocny Głos wypalił dwa razy. Trafił rotmistrza Allana w ramię druzgocąc je, wachmistrza Rabena w biodro. Reszta policjantów, zaskoczona taką celnością i osłupiała stratami, ratowała rannych, a tymczasem Mocny Głos i jego towarzysze wycofali się do niedalekiego lasu, rosnącego na małym wzgórzu.

Kapral Hockin objął teraz komendę nad oddziałem, lecz nie śmiał uderzyć na niebezpiecznych strzelców. Rozesłał gońców

z wezwaniem o posiłki. Tego dnia przyłączyli się do niego policjanci z posterunku w Duck Lakę oraz z komendy okręgu w Pirince Albert. Zgłosiło się także kilku cywilów, żądnych przygody.

Wieczorem o szóstej godzinie Hotikin na czele dziewięciu ochotników uderzył na lasek. Młodzieńcy ukrywali się na brzegu zarośli. Atakujący, prażeni celnym ogniem, nie mogli zbliżyć się do Indian. Na początku natarcia padł sam kapral, śmiertelnie ugodzony w pierś. Wywiązała się silna strzelanina. Zabójcze kule Mocnego Głosa zadały śmierć jeszcze dwom przeciwnikom, po stronie Indian zaś poległ Topian, nasz daleki kuzyn, a sam Mocny Głos otrzymał postrzał w nogę. Natarcie zawiodło, policjanci musieli wycofać się.

Mocny Głos trafił dotychczas ośmiu policjantów zabijając czterech i czterech raniąc. Bezmyślny, głupi żart kaprala sprowadził tyle nieszczęścia na ludzi.

Nastała noc. Policjanci usiłowali podpalić gęstwinę, lecz pożar nie rozwinął się. W nocy przybyło więcej posiłków i otoczyło cały lasek zwartym pierścieniem straży. Indianom udaremniiono ucieczkę.

Tej nocy, w mieście Regina, stolicy północno-zachodniego terytorium, odbywał się w głównej kwaterze policji konnej uroczysty bal z okazji wysłania do Londynu delegacji na obchód jubileuszowy królowej Wiktorii. Podczas najlepszej zabawy orkiestra nagle urwała granego walca i zaintonowała hymn państwowy *God save the Queen*. Ludzie, pełni zdumienia spojrzeli po sobie. Gdy hymn się skończył, głównodowodzący pułkownik Herchimer oznajmił obecnym, że odracza się wysłanie delegacji na skutek niepokojących wieści z głębi kraju, i rozkazał wszystkim obecnym podwładnym przygotować się do natychmiastowego wymarszu w pole.

Wyjechali jeszcze przed północą, zabierając ze sobą dwa szybkostrzelne działa polowe, pod komendą pułkownika McDon-nella. Inny oddział, pułkownika Gagnona, wyruszył rano z Prin-ce Albert. Do tych sił Królewskiej Policji Konnej dołączyły się setki cywilnych ochotników, każdy ze swoją strzelbą myśli-

wską. Miejscowość Duck Lakę wystawiła kompanię ludzi, uzbrojonych w kilofy i łopaty do wznoszenia szańców.

Kwaterna główna zakazała bezpośrednich natarć na niebezpieczny lasek, by zapobiec dalszemu rozlewowi krwi... Trzech młodych Indian pokonać miała artyleria z należytej odległości.

Rano tego dnia z lasku rozległ się okrzyk Mocnego Głosa. Młodzian wołał do oblegających:

–Czeka nas dzisiaj ciężki dzień ponownej walki. Nie ma my co jeść. Jesteśmy głodni. Wy macie nadmiar żywności.

Rzućcie nam trochę!

Słowa te wyrażały ducha najlepszej tradycji indiańskiego wojowania. Można było walczyć zaciekle i zabijać wroga w rzetelnym spotkaniu, lecz równocześnie należało zachować wobec niego ludzkie uczucie szacunku, bez zjadliwej nienawiści.

Odezwanie się brata było oczywiście głosem wołającego na puszczy. Słowa jego

wprawiły policjantów konnych w zdumienie, lecz ani im się śniło, by Indianom okazywać jakiegokolwiek względy.

Krótko [potem przelatująca wrona siadła na wierzchołku drzewa w lasku. Padł strzał, ptak zwał się na ziemię.

–Co za strzelec! Nigdy nie zmarnuje naboju! – szeptali policjanci między sobą, utwierdzeni w postanowieniu, żeby nie narażać niepotrzebnie swego życia.

Tymczasem naszego ojca znowu aresztowano. Poczciwa matka przybiegła na miejsce, gdzie syn jej staczał ostatnią swą walkę. Policja nie dopuściła jej do samego lasku, więc stanęła na wzgórzu, skąd Mocny Głos mógł ją słyszeć. Przypominała mu bohaterskie czyny -ojca i jego dziadka Rączego Niedźwiedzia i upominała go, by zginął mężnie, jak przystoi na nieustraszonego wojownika. Wołała:

–Nie osłabnij, synu! Musisz walczyć do samego końca!

Policjanci podchodzili do niej i namawiali do pójścia do domu, lecz ona nie chciała opuścić syna tak długo, dopóki był przy życiu.

W ciągu dnia bezustannie przybywały posiłki, także i oddziały wojska, podporządkowane w tym działaniu Królewskiej

Policji Konnej. Pod wieczór przeszło tysiąc zbrojnego chłopca otaczało lasek.

Zwłoki trzech poległych policjantów wciąż leżały przed gąszczem, w pobliżu stanowiska Indian. Ktoś z oblegających zaalarmował dowództwo policji wiadomością, że kapral Hockin jeszcze żyje. Przyglądając mu się przez lornetkę, rzekomo zauważył ruch ręki. Obecny lekarz Stewart natychmiast zgłosił się do ratowania 'rannego'. Przedsięwzięcie było niebezpieczne. Polową bryczką podjechał galopem do Hockina, szybko, wrzucił jego ciało na wóz i galopem odjechał. Żaden strzał nie padł z lasku. Mocny Głos znał osobiście Stewarta i uszanował jego zbliżenie się w charakterze lekarza. Poświęcenie Stewarta okazało się niepotrzebne: kapral Hockin od wielu godzin nie żył.

Pod wieczór nadciągnęły działa. O szóstej godzinie zagrzmiały pierwsze strzały. Po wstrzelaniu się w miejsce, w którym znajdowali się młodzi Indianie, posłano tam kilkadziesiąt szrapneli. Gdy ogień przerwano, wszyscy byli przekonani, że z obłożonych pozostały same strzepy. Przeszło tysiąc ludzi przeżywało tę chwilę z zapartym oddechem. Wtem rozległ się z lasku donośny, urągliwy głos brata:

–Wcale nieźle! Ale musicie jeszcze lepiej strzelać!

Zapadł mrok wieczorny. Dowództwo postanowiło podjąć ostrzeliwanie dopiero następnego dnia. Dokoła lasku nastąpiła cisza. Tej nocy nikt z obecnych nie zmrużył oka. Wszyscy czuwali i wszyscy snuli posępne myśli. Uświadamiali sobie swą upokarzającą rolę. Wystawienie w pole takiej potęgi przeciw trzem indiańskim młodzieniaszkom nie przysparzało sławy uczestnikom nagonki i wręcz narażało ich na śmieszność. A tymczasem pomimo niewspółmiernego wysiłku Indianie wciąż się trzymali.

Między północą a świtem matka nuciła dla Mocnego Głosa wstrząsającą pieśń śmierci, z lasku zaś wtórował jej głos mego brata. Nad ranem umilkli. Był to ostatni śpiew junaka, już więcej nikt go nie usłyszał.

O szóstej rano obydwa działa rozpoczęły śmiercionośną po-

budkę. Waliły przez bitych sześć godzin, do samego południa! Nie deszcz, lecz istna ulewa żelaza spadła na lasek. W południe oddział ochotników, składający się z samych cywilów, uderzył do szturm: na wyraźny rozkaz naczelnego dowództwa oszczędzano członków Królewskiej Policji Konnej uzasadniając to tym, że policja poniosła już zbyt wiele strat. Czy przypuszczano, że Mocny Głos był nieśmiertelny i że jeszcze żył? Ostrożność była zbędna. Mocny Głos nie żył, przebity w siedmiu miejscach odłamkami szrapneli. Z jego dwóch towarzyszy kuzyn Topian poległ przed dwoma dniami, a drugi młodzik leżał ciężko ranny i nieprzytomny.

Lasek zaroił się od tyłu ludzi, że trudno było precyzyjnie się do zwłok. Co odczuwali ci osobliwi zwycięzcy na widok trzech poległych młodzieńców, z których najstarszy liczył dziewiętnaście lat, najmłodszy piętnaście? Trzech młodzieńców poległych z męstwem, o jakim marzyli najwybitniejsi wojownicy naszego szczepu?

Jeden z policjantów Królewskiej Policji Konnej podszedł do Mocnego Głosa i

popęłnił obrzydliwy uczynek: oddał strzał w głowę trupa.

Podczas gdy rozgrywały się te wypadki, przebywałem w szkole w dalekiej Pensylwanii. Wiadomość o nich dotarła do mnie po wielu tygodniach wraz z nowiną o wypuszczeniu ojca z więzienia. Z bratem o sześć lat starszym ode mnie, łączyła mnie nie tylko miłość braterska, był mi bliski jako przewodnik życia i towarzysz wspólnych przejść młodości. Jak gdyby srogi los uwziął się na mnie: z ręki białych ludzi straciłem trzy drogie istoty: kuzyna Kosmate Orlątko, wiernego psa Pononkę, a teraz brata Mocnego Głosa.

Świadomość tych strat nie wytrąciła mnie jednak z duchowej równowagi. Śmierć brata zadała mi gwałtowny ból i pogrążyła mnie w rozpacz, ale zajęty nauką szkolną dość szybko przyszedłem do siebie. Nie iczułem nienawiści do białych ludzi ani żalu, ani goryczy.

Szkoła z każdym miesiącem utwierdzała mnie w przeświadczeniu o niebywałej potędze oświaty. Dawniej umiejętność

władania łukiem, strzelania z muszkietu, tropienia zwierzyny w lesie rozstrzygała o życiu Indianina. Dziś, po opanowaniu prerii przez białego człowieka, wszystko to okazało się przeżytkiem do niczego nie zdatnym, natomiast główną bronią w walce o byt stała się oświata. Oświata w naszych warunkach rezerwatowych była jedyną ochroną przed zagładą. Im szybciej Indianie pojmą istotę tych przemian i doniosłość oświaty, tym pewniej uchronią się od klęski i zagłady.

W tym ciężkim dla szczepu i rodziny okresie wytknąłem sobie ambitną ścieżkę żywota. Postanowiłem zdobyć jak najwięcej nauki, a później poświęcić życie krzewieniu oświaty w moim szczepie Czarnych Stóp.



POSŁOWIE

Jacka Davisa, Indianina szczepu Czarnych Stóp, o dalszych losach Małego Bizona.

Mam trzydzieści sześć lat. Moim ojcem jest kuzyn Małego Bizona, moim dziadkiem był Huczący Grzmot, o którym Mały Bizon często wspominał w swych rękopisach. Jak prawie wszyscy Czarne Stopy mego pokolenia, noszę nazwisko o brzmieniu angielskim, lecz poza tym posiadam w naszym języku nazwę Głowy Wilka. Z zawodu jestem szoferem i zarabiam na utrzymanie jako dzierżawca ciężarówki.

Podczas drugiej wojny światowej zgłosiłem się jako ochotnik do kanadyjskich sił zbrojnych i brałem udział w inwazji wojsk alianckich na wybrzeże Normandii w 1944 roku. Raniony w nogę podczas ataku na Caen, zostałem odesłany wpierw do Anglii, potem do Kanady.

Pochodzę z tego samego rezerwatu na południu prowincji Alberta, do którego należał i Mały Bizon. Przebywałem stale w pobliżu tego niepowszedniego człowieka, dlatego dobrze znam jego i jego przejścia, poznałem także jego poglądy. Jako kilkunastoletni wyrostek towarzyszyłem mu przez trzy lata w podróżach odczytowych. Wiem także, ile prawdy jest w drukowanej autobiografii i jak tekst tej książki autor musiał zniekształcać pod naciskiem nowojorskiego wydawcy, ażeby w ogóle książka wyszła w druku w Stanach Zjednoczonych.

Życie Małego Bizona można z grubsza podzielić na dwa okresy, pierwszy do czasu pierwszej wojny światowej, drugi – po wojnie. W pierwszym okresie Mały Bizon pilnie się kształcił, osiągając w zupełności cel, o jakim marzył i o którym wspomniał w ostatnim zdaniu swej książki. Po wojnie starał się wykonać drugie wytknięte sobie zadanie, mianowicie wywalczyć za pomocą oświaty lepszy byt dla swego szczepu – i tu niestety dzielny bojownik poniósł klęskę. Przeciwności były silniejsze niż jego wola; przeszkody nie dały się pokonać, przeciwnie, one jego złamały. Mały Bizon w swej książce wypowiedział myśl, że oświata uchroni Indian od klęski i zguby. To zdanie nie sprawdziło się w fatalny sposób na samym autorze.

Mały Bizon był w szkołach nadzwyczaj pojętym uczniem. Podzielałam w zupełności jego przekonanie, że elementarz, podarowany mu za młodu przez Freda Whistlera, wywierał na jego wyobraźnię wyjątkowy urok. Nawiasem mówiąc, przyjaciela Freda Mały Bizon później nigdy już nie spotkał.

Z jego pobytu w szkole dla Indian w Carlisle zachowała się jednodniówka, wydana z okazji opuszczenia szkoły przez uczniów, którzy ukończyli naukę. Z jej kart wynika, że Mały Bizon był nie tylko jednym z najlepszych uczniów, lecz brał także wybitny udział -w życiu sportowym i społecznym swego zakładu naukowego. Jako klarncista należał do słynnej we wschodnich stanach uczniowskiej orkiestry indiańskiej; zdobywał rekordy w rozgrywkach piłki nożnej; odznaczał się jako dowódca szkolnej drużyny konnej; był prezesem klubu dyskusyjno-retorycznego w Carlisle. W każdej dziedzinie wybijał się na czoło.

Wchodząc szczęśliwie na „ścieżkę białego człowieka” nie zatracił swych wrodzonych zdolności indiańskich. Za jego pobytu w Carlisle pewna młoda Amerykanka, Alicja Foote, zblądziła podczas wycieczki w bezdrożnych górach Tuscarora w Pensylwanii i przepadła. Poszukiwania drużyn ratowniczych, wysłanych jej na pomoc, skończyły się niepowodzeniem, a sprawa nabrała wielkiego rozgłosu w całej Ameryce Północ-

ne Mały Bizon

nej. Gdy wszystkie poszukiwania zawiodły, ktoś wpadł na pomysł wysłania w okolice wypadku starszych uczni ze szkoły w Carlisle. Chłopcy indiańscy przeprosyli się po górach Tus-carora. Mały Bizon wykrył ślady zaginionej, odnalazł ją i ocalił od bliskiej śmierci. Cała prasa amerykańska uderzyła w wielki dzwon pochwał na cześć młodego Indianina.

Niewątpliwie rozgłos tej sprawy i dobre postępy Małego Bizona w szkole w Carlisle uutorowały mu drogę do uczelni wyższego typu, St. Johns Military Academy, w stanie nowojorskim. Był tu jedynym Indianinem w gronie samych amerykańskich kolegów. W tej ogólnokształcącej szkole o dyscyplinie wojskowej Mały Bizon gładko przechodził wszystkie klasy, lecz gdy wrócił do swego ojczystego rezerwatu po zdaniu końcowych egzaminów, rodzina zauważyła niezwykle u niego rozdrażnienie.

–Kroczyć z białymi ludźmi ścieżką cywilizacji – to częste dla nas upokorzenia! – zwierzał się przyjaciółom.

Ale był uparty; zebrał całą siłę woli i odważnie tą drogą szedł dalej. Na krótko przed wybuchem pierwszej wojny światowej prezydent Stanów Zjednoczonych Wilson dopuścił go w drodze wyjątku jako kadeta do słynnej państwowej szkoły wojennej w West Point. Do tej szkoły mieli dostęp tylko najzdolniejsi wybrańcy spośród Amerykanów, a ponoć nigdy dotychczas nie dopuszczono do niej Indianina lub Murzyna.

Wybuch pierwszej wojny światowej przerwał tę naukę, gdyż Mały Bizon postanowił wziąć udział w wojnie od samego początku. Wielka Brytania już walczyła (Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny znacznie później, w 1917 roku), więc Mały Bizon zgłosił się jako ochotnik do wojska kanadyjskiego. Trzykrotnie raniony we Francji, dwukrotnie odznaczony za dzielność bojową, skończył wojnę jako kapitan.

Po wojnie, opromieniony wojenną chwałą, wykształcony, jak niewielu białych współmieszkańców Ameryki Północnej, przejęty twórczym zapalem wrócił do swego szczepu. Postanowił oddać się teraz pracy nad podniesieniem poziomu kulturalnego Czarnych Stóp. Podczas przebywania w rezerwacie

uderzyło go ich ubóstwo materialne, spowodowane wtłoczeniem wolnych dawniej ludzi w półwieżenne warunki bytu, uderzyła go także ich nędza duchowa i beznadziejność położenia. Gnuśne życie w rezerwacie odbierało Indianom jakiegokolwiek jaśniejsze widoki na przyszłość, po prostu odbierało im chęć ido życia. Biali zwycięzcy ograbiając niezawisłe szczepy z ziemi przyrzekali im w zamian za to karmić wywłaszczonych. Okazywało się, że nawet tego warunku nie dotrzymywali i Indianie w rezerwach srogo głodowali ginąc na skutek wycieńczenia z różnych chorób.

Mały Bizon z właściwą sobie energią chciał naprawić zło i upomniał się o prawa Indian, lecz przeciw niemu stanął mur niechęci ze strony tępych biurokratów i nieuczciwych urzędników, „opiekunów” Indian. Mały Bizon przedłożył właściwym władzom rozumne projekty wyciągnięcia nas, Czarnych Stóp, na drogę cywilizacji i – spotkało go równe niepowodzenie. System rządzenia, panujący w kraju, uznawał i popierał wybijanie się elitarnych jednostek ponad szarą masę Indian, jednostek w rodzaju Małego Bizona, ale nie myślał dawać naszym masom tych warunków życia, jakie posiadali biali współobywatele.

Mały Bizon nie dał się zniechęcić. Nic nie uzyskawszy drogą układów, rozpoczął pośrednią walkę, zakrojoną na szerszą skalę i na daleką metę. Językiem angielskim władał dobrze jak Anglik, pióro miał wyrobione i cięte. Zaczął pisać artykuły do pism kanadyjskich i amerykańskich. Obydwa społeczeństwa uświadamiał o bolączkach Indian w rezerwach i przedkładał czytelnikom konieczność przyjścia czerwonym ludom z pomocą.

Powodzenie w publicystyce zachęciło go do publicznych odczytów i wykładów. Miewał ich bardzo wiele, i to w różnorodnych środowiskach. Umiał mówić do prostych ludzi, umiał przekonywać i najwybredniejszych słuchaczy. Zagraniczne instytuty naukowe prosiły go o współpracę.

Uznanie, jakim cieszyły się jego wystąpienia, zasklepiało się niestety w ramach nieużytecznej na razie teorii, a skutka-

mi swymi nie docierało tam, dokąd miało dotrzeć: do rezerwatów Indian. Rezerваты otaczał wciąż nieprzebyty mur zaniedbania, uprzedzeń i złej woli. W miarę uświadamiania sobie przegranej w Małym Bizonie zaczęła narastać tragedia. Tragedia pozornego wybrańca losu, któremu nabyta kultura wyostrzyła umysł jak gdyby w tym okrutnym "celu" ażeby lepiej widział rozwiewanie się swych marzeń i nadziei i tym głębiej odczuwał swą klęskę.

Wejście w orbitę cywilizacji białego człowieka oddzieliło Małego Bizona od jego szczepu. Rozłąkę odczuwał boleśnie, i wierny syn swego ludu, zawsze myślał o tym, jakby Czarnym Stopom udostępnić oświatę. Nie doszło do tego. Odnośnym czynnikiem urzędowym nie zależało na rozwoju szczepu. Mały Bizon, oderwany od ojczystego pnia, poczuł się beznadziejnie osamotniony. Świadomość, że był odosobniony, coraz bardziej dręczyła jego umysł.

Najważniejszej sprawy nie wolno obwijać w bawełnę: pomimo pozorów, świat białych ludzi nie przyjął Małego Bizona do swego towarzystwa, nie uznał go za równego sobie, a tym mniej za swego. Dał mu możliwość wykształcenia, to prawda niezaprzeczona. Ale wykształcenie jest tylko środkiem do celu, celem zaś jest zdobycie odpowiedniego: stanowiska w społeczeństwie. Otóż tego stanowiska uporczywie, niezmiennie, nieustannie, jakby w ogólnej cichej zмовie, Małemu Bizonowi odmawiano. Był inteligentny, miał miłe usposobienie i towarzyskie obycie, był przystojny, celująco składał wszystkie egzaminy, a przecież gdy przychodziło do sięgania po zasłużone owoce swego wysiłku, zastawał drzwi przed sobą zamknięte, twarze odwrócone, dłonie nieskore do uścisku.

W ostatnich latach przed tragiczną śmiercią Małego Bizona wiele przebywałem w jego towarzystwie. Czasem zwierzał mi się ze swej udręki. Wiedziałem dobrze, jak głęboko raniły go wszystkie te objawy niesprawiedliwego upośledzania. Mały Bizon niczym nie różnił się od wykształconego i dobrze ułożonego Amerykanina – jak tylko kolorem skóry i indiańskim pochodzeniem, a jednak wciąż otwierała się przed nim zło-

wroga, nieubłagana pustka. Pustka, mająca także ekonomiczny oddźwięk: Po ukończeniu kampanii swych prelekcji Mały Bizon postanowił zostać pilotem lotnictwa komunikacyjnego i w tym celu przeszedł szkołę pilotażu na Roosevelt-Field pod Nowym Jorkiem. Znowu wyróżniał się sprawnością i uzdolnieniem, znowu szkołę opuszczał z najlepszym świadectwem i znowu – ominął go plon tej pracy: pracy nie dostał. Zdaje mi się, że nowy zawód dolał ostatniej kropli do kielicha goryczy.

Dnia 20 marca 1932 roku Mały Bizon popełnił samobójstwo w Kalifornii wystrzałem z rewolweru. Po śmierci kuzyna Kosmatego Orlątka i brata Mocnego Głosa zamknął się cykl opłakanych wypadków, które – śmiem twierdzić – powodowała zawsze ta sama ręka. Mały Bizon popełnił swój nierozważny czyn jakby na znak protestu przeciw błędnej, małodusznej polityce pogardy i krzywd, jaką stosują w Ameryce Północnej ludzie jednej rasy do ludzi innej rasy.

My, Czarne Stopy, wciąż jesteśmy wojownikami. Małego Bizona wszyscy kochaliśmy jak brata i byliśmy z niego dumni, ale śmierć jego przyjęliśmy spokojnie jako epizod wielkiej walki, toczącej się nie tylko na naszych preriach. Uświadomieni spośród nas już widzą, że we wszystkich częściach świata zaogniła się walka o równe dla każdego człowieka prawa do chleba, do słońca, do uśmiechu i że tej walki nie już nie powstrzyma, aż do ostatniego zwycięstwa.

Sercem i – tam gdzie kto może – naszym czynem stoimy po stronie tych sił postępu, ho niezłomnie wierzymy, że gdy dojdą na świecie do głosu – lepiej będzie i nam, Indianom.

This file was created with BookDesigner program
bookdesigner@the-ebook.org
2010-11-13

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/